Bezkarna szkolna przemoc • PiS: tarcia i starcia • Co z tą Polską 2050? • Muzyka paleolitu
Podziemie lekowe • Lalki pocieszenia • My, cyberzbrojni • Olimpiada w Warszawie?

POLITYKA.PL

POLITYKA

PASZPORTY POLITYKI 2025 ROZDANE



Nowy koncert mocarstw?

Lęk przed drugą Jałtą

Wykorzystano autentyczne zdjęcie z konferencji jałtańskiej w 1945 r.

© STUDIO POLITYKA

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 3 (3547), 14.01–20.01.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ISSN 0032-3500 03
9 770032 350602

Wydanie w sprzedaży do 20.01.2026

eprasa.pl/fb074335d

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

SALE

ODZIEŻ / BUTY / NARTY / SNOWBOARD / WIĄZANIA

od -15% do -50%

na asortyment zimowy

w tym najnowsze kolekcje!

Promocja obowiązuje w sklepach stacjonarnych i na skiteam.pl

Sklepy stacjonarne Ski Team w Warszawie i Wrocławiu są otwarte w najbliższą niedzielę (18.01.2026) w godzinach 12:00 - 18:00

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a,
Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

eprasa.pl ffb074335d



© SHUTTERSTOCK

16
Dojrzewanie to nie film

Tematy tygodnia

12 Tomasz Zalewski
Nowy świat według Trumpa

16 Joanna Cieśla **Hejt w sieci i w szkole: co robić z narastającą przemocą wśród młodzieży**

Polityka

20 Anna Dąbrowska
PiS się jednoczy przez podział

24 Rafał Kalukin **Polska 2050: nowe władze, stare problemy**

Społeczeństwo

28 Paweł Walewski **Polskie podziemie farmaceutyczne: co naprawdę łykamy i czym to może grozić**

32 Anna Dobrowolska
Reborny: lalki przypominające niemowlęta

36 Agnieszka Sowa
Patoschroniska dla zwierząt

40 Violetta Krasnowska
25 lat więzienia za błędy... wymiaru sprawiedliwości?

Rynek

44 Adam Grzeszak
Narzędzia cyberwojny: od kogo i dlaczego je kupujemy

47 Marcin Piątek
Kosztowna olimpijska fantazja

Świat

50 Artur Domosławski WENEZUELA
Stan zawieszenia

53 Stas Kozliuk, Agnieszka Lichnerowicz UKRAINA–ROSJA
Tajne wirtualne szkoły

56 Agnieszka Zagner IZRAEL **Naftali Bennett: następca Netanjahu?**

58 Rozmowa z **Jakkiem Cilliersem** o wojnie Trumpa z RPA

Nauka/projektpulsar.pl

60 Prof. **Lisa Feldman Barrett** o skłonności mózgu do zamykania nas w społecznych „bańkach" i tym, jak z tego korzystają reżimy autorytarne

63 Agnieszka Krzemińska **Jakiej muzyki słuchali ludzie paleolitu**

66 Kamil Nadolski **Czy zachowania samobójcze są wpisane w DNA?**

Historia

68 Anna Brzezińska
Rycheza Lotaryńska: pierwsza koronowana królowa Polski

72 Tomasz Targański **Najlepsze książki historyczne 2025 r. na świecie**

Kultura

78 Piotr Sarzyński
Art déco uwodzi w Paryżu

82 Rozmowa z reż. **Michelem Franco** o filmie „Dreams", kinie i stosunkach między USA a Meksykiem

Paszporty POLITYKI

86 Mirosław Pęczak
Wieczór wrażeń i marzeń

90 **Młodzi i wspaniali – laureaci 33. edycji**

Ludzie i style

102–105 • **Noworoczne przeciążenie**
• **„Avatar" po latach**
• **Moja Twarz Gdy...**
• **Meksykańska Puebla**
• **Boczniak w burgerze**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **74** Afisz • **96** Lis • **98** Kozioł ek
• **99** Witkowski • **100** Mizerski
• **100**, **106** Galeria POLITYKI
• **101** Do i od redakcji
• **106** To jeszcze nie koniec

© ALAMY/BE&W/SHUTTERSTOCK, ABACA/FORUM, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ffb074335d



Prezydent w bikini

Bartek Chaciński

Jeśli komuś brakowało głośnych premier filmowych w pierwszych dniach nowego roku, miał do dyspozycji informacje z Ameryki. Donald Trump postanowił zrealizować strategię Hollywoodu i Netflixa. Porwanie Nicolása Maduro zaskoczyło prawie wszystkich, ale nie pilnych widzów serialu „Jack Ryan" według prozy Toma Clancy'ego. Ci triumfalnie podawali sobie dalej scenę z wykładu tytułowego analityka CIA: Jaki kraj jest waszym zdaniem największym zagrożeniem światowego porządku? Wenezuela. Dlaczego? Bo ma największe złoża ropy i złota, a przy tym niestabilną sytuację polityczną!

Timing amerykańskiej akcji – opisywanej przez nas w tym numerze i przeprowadzonej krótko po ujawnieniu kolejnych dokumentów ze sprawy Epsteina, w których Trump odgrywa całkiem poważną rolę – przypominał hollywoodzki film „Fakty i akty", w którym fikcyjny prezydent odwraca uwagę od seksualnego skandalu ze swoim udziałem newsami o małej i krótkiej, ale jednak wojnie. Szukanie pretekstu do ataku w postaci wojny z narkotykami pamiętamy z niedawnej „Jednej bitwy po drugiej" Paula Thomasa Andersona (zwycięzca Złotych Globów). A strzelanie do Amerykanów, jakie zademonstrowała ostatnio tamtejsza antyimigracyjna służba ICE, mieliśmy w „Civil War". Linia zaproponowana przez Trumpa – że zabita w Minneapolis matka trójki dzieci i poetka, biała Amerykanka, atakowała mundurowych z ICE, choć na filmie z wydarzenia widać, że próbuje ich ominąć – pachnie już Orwellem.

Tymczasem ulubioną zabawą internautów w tych pierwszych dniach nowego roku stało się zadawanie chatbotowi Grok, trenowanemu przez właściciela serwisu X Elona Muska na ultraliberała, złośliwych zadań z prośbami o rozbieranie do bikini każdego, kto przyjdzie do głowy użytkownikom. Czyli po prostu każdego bez względu na granice wolności, które wyznaczają prawa jednostki.

O te ostatnie upomina się europejski Akt o usługach cyfrowych, w Polsce niewdrożony. Odpowiednia ustawa trafiła na biurko prezydenta Nawrockiego, ale ten nie odważył się jej podpisać wbrew swojemu środowisku – internet zareagował w sposób zgodny ze standardami, jakie podsuwają media społecznościowe: „Hej, Grok, pokaż mi prezydenta Nawrockiego w bikini". Chatbot zadanie zrealizował, oszczędzimy Państwu dalszego opisu.

Takie sytuacje, jak niedawna sądowa wygrana Brigitte Macron w procesie o nękanie przeciwko 10 osobom kwestionującym w sieci jej płeć i seksualność, będziemy więc raczej oglądać z daleka. Dziś to Europa, a nie USA, próbuje być enklawą praw osobistych, choć i to z trudnością. Australia próbuje z kolei oduczyć rodziców pozostawiania dzieci sam na sam z toksycznym środowiskiem social mediów. My się od tych wzorców oddalamy, bo środowisko PiS w swoim pościgu za Ameryką nie zauważyło, że to Ameryka wyraźnie się zgubiła.

Wobec takiej konkurencji w kreowaniu faktów (w rankingu dezinformacji, który podaje Grok, Trump jest na drugim miejscu – tuż za... Elonem Muskiem) coraz trudniej się dziś przebić z ofertą kulturalną – chyba że to serial „The Pitt" o ratowaniu ofiar strzelanin na niedofinansowanym amerykańskim SOR-ze (drugi sezon właśnie wszedł na ekrany). My jednak w tych pierwszych dniach nowego roku jak zwykle wręczyliśmy nasze kulturalne nagrody – Paszporty POLITYKI, przyznawane w siedmiu dziedzinach, twórcom, którzy jakby demonstracyjnie odwrócili się od wielkich spraw w stronę własnego wnętrza – może po to, żeby sprzątanie świata zacząć od własnej głowy. Ale za to znów (pierwszy raz od 10 lat) na antenie TVP i ze specjalnym laurem Kreatora Kultury dla Tomasza Lipińskiego, którego „Jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie" ma tę niezwykłą cechę, że nie traci zupełnie na aktualności. I że czas przyszły, nadany tej piosence w okolicach transformacji ustrojowej, nie zamienił się tu nigdy w teraźniejszy, jak gdybyśmy zastygli. A dziś to życzenie z refrenu wydaje się nawet odleglejsze.

Druga ulubiona noworoczna zabawa z Grokiem polegała na wymazywaniu, trochę jak za Stalina, wskazanych osób ze zdjęć. I tak na hasło „Usuń najpopularniejszą postać z tego obrazka" – a grafika stawiała chatbota AI przed trudnym wyborem: Michael Jackson, Taylor Swift, Cristiano Ronaldo, Donald Trump – Grok rezolutnie usunął Trumpa, przeliczając zapewne współczynniki opisujące sławę w dobie mediów społecznościowych. To jeszcze jeden powód, dla którego trudno być artystą – idolami świata stali się politycy, a ich widownię różni tylko to, czy traktują ich jako pozytywnych, czy negatywnych bohaterów.

Trump był od dawna świetnie zapowiadającym się aktorem. Kto pamięta (przypominanego jak zwykle w święta) „Kevina samego w Nowym Jorku", ten być może zna tę historię: film kręcono w Hotelu Plaza, który należał do Donalda Trumpa, a ten postawił warunek: ma się pojawić na ekranie. Niezadowolona z tego ekipa nagraną z nim krótką scenkę chciała wyciąć w ostatecznej wersji filmu, ale cameo Trumpa, w którym pokazuje tytułowemu Kevinowi drogę do lobby, okazało się przekonujące i na pokazach testowych na tyle się spodobało, że trafiło na ekrany kin. Teraz można odnieść wrażenie, że to my wszyscy statystujemy u niego. I jak to bywa z karierą na ekranie: obiecujący aktor zamienił się w okropnego reżysera.

eprasa.pl ffb074335d

Albatros travel



Złoty Trójkąt Indii

NOWOŚĆ

Odkryj największe skarby Indii: fort Amber w Jaipur, zachwycający Taj Mahal w Agrze, stolicę New Delhi, a także rezerwat tygrysów bengalskich w P.N. Ranthambore.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do New Delhi. **Dz. 2** Przylot do Delhi. Przejazd autokarem do Jaipur. Czas na odpoczynek i kolacja powitalna. **Dz. 3** Jaipur. Fort Amber, królewskie pałace i lokalne bazary. **Dz. 4** Jaipur – Park Narodowy Ranthambore. Tradycje rzemieślnicze i relaks. **Dz. 5** Ranthambore – Agra. Safari na tygrysy i śladami Wielkich Mogołów. **Dz. 6** Agra. Fort i Tadź Mahal. **Dz. 7** Agra – Delhi. Zwiedzanie Nowego i Starego Delhi, w tym Brama Indii i świątynia Sikhów. **Dz. 8** Wylot z New Delhi. Powrót do domu.

8 dni
Wyloty z Warszawy
24/04, 22/05 2026

od **5.998,-**

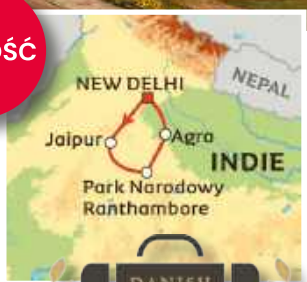

Albatros Travel otrzymał tytuł najlepszego organizatora wycieczek objazdowych w Danii

DANISH TRAVEL AWARDS 2025

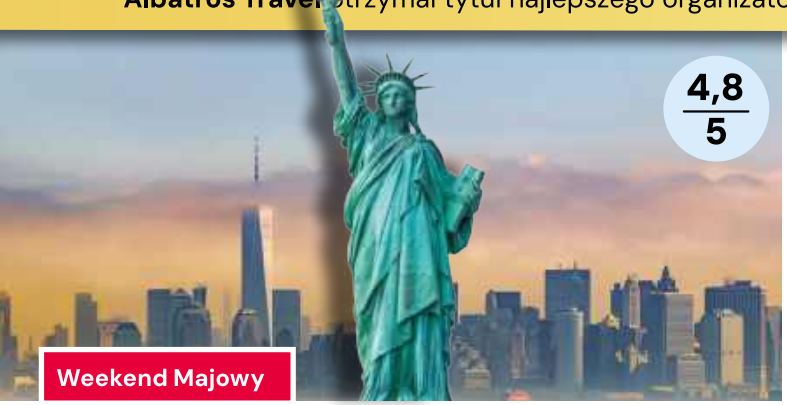

4,8/5

Weekend Majowy

New York, New York

Pełna przygód podróż do jednego z najbardziej fascynujących i tętniących życiem miast na świecie.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot do Nowego Jorku, USA. **Dz. 2** Nowy Jork, Brooklyn Heights, Wall Street, Ground Zero i Most Brooklyński. **Dz. 3** Nowy Jork, Uptown z Upper West Side, Muzeum Historii Naturalnej, Central Park i Muzeum Guggenheima. **Dz. 4** Nowy Jork, Downtown z Flatiron Building, Greenwich Village, SoHo, Little Italy (Małe Włochy) i Chinatown (Dzielnica Chińska). **Dz. 5** Nowy Jork, Midtown z Empire State Building, Rockefeller Center, Fifth Avenue i rejs do Statuy Wolności i Ellis Island. **Dz. 6** Nowy Jork. Czas wolny i powrót do domu. **Dz. 7** Przylot do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy
26/04, 30/04, 09/07, 30/07, 03/09, 15/10, 10/12 2026 | od 8.998,-



2 posiłki dziennie

Malta – śladami rycerzy maltańskich

Poczuj romantyczną atmosferę na śródziemnomorskiej wyspie Malta.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Valletty. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta Valletta wpisanego na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO z wizytą w katedrze św. Jana oraz rejs do Birgu. **Dz. 3** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do megalitycznej świątyni Hagar Qim, Błękitnej Groty i wioski rybackiej Marsaxlokk. **Dz. 4** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do miasta Mdina, lokalne maltańskie rzemiosło i ogrody San Anton. **Dz. 5** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Mosty i wizyta w centrum rzemiosła Ta' Quali Crafts Village. **Dz. 6** Czas wolny lub wycieczka fakultatywna na wyspę Gozo. **Dz. 7** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Lot powrotny do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy i Krakowa*
01/04*, 18/04 (hotel 3*), 13/09, 21/10 2026 | od 6.298,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL01**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl ffb074335d

Mróz i śnieg testują Polskę

Prądu nie brakuje, lotniska działają raczej sprawnie, kolej radzi sobie różnie, za to jakość powietrza bywa fatalna. Prawdziwa zima obnaża wszystkie nasze słabości.

Niskie temperatury, przynajmniej w porównaniu z tymi w ostatnich latach (bo przecież do naprawdę surowych zim wiele jeszcze brakuje), to egzamin dla naszej infrastruktury. Na razie bilans jest mieszany. Nie ma problemów z systemem energetycznym, chociaż mroźne dni oznaczają większe zużycie prądu, przede wszystkim z powodu ogrzewania. Jeszcze w grudniu szczytowe zapotrzebowanie w ciągu dnia sięgało 23–24 gigawatów. W ostatnich dniach wzrosło do 26–27 gigawatów (momentami nawet nieco więcej), a równocześnie niewielka jest produkcja energii ze źródeł odnawialnych, bo tej fali mrozów towarzyszyła często bezwietrzna i pochmurna pogoda. Jednak prądu nie brakuje, system działa stabilnie, a spora w tym zasługa importu energii, przede wszystkim z Niemiec i ze Szwecji.



© PAP/ADAM WARŻAWA

Na drogach największym problemem nie jest silny mróz, lecz obfity śnieg. Co prawda Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad ma do dyspozycji ponad 2,1 tys. pługosolarek, prawie 640 pługów, a także niemal 300 magazynów soli, ale w czasie intensywnych opadów niewiele są one w stanie zrobić. Największym problemem była dotąd blokada trasy S7 na Warmii w okresie noworocznym, gdy pojazdy ciężarowe utknęły w zaspach. Utrudnienia na drogach okazały się jednak i tak znacznie mniejsze od tych na kolei, chociaż PKP Polskie Linie Kolejowe podkreślają, że mają 279 specjalistycznych pojazdów do odśnieżania torów i rozjazdów kolejowych oraz 182 zespoły przeznaczone do szybkiego usuwania awarii i usterek.

Przez kilka dni na początku roku nieprzejezdna była trasa między Działdowem a Olsztynem, gdzie pod naporem śniegu wysokie drzewa przewracały się na torowisko. Doszło do sporego zamieszania, gdy PKP PLK zbyt szybko pozwoliły na przejazd pociągów. Skład PKP Intercity uderzył w drzewo, które spadło na tory i sieć trakcyjną. Do usuwania śniegu zaangażowano nawet wojskowy śmigłowiec Black Hawk. Efektem tych utrudnień są planowane przez rząd zmiany poszerzające pas wycinki drzew wzdłuż linii kolejowych z 6 do 15 m. Tymczasem za rządów PiS, w 2019 r., znowelizowano przepisy i wówczas zmniejszono pas wycinki – właśnie z 15 do 6 m. Cel: oszczędności.

Poważny incydent na kolei wydarzył się też niedaleko Łodzi, gdzie z powodu mrozu doszło do pęknięcia i wyłamania szyny na długości ponad metra. PKP PLK zapewniały, że tym razem to wina pogody, nie zaś kolejny atak na infrastrukturę kolejową. Na szczęście zagrożenie zauważył maszynista pociągu PKP Intercity i w porę zatrzymał skład. Jednak największe emocje i tak wzbudził nieodśnieżony peron w Mławie w sylwestra, którym po fali złośliwych memów zainteresował się sam premier. Prawdziwa zima to pułapka dla polityków, którzy pamiętają słowa Elżbiety Bieńkowskiej sprzed 12 lat: „Sorry, taki mamy klimat" po ówczesnym paraliżu kolei. Tym razem nikt takiej wpadki nie zanotował, ale do końca zimy przecież jeszcze daleko.

Mniejsze niż na kolei były dotąd utrudnienia na lotniskach, chociaż z jednym wyjątkiem. Najgorzej z atakiem zimy radził sobie port w podwarszawskim Modlinie, gdzie z powodu intensywnych śnieżyc na przełomie roku lotnisko przez wiele godzin nie było w stanie przyjmować samolotów. W Modlinie takie utrudnienia są szczególnie dotkliwe dla pasażerów, bo niewielki terminal nie ma miejsca dla zbyt dużej liczby oczekujących. A tych nie brakowało, bo w grudniu z podwarszawskiego portu zaczęły latać linie Wizz Air, które rzuciły wyzwanie irlandzkiemu Ryanairowi, który miał do tej pory tam pozycję niemal monopolisty. Na tle zablokowanego Modlina dużo lepiej wypadł główny warszawski port Chopina, gdzie większość lotów odbywała się planowo czy z niewielkimi opóźnieniami, a pasy startowe były zamykane tylko na czas odśnieżania.

Jednak to nie drogi, koleje czy lotniska okazały się dotąd największą ofiarą zimy. Po raz kolejny głównym poszkodowanym stało się powietrze, a w konsekwencji – nasze płuca. Mieszanka mroźnej, pochmurnej i bezwietrznej pogody doprowadziła do znacznego przekroczenia norm zanieczyszczeń (zwłaszcza pyłów) na sporym obszarze Polski. Najgorzej było w ubiegłym tygodniu w centrum i na południu kraju, a alerty ostrzegające przed smogiem wysyłało nawet Rządowe Centrum Bezpieczeństwa. Co prawda w ostatnich latach zmniejszyła się liczba kopciuchów, zwłaszcza w dużych miastach (jak Kraków), które zaangażowały się w poprawę jakości powietrza, jednak podobnego postępu nie ma w wielu mniejszych miejscowościach. Efekt? Według analiz SmogLab w całej Polsce pozostało jeszcze ok. 2,5 mln starych węglowych pieców. A tempo ich wymiany ostatnio spadło z powodu kontrowersji wokół programu Czyste Powietrze. Poprzedniej zimy został on zawieszony na kilka miesięcy, bo zdaniem Ministerstwa Klimatu i Środowiska dochodziło do licznych oszustw i zawyżania faktur przez nieuczciwych wykonawców. Czyste Powietrze co prawda znów działa od kwietnia ubiegłego roku, ale napływ nowych wniosków znacznie spowolnił, a część osób ze starymi piecami i nieocieplonymi domami boi się teraz występować o dotacje.

Prawie nic nie robimy także, by ograniczyć zanieczyszczenia emitowane przez szczególnie trujące samochody, których Zachód się pozbył, a Polacy przez lata bezkarnie je sprowadzali. Strefa Czystego Transportu, zakazująca wjazdu najbardziej szkodliwym pojazdom (głównie starym dieslom), działa tylko w Warszawie (na niewielkim obszarze, mandatów prawie nie ma) oraz od początku tego roku w Krakowie. Tam jednak już wywołała polityczną awanturę, a znaki ustawiane na jej granicach są kradzione na masową skalę, ku uciesze prawicowych polityków broniących prawa do jazdy kopcącymi autami. Zima obnaża nie tylko słabości w infrastrukturze, ale też pokazuje, że jako społeczeństwo o czyste powietrze się nie staramy.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl ffb074335d

RTV EURO AGD

TYSIĄCE PRODUKTÓW W PROMOCJI

WYPRZEDAŻ

DO -50%

Promocja w dniach:
24.12.25 r. - 2.02.26 r.

Aż **30 RAT 0%** RRSO 0%

i DO KWIETNIA NIE PŁACISZ!

NA WSZYSTKIE TOWARY

Promocja ratalna w dniach: 1.01-2.02.2026 r. z wyłączeniem produktów Apple.

„Wyprzedaż" obowiązuje w sklepach RTV EURO AGD i na euro.com.pl (z wył. outletów) w dniach 24.12.2025 r. - 2.02.2026 r. lub do wcześniejszego wyczerpania się asortymentu. Asortyment będzie ulegał zmianie. Szczegółowe informacje o asortymencie, jego dostępności, cenach i datach ich obowiązywania, a także o zasadach stosowania kodów rabatowych w sklepach i na euro.com.pl. Promocja ratalna dot. też usług kupionych z towarem objętym promocją. Kredyt: 300 - 30 000 zł. Reprezentatywny przykład 3822 zł. RRSO 0%; całk. kwota kredytu (bez kredytowanych kosztów) 3822 zł; całk. kwota do zapłaty 3822 zł; stała stopa oproc. 0%; całk. koszt kredytu 0 zł; czas obow. umowy 32 mies. dla umów zawartych 1-31.01.2026 r., 31 mies. dla 1-2.02.2026 r.; liczba rat 30 po 127,40 zł. Kredytu udzielają Alior Bank i inne wym. w regulaminie Euro-net jest pośrednikiem kredytowym i przyjmuje ośw. o odstąpieniu od umów. Szczegóły w Regulaminie.

eprasa.pl ffb074335d

Wielka draka o śmieciówki



Długo wydawało się, że zapisana jako jeden z tzw. kamieni milowych KPO ustawa o zwiększeniu uprawnień Państwowej Inspekcji Pracy bez większych przygód wyjdzie z rządu. Nad tym, żeby nowe przepisy zaproponowane przez lewicową ministrę pracy **Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk** nie były zbyt radykalne, czuwał szef Komitetu Stałego Rady Ministrów Maciej Berek, legislacyjne oko i ucho premiera oraz polityk niesłynący – delikatnie rzecz ujmując – ze szczególnie socjaldemokratycznych poglądów. Jednak na ostatniej prostej do gry bezceremonialnie wszedł **Donald Tusk**, jednym zdaniem wyrzucając ustawę do kosza. Skąd ta brutalna ingerencja szefa rządu?

Wykwit umów śmieciowych to efekt światowego kryzysu z 2008 r. Gdy jego efekty dotarły do Polski, by uniknąć wzrostu bezrobocia, ówczesny rząd koalicji PO-PSL zawarł niepisaną umowę z pracodawcami: wy nie będziecie masowo zwalniać, my przymkniemy oko na to, że łamiecie prawo. Tak nastąpiło gwałtowne i oddolne „uelastycznienie rynku pracy". Recepta na kryzys z czasem stała się normą, a wraz z poprawą sytuacji gospodarczej zyskała również walor ekonomicznego przywileju dla lepiej sytuowanych pracowników, którzy coraz częściej z etatów przechodzili na umowy B2B, czyli na tzw. firmę, by płacić mniejsze składki i maksymalizować dochód. I to właśnie reakcji tej ostatniej grupy mógł przestraszyć się Tusk.

Chociaż projektowane zmiany w uprawnieniach PIP były w dużym stopniu symboliczne i bezzębne, w toku debaty publicznej coraz wyraźniej rysował się obraz nowych przepisów jako lewackiego zamachu na przedsiębiorczość, inspektorzy pracy zaś wyposażeni w nowe uprawnienia zaczęli być przedstawiani niczym oddziały maoistycznej partyzantki, które za chwilę dokonają zamachu na dobrobyt pracowników korporacji zatrudnionych na B2B.

Sytuacja do złudzenia zaczęła przypominać słynny „zamach na OFE" z czasu pierwszych rządów Platformy Obywatelskiej. Na ograniczeniu roli OFE w systemie emerytalnym nikt w praktyce wtedy nie tracił, ale w przestrzeni debaty publicznej zmiany zaczęły być postrzegane jako zamach państwa na oszczędności Polek i Polaków. Efekt? Erozja zaufania wyborców tradycyjnie głosujących na PO, na której wyrosły m.in. Nowoczesna Ryszarda Petru i – w mniejszym stopniu – fenomen Pawła Kukiza. Ruch premiera mógł wynikać z obawy o powtórkę z tamtej dynamiki. Jednak zabezpieczając interes KO, Tusk sprawił duży kłopot Nowej Lewicy – jej opowieść o rządowej sprawczości w kontrze do lewicowej opozycji z partii Razem wraz z pogrzebaniem ustawy o PIP spektakularnie straciła na wiarygodności.

MICHAŁ DANIELEWSKI



Gwałt na komendzie

Dowódca plutonu jednego z oddziałów prewencji w areszcie tymczasowym; dymisje w policji; sugestie, że liberalne media chciały przemilczeć sprawę; wreszcie – żądania głowy szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego. Tak w skrócie wygląda sytuacja po przestępstwie, do którego miało dojść w nocy 3 stycznia na komendzie w Piasecznie, gdzie została zgwałcona 22-letnia policyjna stażystka.

Informację o tym, że na komendzie dwóch funkcjonariuszy po służbie piło alkohol, po czym jeden z nich wezwał do siebie młodą policjantkę i ją zgwałcił, jako pierwsza podała Republika. Temat błyskawicznie podjęli politycy opozycji, domagając się dymisji ministra Kierwińskiego. Kolejne media ujawniały dalsze szokujące szczegóły, w tym i to, że Marcin J., któremu zarzuca się gwałt, po wszystkim został odwieziony do domu, a rano, kiedy stawił się na wezwanie swoich przełożonych na komendzie, miał 1,5 promila alkoholu we krwi. Według Republiki napadnięta policjantka (Marcin J. miał się z nią zamknąć w pokoju) krzyczała i wzywała pomocy; kilku funkcjonariuszy usiłowało się do niej dostać (związany ze stacją portal zamieścił nawet opis obrażeń kobiety, przekonując, że robi to dla dobra śledztwa). Jednak według ustaleń Onetu stażystka z pokoju wybiegła sama i początkowo nie powiedziała nikomu o tym, co ją spotkało. I to dlatego Marcin J., 41-letni dowódca z długim stażem w policji, wrócił spokojnie do domu. Dyżurny o gwałcie dowiedział się dwie godziny po zdarzeniu, kiedy koledzy skrzywdzonej kobiety złożyli zawiadomienie o przestępstwie – dowiedzieli się o tym, bo widzieli zdenerwowanie koleżanki, która podobno początkowo nie chciała im powiedzieć, co się stało.

Komenda Główna Policji poinformowała, że niezwłocznie zostali powiadomieni: zastępca dowódcy Oddziałów Prewencji Policji w Warszawie, naczelnik wydziału psychologów Komendy Stołecznej Policji, będący w dyżurze zastępca KSP, dyżurny KSP, wydział kontroli KSP, zastępca KPP w Piasecznie, BSWP oraz Prokuratura Rejonowa w Piasecznie. I poleciały głowy. Ze stanowiska został odwołany zastępca dowódcy OPP w Warszawie, sprawujący nadzór służbowy nad kompanią, w której służył, i funkcjonariusz podejrzany o gwałt. Postępowanie wszczęto też wobec dowódcy plutonu IX Kompanii – 3 stycznia razem z Marcinem J. miał pić alkohol na terenie jednostki policji. Aresztowany policjant jest żonaty, ma dzieci. (KK)

© JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM, JACEK MARCZEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl ffb074335d

Wojna wizerunkowa



Antoni Dudek

Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych; prowadzi na YouTube autorski kanał Dudek o Historii

Pierwsze od września spotkanie premiera z prezydentem, do którego doszło 9 stycznia, miało wedle Donalda Tuska upłynąć w „bardzo dobrej atmosferze". „Będziemy starali się z prezydentem Nawrockim kształtować jedną linię całego państwa polskiego w sprawach bezpieczeństwa" – poinformował szef rządu, potwierdzając opinię, że gdy mu tylko na tym zależy, wciąż potrafi zachować się jak wytrawny dyplomata. Dlatego zignorował trzy najnowsze weta Nawrockiego, które ten ogłosił tuż przed przyjazdem premiera do Pałacu Prezydenckiego. Sygnał wysłany w ten sposób przez Nawrockiego był jednak jednoznaczny: żadnego rozejmu nie będzie.

Oczywiście zdarzać się będą jakieś rozmowy na temat jego zawarcia, może nawet uda się wynegocjować jakąś „wymianę jeńców", czyli np. nominacje ambasadorskie w zamian za kontrasygnatę premiera pod aktami mianowania nowych członków Zarządu NBP. Zapewne uda się też jeszcze przez jakiś czas zachować pozory współpracy we wspomnianych sprawach bezpieczeństwa. Jednak im bliżej będzie do wyborów parlamentarnych, tym konflikt będzie ostrzejszy. Logika procesu polaryzacji, opisana onegdaj dosadnie przez prof. Marka Migalskiego („Gdzie dwóch się bije, tam obaj korzystają"), będzie o sobie dawała znać coraz wyraźniej. Z jednym tylko ograniczeniem – natury wizerunkowej. Tym, które skłoniło obu panów do styczniowego spotkania. Otóż żaden z nich nie chce, aby niezdecydowana jeszcze część opinii publicznej (czyli ta, która nie uważa premiera za „niemieckiego agenta", a prezydenta za „niezbyt rozgarniętego alfonsa") akurat jego uznała za głównego winnego postępującego paraliżu władzy wykonawczej w Polsce.

Przed nami zatem długa wizerunkowa wojna pozycyjna, w której to jednak prezydent znajduje się w bardziej komfortowym położeniu. Może sobie bowiem pozwolić na znacznie więcej niż premier, któremu już wkrótce zacznie zapewne odliczać dni do końca kadencji. A równocześnie będzie przeplatał kolejne weta uzasadniającymi je orędziami, przekonując, że ratuje wolność i dobrostan Polaków przed złym rządem. I lamentował, że wspierająca ten ostatni większość sejmowa nie chce uchwalać jego znakomitych projektów ustaw.

Czy zatem rząd stoi już na straconej pozycji? Jak długo premier i jego ministrowie nie będą nieustannie uzasadniać swoich niepowodzeń prezydenckimi wetami, piłka wciąż będzie w grze. Jeśli jednak zaczną to czynić, to wówczas Nawrocki i cała prawica niebawem odkryją zalety „domknięcia systemu", którym tak gorliwie straszyli Polaków przed ubiegłorocznymi igrzyskami prezydenckimi. Będą przekonywać, że dla dobra RP niezbędne jest stworzenie kompatybilnej z prezydentem sejmowej większości. Najlepiej od razu konstytucyjnej, bo Nawrocki – podczas osobliwej promocji książki swojego poprzednika zorganizowanej w Belwederze – zapowiedział podjęcie prac nad „kompromisowym" projektem nowej ustawy zasadniczej.

Oczywiście samo powstrzymanie się od nieustannego narzekania na destrukcyjny „wetomat" zdecydowanie nie wystarczy. Aby premier Tusk mógł myśleć o wygraniu zakładu, jaki publicznie zaproponował obywatelom, i utrzymać KO przy władzy po 2027 r., musiałby jeszcze wyciągnąć sensowne wnioski z dwóch, w dużym stopniu zmarnowanych, minionych lat.

Na prawo od PiS



Po rekordowym wyniku **Grzegorza Brauna** (6,3 proc.) w wyborach prezydenckich, w sondażach partyjnych zaczęła rosnąć także jego formacja: radykalnie prawicowa, antyunijna Konfederacja Korony Polskiej. Z początku podbierała głównie wyborców PiS, ale ostatnie badania pokazują, że do Korony zaczynają odpływać również najbardziej skrajni wyborcy Konfederacji Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena. Politycy Korony Brauna przyznają, że Konfederacja jest ich rywalką, złośliwie nazywając ją „Neo-Konfederacją". W ostatnim sondażu United Surveys dla WP Korona urosła do 9,7 proc., Konfederacja spadła zaś do 11,2 proc. Jeszcze pod koniec listopada w badaniu tej samej pracowni strata braunistów do konfederatów wynosiła ponad 9 pkt proc.

Różnica między obiema Konfederacjami maleje. Bosak z Mentzenem w drugiej połowie ubiegłego roku niewiele zrobili, by temu procesowi zapobiec – może nieco upojeni wynikiem Mentzena w prezydenckiej pierwszej turze. Jednak konfederaci ze spokojem podchodzą do wzmożonego zainteresowania prawicowym rywalem, nie dowierzając w „poważne przepływy" ich elektoratu do partii Brauna. Jak wiceprezes narodowców Michał Wawer, który przyznał ostatnio, że samej Koronie dobrze życzy i cieszy się, że na trzecim i czwartym miejscu w sondażach na stałe zadomowiły się skrajna i jeszcze skrajniejsza prawica. Niektórzy działacze Konfederacji – na razie w nieoficjalnych rozmowach – nie wykluczają nawet ponownego sojuszu obu ugrupowań przed wyborami do Sejmu w 2027 r. Czują jednak potrzebę wyrazistości – jak twierdzą, chcą, żeby partia od czasu do czasu pokazała się z bardziej radykalnej strony. – *Powinniśmy przypominać antysystemowym wyborcom o naszej wiarygodności w walce ze zgranymi i podległymi politycznej poprawności elitami* – podkreśla jeden z działaczy.

Coraz bardziej wrzącym prawicowym kotle miota się PiS – targany wewnętrznymi kłótniami „harcerzy" i „maślarzy" ma problem z określeniem swojego stosunku szczególnie wobec Brauna i jego środowiska. Jeszcze niedawno Jacek Sasin twierdził, że nad potencjalną koalicją z Koroną „pewnie trzeba będzie poważnie się zastanowić" oraz że: „woli Grzegorza Brauna niż Donalda Tuska". Z kolei sam prezes na razie próbuje ucinać temat. Jak ostatnio, kiedy stwierdził, że Braun to „człowiek, który jest w ogóle poza jakąkolwiek możliwością uczestniczenia w polityce". Choć ci, którzy pamiętają historię politycznych sojuszy PiS, mają świadomość, że jeśli wymaga tego interes partii, Kaczyński jest gotów tolerować każdego. (MPD)

eprasa.pl ffb074335d

Chamenei do Moskwy?



Dotychczas irański reżim stosował trzy proste sposoby, aby zdusić regularnie wybuchające protesty. Po pierwsze, twierdził, że demonstranci są narzędziem obcych potęg. Po drugie, rozgrywał protestujących, uniemożliwiając zjednoczenie opozycji wokół jednego lidera. A po trzecie, przekupywał biednych i zastraszał klasę średnią. Wszystkie te sposoby są już w dużej mierze bezużyteczne. Co nie znaczy, że reżim ajatollahów zaraz upadnie.

Protesty w Iranie właśnie wchodzą w trzeci tydzień. Zaczęło się 28 grudnia od buntu tzw. bazaru, czyli drobnych sklepikarzy, którzy nie byli już w stanie prowadzić handlu z powodu galopującej inflacji. A ta wynika przede wszystkim z sankcji nałożonych na Iran przez administrację Donalda Trumpa (ale też z fatalnego zarządzania gospodarką i z powszechnej korupcji). Do protestów szybko dołączyła młoda klasa średnia, często świetnie wykształceni 20–30-latkowie, którzy nie mają szans na stałą pracę, a już z pewnością na poziom życia porównywalny z tym, jakim cieszyli się ich rodzice. To oni sprawili, że protesty na tle ekonomicznym przerodziły się w bunt polityczny – są przekonani, że w Iranie nic się nie zmieni bez zmiany władzy.

Wtedy odpowiedział reżim. Demonstrantów zaatakowały bojówki związane ze Strażnikami Rewolucji. Według różnych źródeł mogło zginąć nawet ponad tysiąc osób, a do aresztów trafiło już ponad 10 tys. Jednak protesty się rozszerzają, objęły już praktycznie cały kraj, kolejne branże – w tym naftowa – przyłączają się do strajków. W takich okolicznościach zdezaktualizował się sposób numer jeden na utrzymanie władzy. Oskarżanie demonstrujących o bycie „marionetkami obcych mocarstw" przestało działać, choć jeszcze pół roku temu nawet najwięksi przeciwnicy reżimu krytykowali amerykańsko-izraelskie bombardowania. Dziś manifestanci wręcz zachęcają Trumpa do ataku.

Część z nich wzywa też do powrotu do kraju syna ostatniego szacha, Rezę Pahlawiego, jeszcze pół roku temu powszechnie potępianego jako „oderwanego od irańskiej rzeczywistości sługusa Ameryki". Władzom Iranu wypadł więc z rąk również drugi sposób – opozycja ma w końcu osobę, choćby tak kontrowersyjną jak Pahlawi, wokół której może się jednoczyć. I to mimo odcięcia internetu i częściowo łączności komórkowej. W ten sposób reżim pozbawił się trzeciego sposobu na zachowanie władzy – trudniej mu zastraszyć klasę średnią, która niewiele ma już do stracenia. O przekupywaniu biedniejszych obywateli trudno myśleć przy praktycznym bankructwie państwa.

Czy to początek końca? Ta władza zapewne nie odejdzie bez walki. Najwyższy Przywódca Ali Chamenei raczej nie ucieknie do Moskwy – to typ fanatyka. A jak pokazuje przykład Wenezueli, Amerykanie mogą próbować podtrzymywać zdekapitowany reżim. Ale rewolucji w 1979 r. też w zasadzie nikt nie przewidział.

ŁUKASZ WÓJCIK

Obrona Zełenskiego



Wołodymyr Zełenski znów zamieszał na szczytach władzy, próbując odbudować swoją pozycję podkopaną przez wielki skandal korupcyjny. Najistotniejsza zmiana to mianowanie gen. **Kyryła Budnowa** szefem prezydenckiej kancelarii. Dotychczas Budnow dowodził Głównym Zarządem Wywiadu Wojskowego (HUR), który za jego czasów odniósł wiele spektakularnych sukcesów w walce z Rosją. Generał dosłużył się tytułu Bohatera Ukrainy i zdobył popularność w społeczeństwie. Gdyby dziś odbyły się wybory, Zełenski przegrałby nie tylko z byłym dowódcą sił zbrojnych gen. Walerym Załużnym, ale i z Budanowem. W Kijowie spekuluje się, że w zamian za wejście do kancelarii dostał od Zełenskiego obietnicę, że to on będzie kandydatem w nowych wyborach prezydenckich. Do tych jednak daleko – mimo że naciskają na nie i Rosja, i Stany Zjednoczone, to nie da się ich przeprowadzić w warunkach wojny.

Dzięki wspomnianej nominacji prezydent może mieć na oku jednego z głównych konkurentów i złożyć na jego barki część odpowiedzialności m.in. za rozmowy pokojowe. Popularny generał ma też szansę zwiększyć wiarygodność samego Zełenskiego. A ta została potężnie nadszarpnięta przez aferę Mindyczgate – w której ważni urzędnicy (m.in. były wicepremier, ministrowie sprawiedliwości i energetyki), a także bliscy znajomi prezydenta (np. biznesmen Tymur Mindycz), mieli brać udział w kradzieży publicznych pieniędzy na wielką skalę. W wyniku tego skandalu musiał odejść także Andrij Jermak – wieloletni szef kancelarii prezydenta, powiernik i przez lata faktycznie druga osoba w państwie.

Inna kontrowersyjna zmiana kadrowa to odwołanie gen. Wasyla Maluka – szefa Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. SBU radziła sobie nie gorzej niż HUR. Najsłynniejszą operacją była oczywiście „Pajęczyna", kiedy ukraińskie drony zaatakowały warte setki milionów dolarów bombowce strategiczne na lotniskach w głębi Rosji. Za Malukiem wstawili się najważniejsi dowódcy wojskowi. Jednak Zełenski zmusił generała do napisania prośby o zwolnienie, nie dbając o to, by wyjaśnić publicznie powody tego żądania.

Kolejna roszada: ministrem obrony został Mychajło Fedorow, 35-letni technokrata, odpowiedzialny m.in. za wprowadzenie państwowej aplikacji Dija (odpowiednik mObywatela). Jednocześnie odchodzi on z posady pierwszego wicepremiera i ministra transformacji cyfrowej. Jego poprzednik w resorcie obrony Denys Szmyhal będzie pierwszym wicepremierem i ministrem energetyki. I ostatnia nowość kadrowa: nominacja Chrystii Freeland (wicepremierki Kanady w latach 2019–24) na doradczynię ds. rozwoju ekonomicznego Ukrainy. Freeland ma ukraińskie korzenie i była gorącą zwolenniczką pomocy dla Kijowa w wojnie z Rosją. Ma odpowiadać za sprawy gospodarcze, zwłaszcza relacje z zagranicznymi inwestorami.

PAWEŁ RESZKA Z KIJOWA

© MAHSA/MEI/SIPA/SIPA/EAST NEWS, AFP/EAST NEWS, GENARO MOLINA/LAT/GETTY IMAGES, HALIL SAGIRKAYA/ABACA/PAP

eprasa.pl ffb074335d

Echa strzałów



„W porządku, stary. Nie jestem zła". To były ostatnie słowa 37-letniej **Renee Good**, matki i poetki, zastrzelonej 7 stycznia w Minneapolis-Saint Paul przez Jonathana Rossa, agenta Służby Migracyjnej i Celnej (ICE). Jadąca samochodem Good znalazła się na linii akcji funkcjonariuszy polujących na imigrantów. Zginęła, gdy próbowała odjechać. W samochodzie była z nią jeszcze żona Becca (to jej nazwisko przyjęła Renee). Małżeństwo niewiele wcześniej przeprowadziło się do liberalnego miasta, które stało się celem największej w historii ICE operacji, wymierzonej przede wszystkim w społeczność pochodzenia somalijskiego.

Zabójstwo wstrząsnęło Ameryką i jeszcze bardziej ją podzieliło. W całym kraju, także przez mniejsze miejscowości, przeszły marsze protestacyjne. Na rzecz rodziny ofiary zgromadzono ponad milion dolarów. Niektórzy artyści biorący udział w ceremonii rozdania Złotych Globów wpięli sobie przypinki z hasłem „Be Good" (ang. „bądź dobra/dobry" lub „bierz przykład z Renee Good"). Wnikliwym analizom poddano zapisy wideo nagrane z różnych perspektyw i świadczące o tym, że agent nie był zagrożony. Choć to zależy od ideologicznych okularów. Co innego dostrzegł wiceprezydent J.D. Vance, który pochwalił zdecydowaną reakcję Rossa, poturbowanego w podobnej sytuacji w czerwcu, gdy został przeciągnięty przez auto kilkadziesiąt metrów. Vance uznał, że ofiara sama była sobie winna. Zresztą była częścią „szerszego lewicowego ruchu".

„Bzdury" – tak burmistrz Minneapolis Jacob Frey skwitował objaśnienia ludzi prezydenta Donalda Trumpa, przedstawiających Good jako terrorystkę rzekomo próbującą Hondą Pilot rozjechać Rossa. Tim Walz, gubernator Minnesoty i niedawny kandydat na wiceprezydenta u boku Kamali Harris, uznał, że śmierć Good jest rezultatem eskalacji działań władz federalnych. Śledztwo przejęły ich agencje, co wzbudza podejrzenia o jego nierzetelność. Próbując opanować kryzys, administracja Trumpa wysłała do Minneapolis dodatkowe setki agentów.

Good, białoskóra amerykańska obywatelka, nie pasowała do profilu dotychczasowych ofiar ICE. Od początku drugiej kadencji Trumpa z rąk służby zginęło co najmniej kilka osób postronnych, kilkadziesiąt zatrzymanych nie przeżyło osadzenia w ośrodkach i więzieniach. Teraz padają zarzuty, że ICE rekrutuje niekompetentnych fanatyków, miewających kłopoty ze zdaniem testów kompetencyjnych, za to fascynujących się bronią palną i przemocą. Co ma pomagać w zmienianiu ICE w posłuszną polityczną policję trumpizmu.

Zaciemnienie w Berlinie

W poświąteczną sobotę Berlin doświadczył największego po wojnie wyłączenia prądu. Dotknęło ponad 100 tys. mieszkańców i 2 tys. kluczowych obiektów tkanki miejskiej, a przy okazji wysiadło ogrzewanie (akurat trzymał mróz) i zniknął internet. Przyczyną był akt sabotażu – podpalenie dwóch kabli wysokiego napięcia biegnących jednym z mostów z elektrowni gazowej Berlin-Lichterfelde. W stolicy ogłoszono stan klęski żywiołowej, ewakuowano szpitale i domy opieki, uruchomiono noclegownie i garkuchnie, z pomocą ruszył Czerwony Krzyż i Bundeswehra. Naprawa rozległej awarii i stopniowe przywracanie dostaw prądu zajęły pięć dni, co wywołało ogólnonarodową debatę: dlaczego miejski system zasilania jest tak wrażliwy, tak łatwo go sparaliżować i nie posiada wystarczających zabezpieczeń rezerwowych? Najprostsza odpowiedź: bo jest przestarzały, a dotychczas brakowało wyobraźni.



Do czynu przyznała się anarchistyczna skrajnie lewicowa grupa Wulkan. W obszernym wyjaśnieniu-manifeście ogłosiła, że to akt samoobrony i społecznego nieposłuszeństwa, uderzenie w przemysł paliw kopalnych i „energetyczną chciwość" społeczeństwa, które tylko pozoruje troskę o klimat. Była tu też krytyka energochłonnego rozwoju sztucznej inteligencji, która „szerzy stereotypy i absurdy". Z uwagi na błędy w nazwiskach, m.in. J.D. Vance'a, oraz miejscami nieporadny styl w mediach społecznościowych pojawiła się teza o rosyjskim tropie (tekst został jakoby mechanicznie przetłumaczony z cyrylicy na niemiecki), ale nie znalazła oficjalnego potwierdzenia.

O Vulkangruppe niewiele wiadomo, to raczej luźna struktura, która na radarach służb pojawiła się w 2011 r., ale nigdy nie została rozpracowana. Co jakiś czas przyznawała się do aktów sabotażu, głównie podpaleń, m.in. dwukrotnie zaatakowała fabrykę Tesli. Według Urzędu Ochrony Konstytucji aktywne agresywne środowisko lewackie liczy ok. 40 tys. osób. Zdaniem (cytowanego przez „Die Welt") Petera R. Neumanna, eksperta od radykalizmów, ten lewicowy ostatnio się uaktywnia, bo nakładają się tu kryzys klimatyczny, krytyka kapitalizmu, sceptycyzm wobec technologii i odrzucenie państwa. Według federalnych danych skrajna lewica był zamieszana w 2024 r. w 5857 przestępstw, skrajna prawica w 37 835, w obu przypadkach liczby te szybko rosną.

eprasa.pl ffb074335d



Stara melodia

Amerykańska interwencja w Wenezueli i zapowiedzi Donalda Trumpa o zagarnięciu Grenlandii zapowiadają inny porządek świata. Fatalny dla takich krajów jak Polska.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

eprasa.pl ffb074335d

Nowy rok Donald Trump rozpoczął z przytupem. W nocy z 2 na 3 stycznia amerykańskie siły specjalne wylądowały w Caracas i aresztowały prezydenta satrapę Wenezueli Nicolasa Maduro. Komandosów wspierało 150 samolotów i helikopterów. W akcji zginęło 32 ochroniarzy Maduro i ani jeden Amerykanin. Zadziwiająca skuteczność operacji budzi podejrzenia, że najeźdźcy współdziałali z ludźmi reżimu. Poprzedziła ją kampania zaciskania wokół Wenezueli pętli morskiej i wyłapywania przez Amerykanów statków z objętą sankcjami ropą naftową, której sprzedaż jest głównym źródłem dochodów tego kraju.

Maduro i jego żonę Celię Flores przewieziono do Nowego Jorku, gdzie czeka ich proces z oskarżenia o narkoterroryzm – kierowanie siecią przemytu kokainy i innych substancji do USA. Zapewne dojdą do tego zarzuty o wysyłanie do Stanów imigrantów kryminalistów. Na przesłuchaniu przed sądem aresztant oświadczył, że jest nadal prezydentem, więc chroni go immunitet. Rząd amerykański nie uznaje jego legitymacji, bo dwukrotnie przegrał wybory. Czeka go prawdopodobnie wyrok dożywotniego więzienia. Trump zapowiada, że USA „będą rządzić" Wenezuelą. Ale nie jest jasne w jaki sposób, skoro porwanie Maduro nie zainicjowało pełnoskalowej inwazji. Nie ma też mowy o inwazji lądowej w przyszłości.

Celem akcji, jak przyznał prezydent USA, nie było przywrócenie tam demokracji, tylko zagarnięcie ropy, której Wenezuela ma największe złoża na świecie. Naciska więc na pozostawiony u władzy, choć zdekapitowany reżim, by m.in. zwrócił USA znacjonalizowane w 2007 r. aktywa naftowe. Urzędująca wiceprezydentka Delcy Rodriguez zgodziła się już przekazać pierwsze 30 mln baryłek ropy wartości 3 mld dol., ale roszczenia sięgają 60 mld.

Trump niczym Tarzan

W takich okolicznościach trudno o prognozy. Ale wydaje się, że nie chodzi tylko o Wenezuelę i jej ropę. Towarzysząca interwencji retoryka Trumpa sugeruje, że jej długofalowe polityczne implikacje – na arenie międzynarodowej, a może i krajowej – będą ogromne. I na pewno groźne, zwłaszcza dla Europy i Polski.

Schwytanie Maduro przypomina podobne porwanie w 1989 r. dyktatora Panamy Manuela Noriegi i osądzenie go za narkoterroryzm oraz zabójstwa politycznych przeciwników. Była to jednak ograniczona operacja, Panama jest dużo mniejsza od Wenezueli, a ówczesny prezydent USA George Bush senior starał się wyciszyć jej rezonans, przypominając, że obalenie watażki utorowało drogę do przywrócenia w jego kraju demokracji.

Trump bije się w piersi niczym Tarzan, nie mówi o demokracji i grozi agresją innym nieprzyjaznym mu państwom Ameryki Łacińskiej, z Kubą, Meksykiem i Kolumbią na czele. Powtarza, że cała zachodnia półkula to strefa wpływów USA, zgodnie z XIX-wieczną doktryną Monroe, więc Amerykanie mogą tam robić to, co im się podoba. Bez oglądania się na Kartę ONZ, prawo międzynarodowe i inne tego rodzaju drobiazgi.

Interwencja w Wenezueli mogła być zaskoczeniem. Szczególnie po deklaracjach Trumpa o rezygnacji z „niepotrzebnych" zamorskich operacji. I obietnic, że nie rozpocznie żadnych nowych wojen. Hasło „America First" na sztandarze MAGA zdawało się zapowiadać, że w drugiej kadencji skupi się na sprawach krajowych. Tak sądzili izolacjoniści z republikańskiej prawicy.

Ale Trump w drugiej kadencji nie zawahał się użyć sił lotniczych w Iranie, Iraku, Nigerii, Somalii, Syrii i Jemenie. Czyniąc to samo, co robili jego poprzednicy w Białym Domu, Barack Obama i Joe Biden, którzy też unikali wysyłania w zamorskie misje wojsk lądowych, ale bombardowali wrogów Ameryki z powietrza.

Trump bombardował nawet śmielej, a po operacji w Caracas wezwał do radykalnego zwiększenia – z 1 do 1,5 bln dol. – budżetu Pentagonu na 2027 r., chociaż w pierwszej kadencji obciął go poniżej wielkości proponowanej przez Kongres. Tyle zostało z zapewnień, że będzie „prezydentem pokoju", w które wierzyli jego fani.

Ile kosztuje Grenlandia

A więc zwrot o 180 stopni? Czyżby w Waszyngtonie zwyciężał kurs na interwencjonizm? Z Trumpem nic nie jest jednoznaczne. Słynie z nieobliczalności i kierowania się nie doktryną, lecz instynktem albo sugestiami doradców, z którymi ostatnio rozmawiał. Doktryna jest zawarta w ogłoszonej niedawno Narodowej Strategii Bezpieczeństwa (ang. NSS). I najnowsze działania Trumpa wydają się z nią zgodne. Zapowiada ona m.in. skupienie się USA na podporządkowaniu sobie obu Ameryk, jak każe doktryna Donroe (połączenie Donalda z Monroem), ale sugeruje też wolę ekspansji poza zachodnią półkulę.

Wszystko to wydaje się wzorowane na polityce idola Trumpa prezydenta Williama McKinleya (1897–1901), ojca amerykańskiego imperializmu, który wcielił do USA Hawaje, a potem Guam i Filipiny na Pacyfiku. Czy Trump też nie pogardzi zdobyczami „gdzie się da", to znaczy tam, gdzie nie napotka oporu silniejszego i skuszą go bogactwa mineralne? Nie ma tu zaskoczenia, bo już w jego inauguracyjnym przemówieniu rok temu pobrzmiewał ton megalomańskiego ekspansjonizmu. Najbardziej rażącym tego przykładem są prezydenckie zapowiedzi, że USA powinny zagrabić Grenlandię, autonomiczne terytorium należące do Danii. Trumpiści twierdzą, że trzeba w ten sposób zabezpieczyć strategiczne i ekonomiczne interesy Zachodu przed ekspansją Chin i Rosji. Ale przecież Dania jest członkiem NATO i jej umowa z USA z 1951 r. gwarantuje zachowanie na arktycznej wyspie amerykańskich baz. Ten skandynawski kraj nie zgadza się jednak na propozycje sprzedaży Grenlandii i nie życzy sobie tego jej tubylcza ludność.

Trump mimo to straszy użyciem wojsk do zagarnięcia wyspy. Postawiłoby to NATO w bezprecedensowej sytuacji – konieczności obrony jednego z państw członków Sojuszu przed agresją innego członkowskiego państwa. „To byłby koniec NATO" – ostrzegła duńska premier Mette Frederiksen. Nie zraża to trumpistów. „Można mówić, co się chce, o różnych międzynarodowych subtelnościach, ale żyjemy w realnym świecie, w którym rządzi siła. To są żelazne prawa świata od początku jego dziejów" – powiedział telewizji CNN wiceszef prezydenckiej kancelarii Stephen Miller. To mózg Trumpa sterujący jego intelektem także w polityce zagranicznej.

W takim kontekście nie można już mieć wątpliwości, co nakręca amerykańskiego prezydenta. Na arenie krajowej, gdzie nie czuje się on przecież związany konstytucją, orzeczeniami sądów i ustawami Kongresu. Tak samo na scenie globalnej – zdaje się przekonywać, że nie będzie „niewolnikiem" prawa międzynarodowego. Zapytany w wywiadzie dla „New York Timesa", co może go ograniczać w używaniu amerykańskiej siły militarnej poza granicami kraju, odpowiedział: „Tylko moja własna moralność".

Ponieważ pojawiają się jeszcze opinie, że imperialne ciągoty Trumpa to w historii Ameryki nic nowego, warto przypomnieć, jakim geopolitycznym przełomem jest jego prezydentura. Od 1945 r. USA były głównym spoiwem i liderem globalnego ładu. Stały na straży systemu zbiorowego bezpieczeństwa, ▶

eprasa.pl ffb074335d

▶ naszkicowanego przez Woodrowa Wilsona podczas pierwszej wojny światowej i wcielonego w życie po kataklizmie drugiej wojny. Ład opierający się na wielostronnych porozumieniach, sojuszu państw demokratycznych i wolnym handlu gwarantował światu stabilizację. A Ameryce zapewnił pokój i dobrobyt. USA nadużywały czasem swej pozycji supermocarstwa, postępując niezgodnie z głoszonymi przez siebie szczytnymi wartościami. Ale stały też za tym wyższe racje powstrzymywania ekspansji ZSRR.

Rosja i Chiny się cieszą

Po zakończeniu zimnej wojny Amerykanie naruszali prawo międzynarodowe, choćby napadając na Irak. Ale starali się przynajmniej uzyskać do tego mandat ONZ. W sumie odgrywali na ogół – dla Europy i Polski na pewno – rolę w miarę przyzwoitego szeryfa. Pax Americana załamywał się stopniowo wskutek niewymuszonych błędów Waszyngtonu i relatywnego słabnięcia pozycji USA wobec konkurencji nowych mocarstw. Amerykanie wciąż jednak mieli prawo myśleć o swoim kraju jako „imperium dobra".

Nowy globalny ład według Trumpa to przeciwieństwo systemu, który panował na świecie przez ostatnie 80 lat. Na śmietnik idzie multilateralizm, wielostronne porozumienia międzynarodowe. Kilka dni po desancie w Caracas sekretarz stanu USA Marco Rubio ogłosił wycofanie się USA z 66 międzynarodowych organizacji, określonych jako sprzeczne z jego interesami i „zdominowane przez progresywne ideologie".

Trump ponowił ataki na NATO, mówiąc, że Sojusz w potrzebie „nie przyjdzie Ameryce z pomocą", chociaż jedyny dotąd moment interwencji NATO na podstawie art. 5 zdarzył się w obronie USA, kiedy po zamachach z 11 września 2001 r. sojusznicy przyłączyli się do amerykańskiej inwazji na Afganistan. A mimo to Trump stopniowo rozmontowuje system zbiorowego bezpieczeństwa oparty na sojuszach i wspólnie uzgodnionych regułach.

Preferowany przez Trumpa ład to system umożliwiający pokój dzięki równowadze sił, nowa wersja koncertu mocarstw, jaki istniał w Europie po kongresie wiedeńskim z 1815 r. Tam mocarstwa, które pokonały Napoleona, podzieliły między siebie Europę na wyłączne strefy wpływów – tak, aby nie wchodzić sobie w drogę. Teoretycznie wciąż istniało w Europie wiele mniej ważnych państw, ale każde z nich podlegało któremuś mocarstwu. A te, które miały pecha, jak choćby Polska, na prawie sto lat zniknęły z mapy Europy, bo to było akurat w koncertowym interesie wszystkich mocarstw.

Koncert współczesny będzie globalny – trzej giganci to przywódcy USA, Rosji i Chin. Grając według reguł polityki siły, największe mocarstwa liczą się ze sobą nawzajem, słabszych traktując jak pionki w grze – tak jak w XIX w. W tym nowym układzie Trump nie chce roli dobrego szeryfa, a ponieważ nie ma innego kandydata, świat będzie się przekształcał w Dziki Zachód, miasto bezprawia, w którym największe szanse ma lider najsilniejszej, a więc amerykańskiej, bandy. Z wenezuelskiej awantury i Narodowej Strategii Bezpieczeństwa wynika, że prezydent USA koncentruje się na zachodniej półkuli, to jego strefa wpływów. Czy pozostali uczestnicy wielkiej trójki dostaną wolną rękę w swoich makroregionach?

Jak ujawniła Fiona Hill, specjalistka od Rosji w Białym Domu za pierwszej kadencji Trumpa, Władimir Putin już w 2019 r. oferował Amerykaninowi „wymianę": Rosjanie wycofają zbrojeniowe i szkoleniowe wsparcie dla Wenezueli, jeśli Ameryka pozwoli im hulać w Ukrainie. Ostatecznie Putin napadł na Ukrainę i teraz zapewne myśli o jej zachodnich sąsiadach z NATO. Czy więc Trump odda mu Europę jako strefę rosyjskich wpływów? Negocjacje w sprawie Ukrainy, w których amerykański prezydent nie używa żadnych środków nacisku na Kreml, nie zapowiadają nic dobrego z polskiej perspektywy. Administracja USA planuje redukcję wojsk w Europie, by wzmocnić swoją obecność w Azji.

Co prawda lobby antychińskie – w administracji wiceszef Pentagonu Elbridge Colby, w Kongresie republikańscy przyjaciele Tajwanu – wyglądało na silne. Ale Trump nie wydaje się zainteresowany gwarancjami bezpieczeństwa dla wyspy produkującej 90 proc. światowych mikroprocesorów. Ustawa Kongresu zmusza go do dozbrajania Tajwanu, ale on sam boi się zadzierać z Pekinem. Czy pogodził się z utratą amerykańskiej dominacji na zachodnim Pacyfiku, oddając region Pekinowi? Sprzedaż Tajwanu w zamian za korzystny deal handlowy z Chinami nie jest już czymś nie do wyobrażenia.

Po desancie w Caracas można było półżartem przypuszczać, że dla Putina i Xi stanie się on inspiracją dla podobnej akcji na ich podwórkach. To oczywiście przesada, Putin nie potrzebował przykładu, by napaść na Ukrainę, a plany eliminacji Wołodymyra Zełenskiego snuje od dawna. Xi także od lat planuje wchłonięcie Tajwanu, ale liczy, że uda się to osiągnąć bez wojny.

> Ład światowy według Trumpa to nowy koncert mocarstw, jaki istniał w Europie po kongresie wiedeńskim z 1815 r.

Dla obu autokratów amerykańska interwencja w Wenezueli stała się jednak prezentem nieocenionym – dostarcza im temat do propagandowego usprawiedliwiania agresji: nie jesteśmy gorsi od przywódcy kraju mieniącego się obrońcą wolności i praw człowieka. W ten sposób Trump trwoni resztki *soft power* Ameryki, jej prestiżu i autorytetu. I chociaż inwazja na Wenezuelę ograniczy – niewielką i tak – obecność Rosji i Chin w tym kraju, Putin i Xi się cieszą, bo ważniejsze, że polityka Trumpa zatwierdza niejako podział świata na strefy wpływów w ramach nowego koncertu mocarstw.

Świat o sumie zero

Wojenna inauguracja drugiego roku prezydentury Trumpa jest tym bardziej niebezpieczna, że żyjemy w czasach niespokojnych. XIX-wieczny koncert mocarstw zapewnił Europie pokój przez prawie 100 lat. Ale w następnym stuleciu zakończył się katastrofą dwóch wojen światowych. Dziś czas biegnie dużo szybciej, lokalna wojna w Europie już się toczy, a na całym świecie, jak obliczono, od 2014 r. zginęło w zbrojnych konfliktach kilka razy więcej ludzi niż w poprzedniej dekadzie.

Demokracje, bardziej skore do rozwiązywania sporów polubownie niż dyktatury, są w odwrocie. A nowa polityka forsowania przez mocarstwa swych egoistycznych interesów przyczynia się do podgrzewania napięć i grozi eskalacją konfliktów. Tym bardziej że technika – broń nuklearna, rakiety międzykontynentalne i cyberarsenały – ułatwia załatwianie porachunków na globalną skalę. Trump zapewne wierzy, że przy pomocy komandosów i okrętów uda mu się podporządkować wiele krajów

eprasa.pl ffb074335d

Ameryki Łacińskiej. Że reżim w Wenezueli, jakikolwiek będzie, zostanie zmuszony do przekazania amerykańskim koncernom przynajmniej częściowej kontroli nad jej ropą. Że Meksyk, Kolumbia i inni producenci narkotyków zgodzą się na wspólną z USA rozprawę z narkokartelami. A Chiny i Rosja nie będą miały na zachodniej półkuli nic do powiedzenia.

Trump wydaje się też wierzyć, że nawet jeśli na świecie będzie więcej głodu, biedy i wojen, Ameryka w swej twierdzy pozostanie bezpieczna i będzie jeszcze zamożniejsza, bo według niego bieg spraw międzynarodowych jest grą z sumą zero: kiedy ktoś traci, inny zyskuje. Nie wiadomo jednak, jak potoczą się wypadki w Wenezueli. Jak długo utrzyma się pozostawiony u władzy reżim i czy nie dojdzie tam do wojny domowej. Czy rząd w Caracas będzie spełniał wszystkie żądania Trumpa, skoro prezydent nie chce wysłać tam wojsk i okupować kraju? Czyżby wystarczyły same groźby kolejnej interwencji? – zapytuje retorycznie amerykańsko-polska publicystka Anne Applebaum.

Trudno też liczyć na wyparcie Chin z zachodniej półkuli. Jak zauważył Hal Brands, analityk z American Enterprise Institute, „Chiny spędziły kilka dekad, inwestując w infrastrukturę, handel i przyjazne stosunki z krajami Ameryki Łacińskiej. Będą nadal umacniać ekonomiczne, technologiczne i polityczne więzi z regionem". Wątpliwe, czy odstraszy je obecność amerykańskich okrętów na wodach przybrzeżnych kontynentu.

Fareed Zakaria, amerykański komentator spraw międzynarodowych i gospodarz programu „GPS" w CNN, zwraca uwagę na ryzyko imperialnej ekspansji Trumpa, ignorującej interesy nawet potencjalnych sojuszników: „Na dłuższą metę Ameryka, która zachowuje się na światowej scenie jak całkowicie egoistyczny drapieżca, nie stanie się silniejsza, będzie tylko bardziej samotna. Sojusznicy będą się starali przed nią zabezpieczyć, partnerzy szukać innych opcji, neutralne kraje dystansować się od nas". Zawsze bowiem, przypomina publicysta, wzrost potęgi i hegemonia mocarstwa kierującego się tylko siłą, a nie regułami, wywołuje naturalny odruch zbiorowego sojuszu innych przeciw hegemonowi.

A Daniel Fried, były amerykański dyplomata i ambasador w Polsce w latach 1997–2000, przypomina przestrogę prezydenta Roosevelta z jego radiowej „pogawędki przy kominku" po japońskim ataku w Pearl Harbor: „W świecie rządzonym przez zasady gangsteryzmu żaden kraj nie może się czuć bezpiecznie. Również naszego bezpieczeństwa nie można mierzyć w milach na mapie". I dodaje od siebie: „W interesie Ameryki leży przeciwstawienie się gangsteryzmowi. I mając do czynienia z gangsterami, nie powinniśmy się stać jednym z nich".

Amerykanie podzieleni

Trump miał zapewne nadzieję, że brawurowe porwanie Maduro przysporzy mu popularności w USA. Ale i tutaj może się przeliczyć. Amerykanie są podzieleni w reakcji na wenezuelską interwencję; popiera ją ok. 35–40 proc. i taki sam odsetek ocenia ją źle. Podział przebiega wzdłuż linii partyjnych – prezydenta pochwala zdecydowana większość Republikanów. Neokonserwatywnym politykom Partii Republikańskiej, jak senator Lindsey Graham, podobają się imperialne ambicje Trumpa. Trzy czwarte Demokratów je gani.

Poparcie dla interwencji – zauważają komentatorzy z „Wall Street Journal" – mogłoby być większe, gdyby Trump inaczej je uzasadniał. Zamiast mówić o demokracji i prawach człowieka, łamanych przez Maduro, rozwodził się nad tym, że prezydent Wenezueli kierował szmuglem narkotyków i jak wielkie korzyści przyniesie Amerykanom zagarnięcie wenezuelskiej ropy.

Wiadomo jednak, że trafiającą do USA kokainę produkuje głównie Kolumbia, a czyniący najwięcej szkód fentanyl – Meksyk. Wenezuela jest tylko jednym z krajów ich tranzytu. A masowy import taniej wenezuelskiej ropy to perspektywa odległa, bo trzeba najpierw namówić amerykańskie koncerny do inwestycji w Wenezueli w odbudowę zdewastowanej naftowej infrastruktury, co wymaga wieloletniej stabilizacji w tym kraju.

Opinia publiczna w USA najgorzej przyjęła złowrogie zapowiedzi Trumpa, że przejmie na własność Grenlandię. Wizja zbrojnego konfliktu z Danią i dalsze pogłębianie rozłamu w NATO przeraża również Republikanów. Kiedy więc Demokraci wnieśli projekt rezolucji zabraniającej prezydentowi kolejnej interwencji w Wenezueli bez zgody Kongresu, w Senacie poparło ją pięcioro senatorów republikańskich, co wystarczyło do jej uchwalenia.

Trump nie był jednak pierwszym prezydentem, który zignorował federalną legislaturę, decydując się na zbrojną operację za granicą, co wymaga uprzedzenia Kongresu o planowanej akcji – postępowali tak jego poprzednicy z obu partii: Ronald Reagan, Bill Clinton, George Bush junior i Obama. Opozycja wobec akcji militarnych w Ameryce Łacińskiej rośnie jednak nawet w szeregach Partii Republikańskiej.

> Trump wydaje się wierzyć, że nawet jeśli na świecie będzie więcej głodu, biedy i wojen, Ameryka pozostanie bezpieczna.

Na dłuższą metę poparcie dla interwencji w Wenezueli będzie zależeć od tego, jak się rozwinie sytuacja w tym kraju. Jeżeli Trump – zniecierpliwiony przeciąganiem się pertraktacji z reżimem w Caracas w sprawie ropy – zdecyduje się na kolejną zbrojną operację, może się zdarzyć, że jacyś amerykańscy żołnierze zginą. Kompromitującym dla USA następstwem inwazji może być też wojna domowa w Wenezueli. A kolejnym potknięciem ewentualna, nieudana tym razem, interwencja w Kolumbii albo Meksyku. Amerykanie przypomną sobie wtedy, jak to się zaczęło. I słupki sondażowe Trumpa, obniżające się w ostatnich miesiącach, spadną jeszcze niżej. Poparcie dla prezydenta słabnie wskutek utrzymującej się drożyzny, rosnących kosztów ochrony zdrowia, zniechęcenia ukrywaniem przez rząd tzw. kartoteki Epsteina (zdjęć i innych informacji z archiwum znanego pedofila, przyjaciela wielu ważnych ludzi) i potępienia brutalnej akcji łapanek nielegalnych imigrantów, której najnowszą, tragiczną konsekwencją było zabójstwo przez agenta ICE (Urząd Celno-Imigracyjny) nieuzbrojonej młodej kobiety w Minneapolis.

Polityka zagraniczna nie odgrywa zwykle większej roli w ocenie kandydatów w wyborach. Ale w tegorocznym listopadowym głosowaniu połówkowym do Kongresu zgiełk wokół Wenezueli raczej Republikanom nie pomoże. Dla nas, w Europie i w Polsce, to będzie także głosowanie w sprawie doktryny Donroe i partytury dla koncertu mocarstw.

TOMASZ ZALEWSKI

O sytuacji w Wenezueli czytaj na s. 50.

eprasa.pl ffb074335d



Dojrzewanie to nie film

Gdy w szkole cię hejtują, czujesz się jak w „Procesie” Kafki (bez znaczenia, czy już go czytałeś). Nikt dokładnie nie wie, dlaczego akurat ty jesteś wybrany. Wiadomo tylko, że masz cierpieć.

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl ffb074335d

JOANNA CIEŚLA

Prezydent Karol Nawrocki zawetował ustawę ułatwiającą walkę z przemocą wobec dzieci – także tą popełnianą przez inne dzieci – w internecie. Umożliwiłyby to uchwalone przez Sejm i Senat przepisy wdrażające w Polsce unijny Akt o usługach cyfrowych (DSA, z ang. *Digital Service Act*). O ich akceptację apelowała do głowy państwa m.in. państwowa komisja ds. przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich. Fundacja Panoptykon, monitorująca wpływ technologii na życie społeczeństwa, przygotowała osobny list do pierwszej damy Marty Nawrockiej z prośbą o interwencję u małżonka. Pod wystąpieniem podpisało się 132 ekspertów i ekspertek, m.in. badaczy internetu, specjalistów od edukacji czy praw człowieka. Podkreślali, że hejt i agresywne treści niszczące dzieci zalewają internet, bo opłacają się zarówno publikującym, jak i samym platformom.

DSA określa obowiązki platform społecznościowych i innych big techów w krajach Unii Europejskiej. Wymusza na nich, pod groźbą wielomilionowych kar, m.in. rzetelną weryfikację wieku użytkowników (w Polsce dziś z serwisów i komunikatorów dozwolonych od 13. roku życia korzysta ponad połowa dzieci w wieku 7–12 lat, jak ustalili twórcy głośnego raportu „Internet dzieci"). Akt nakazuje też m.in. blokadę pobierania lub wykonywania zrzutów ekranu treści publikowanych przez dzieci. Realnie ogranicza to ryzyko nękania. By jednak DSA realnie działał, potrzebne jest wprowadzenie przepisów wdrożeniowych. Chodzi m.in. o to, żeby rodzice w razie skrzywdzenia dziecka mogli skarżyć się na platformy naruszające unijne przepisy do polskiego urzędu. W tej chwili Polki i Polacy mogą jedynie korespondować z przedstawicielami serwisów, ewentualnie zgłaszać sprawy do sądu, co przekracza możliwości finansowe i nerwowe zwykłych obywateli. W większości krajów Europy (w Niemczech, Hiszpanii czy Holandii) DSA zaczął działać w ostatnich dwóch latach. W Polsce na razie nie będzie.

Prawicowi politycy ewentualnie byliby skłonni zgodzić się na realny zakaz dostępu dzieci do serwisów społecznościowych (na razie eksperymentowany w Australii), ale dorosłym nie chcą nic zabierać. W możliwości blokady nielegalnych treści w internecie i zwiększenia nadzoru nad big techami prawica widzi symptomy „ograniczania wolności słowa". Obawia się też amerykańskiego gniewu, bo to ze Stanów Zjednoczonych pochodzi większość serwisów i wyszukiwarek. Dlatego Karol Nawrocki nie podpisał ustawy wdrażającej DSA.

– *To były założenia, które oddają kontrolę nad treściami w internecie urzędnikom, którzy podlegają rządowi, a nie niezależnym sądom* – oceniał w nagraniu umieszczonym w mediach społecznościowych.

W cyberprzemocy zawiera się tylko część dziecięcego cierpienia, ale ją właśnie można było wyraźnie ograniczyć, bo skala cyberprzemocy systematycznie rośnie.

Niewidzialni i miękkie faje

Natalia, 14-latka z Olsztyna: – *Cały czas jesteś w centrum uwagi. Wszyscy na ciebie patrzą i śmieją się albo tak syczą, że to, co robisz, jest debilne albo obleśne. Chociaż robisz to samo, co inni.* Jej historia zaczęła się od rozstania z popularnym chłopakiem z klasy. – *Po prostu woleliśmy się przyjaźnić. Ale kilka osób po tym zerwaniu zaczęło mnie nienawidzić.* Gdy na whatsappowej grupie klasowej Natalia pytała o notatki na kartkówkę, dostawała odpowiedzi, że ma się ogarnąć i spierdalać. – *Kiedyś w stołówce zajęłam miejsce, jedyne, jakie było, przy kilkuosobowym stoliku obok mojej koleżanki, i zaczęłam jeść. Reszta przestała. Popatrzyli na mnie jakby ze zdziwieniem i mówią: „A co ty tu robisz? Myślisz, że możesz z nami siedzieć? Nie możesz, Natalia. Idź stąd". Cała stołówka to słyszała. Koleżanka, koło której usiadłam, to była wcześniej moja najbliższa osoba. Potem zaczęła mnie hejtować najbardziej ze wszystkich.* Natalka mówi, że najgorsza była dla niej bezradność. – *Pytałam przyjaciółki: co mam zrobić? Dlaczego taka jesteś? Odpowiadała: dlatego, że żyjesz.*

Michała bił po twarzy kolega z klasy. Oni też wcześniej się kumplowali. – *Ale ja nie jestem dobry w piłkę, a on tak. I wściekał się, że na przykład źle odbieram na meczu, na wuefie* – opowiada 15-latek. – *A potem to się rozlało. Mówił, że jestem „miękką fają" i w końcu zaczął mnie bić.* Michał jest duży, ćwiczy karate. Rodzice uczyli go, żeby sam nie stosował siły. – *Tylko że przez to nie wiedziałem, co mam robić. Mówiłem tylko, że ma spadać, chociaż byłem strasznie wkurzony i zły, i nie wiedziałem, dlaczego nikt mi nie chce pomóc.*

U Mateusza hejt nawet nie miał nadawcy. – *Po prostu, na grupie klasowej pojawił się nowy anonimowy profil. I ten ktoś zaczął na mnie najeżdżać. Że jestem beznadziejny, najbardziej beznadziejny ze wszystkich, potem szły za tym wyzwiska* – relacjonuje nastolatek, dziś licealista. W kolejnych dniach profil zaczął hejtować kilku innych uczniów. – *Koło naszej szkoły rosło drzewo. Ten anonim zaczął pisać, że każdy z nas po kolei ma wejść na to drzewo i się powiesić. Musiała to być osoba z klasy, bo nikt inny nie miał linku do tej grupy.* Mateusz dodaje, że w jego klasie trzy osoby miały niepełnosprawność intelektualną i autyzm. Dwie z tych osób w trybie ciągłym było nękanych oraz bitych (anonimowy hejter początkowo atakował Mateusza za to, że próbował je bronić). Trzeci chłopak sam miał skłonności agresywne i ktokolwiek go tknął, ścigał go po całej szkole tak długo, aż udało mu się oddać. Podstawówka miała status integracyjnej.

Pod koniec grudnia „Przegląd Sportowy" opisał dramat 15-latki, córki znanego siatkarza Jurija Hładyra, nękanej w niepublicznym, kosztownym liceum z klasami międzynarodowymi. Nieco wcześniej najtragiczniejsze informacje napłynęły z Jeleniej Góry, gdzie 11-letnia dziewczynka zginęła w pobliżu swojej szkoły, prawdopodobnie z rąk o rok starszej koleżanki. To wydarzenie najtrudniej objąć umysłem. Ale także w innych sprawach, tam gdzie wydają się rysować względnie spójne motywy aktów przemocy, zazwyczaj to tylko pozory. Zwłaszcza nam, dorosłym, tylko wydaje się, że rozumiemy, o co chodzi.

Przemocy coraz więcej

Liczby opisujące krzywdę, którą dzieciaki i nastolatki robią sobie nawzajem w polskich szkołach i poza nimi, są zatrważające. Według danych Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę 66 proc. osób w wieku 11–17 lat doznało jakiejś formy ataku ze strony rówieśników – fizycznego, psychicznego, napaści zbiorowej. Płeć nie gra roli – dziewczyny i chłopcy obrywają równie często, jednak różnica jest między miastami a wsią. W miastach jest gorzej.

Dr Radosław Kaczan, psycholog rozwojowy z Uniwersytetu SWPS, podkreśla, że kilka procent uczniów doświadcza przemocy, która jest stosowana bardzo często, długotrwale i celowo, przez silniejszego (fizycznie albo psychicznie) agresora, przy udziale grupy innych ▶

eprasa.pl ffb074335d

▶ osób. Co wypełnia kryteria tzw. bullyingu – czyli z angielskiego: nękania, prześladowania. – *To znaczy, że, uśredniając, w każdej standardowej klasie ktoś cierpi, każdego dnia. Jest dyskredytowany, odrzucony i z tego powodu się boi, słabiej uczy, pogarsza się jego zdrowie fizyczne i psychiczne.*

Cyberprzemoc, konkretnie: bycie obrażanym online ma za sobą mniej więcej jedna trzecia uczniów. Tak wynika z badań „Zdrowie psychiczne młodych cyfrowych 2025" Fundacji Dbam o mój zasięg i Banku Gospodarstwa Krajowego, przeprowadzonych z udziałem prof. Jacka Pyżalskiego z Uniwersytetu Adama Mickiewicza, wśród siódmoklasistów i uczniów drugich klas szkół ponadpodstawowych. 5–6 proc. badanych doświadczało tego przez dłuższy czas, np. kilka miesięcy. Co czwarty siódmoklasista i co trzeci drugoklasista przyznali, że sami obrażali innych. I – znów – przez dłuższy czas robiło to ok. 5 proc. pytanych.

Bez tłumacza

Wyniki prowadzonych cyklicznie tą samą metodą badań FDDS świadczą o tym, że skala narasta, zwłaszcza przemocy psychicznej. W 2013 r. przyznawało, że doznało jej choć raz, 28 proc. nastolatków, w ostatniej edycji – już 44 proc.

Lucyna Kicińska, wieloletnia koordynatorka Telefonu Zaufania dla Dzieci i Młodzieży 116 111, dziś m.in. koordynatorka strefy pomocy serwisu www.zwjr.pl (Życie warte jest rozmowy) oraz szkolna pedagożka, podkreśla, że nawet incydentalnych aktów przemocy nie należy bagatelizować. I dodaje, że wiele problemów, z którymi zmagają się nastolatki, początek ma w uznawaniu za „coś normalnego" takich zachowań małych dzieci jak plucie czy popychanie innych. – *Widzę skłonność części rodziców, by przyzwalać na naruszanie granic innych osób, bo „dzieci tak mają". Zgadzam się, że nie należy za to wymierzać ostrych kar, ale trzeba jasno komunikować, że nie wolno tego robić. I trzeba pokazywać, jak radzić sobie na przykład ze złością bez szkodzenia innym.*

Obecnie, zauważa specjalistka, część dzieci około szóstego roku życia nagle dowiaduje się, na przykład w szkole, że nie może kopać kogoś, gdy jest wkurzone. Ani wrzucać śmieci do torby osobie, której nie lubi. – *Taka nagła fala zakazów może napędzać frustrację. Co ma z nią zrobić dziecko? Skoro okazuje się, że nie może bić i drapać, może zacząć stosować przemoc słowną. Albo rozładowywać emocje w sieci. Zwłaszcza że w mediach społecznościowych, przed którymi dzieci w Polsce wciąż praktycznie się nie chroni, agresja i hejt przyjęły się jako norma, czasem wręcz przysparzają popularności.*

Narastanie przemocy ma oczywisty związek z rozrostem cyberprzestrzeni. Oraz z mnożeniem się w niej narzędzi, którymi dzieciaki mogą zadawać sobie ciosy. A dorośli – nawet ci chętni, by je powstrzymywać – bywają wobec nich bezradni. – *W gabinecie nastolatki często pokazują mi screeny wirtualnych rozmów na dowód, że ktoś im dokuczył. Ale bez kontekstu bywa to mylące. Bywa też, że przedstawiają te screeny po „technicznej obróbce", np. wycinają swój wpis, a zostawiają tylko odpowiedź* – opowiada Joanna Zawisza-Smejlis, pracująca w oświacie psycholożka z Wałbrzycha. I dodaje, że sama warstwa językowa też bywa wyzwaniem, bo skróty i emotki radykalnie zmieniają wydźwięk słów, co drastycznie pokazali twórcy głośnego brytyjskiego serialu „Dojrzewanie".

Do tego słowa utraciły stabilne znaczenie – określenie akceptowalne w jednym roku, w kolejnym jest już uznawane za obraźliwe. – *Dlatego ogromnym wyzwaniem są dla nas próby rozstrzygnięć, gdy pojawiają się zgłoszenia przemocy.* Jednocześnie czas oczekiwania na wizytę w szkolnym gabinecie psychologicznym niekiedy rozciąga się na tygodnie, prawie jak w poradniach NFZ. Specjalistów wciąż jest za mało, a potrzeb dużo. – *Przybywa dzieciaków, które potrzebują się wyżalić, że nie mają znajomych i nie wiedzą, jak z innymi rozmawiać. Co powiedzieć po „cześć", żeby się nie wystawić na odrzucenie, ale też żeby nie wyszło „chamsko"? Czasami w sprawie braku znajomych przychodzi połowa tej samej klasy, jeden uczeń po drugim* – kontynuuje Joanna Zawisza-Smejlis.

– *Gdy sami widzimy, że dzieje się coś dramatycznego, trudno nam nawet zebrać informacje, żeby pomóc* – potwierdza dyrektor liceum z województwa zachodniopomorskiego. Tuż przed świętami na lekcji geografii uczeń jego szkoły rozorał sobie żyły długopisem. – *Krew się leje, nauczycielka nie wie, czy tamować mu przeguby, czy z nim wyjść, bo nie może zostawić też reszty klasy. Gdy sytuację udało się opanować, nauczycielka – a była to wychowawczyni – pyta dzieciaki: czy wiecie o jakichś kłopotach Tomka? Co się stało? Odpowiada jej cisza.* Dyrektor obserwuje, że częstą cechą wielu współczesnych nastolatków jest daleko idąca powściągliwość, aby nie wtrącać się, nie dopytywać kolegów, zwłaszcza o trudne sprawy – druga skrajność w podejściu do cudzych granic, po dziecięcej agresywnej ekspansji.

Znaków szczególnych brak

Natalia z Olsztyna ma żal, że nauczyciele w jej szkole nie rozumieli, przez co przechodzi. – *Kiedy uciekałam ze stołówki po tym, jak ludzie odgonili mnie od stołu, pan, który nas pilnował, zapytał, dlaczego wychodzę bez pytania. Widział, co się stało, wszyscy to widzieli i po prostu to zignorował. Wychowawczyni i psycholog w końcu zaczęli nam robić jakieś warsztaty czy pogadanki, ale klasa była na mnie wtedy jeszcze bardziej wściekła – że jestem „makowcem", czyli kapusiem, że to przeze mnie ta strata czasu.* Natalka, żeby trochę poprawić swój los, dołączyła do założonej potajemnie na WhatsAppie innej grupy niż oficjalna klasowa. Miała nazwę TGNB – Tajna Grupa Nienawiści do Bartka. Jej celem było hejtowanie kolegi. Przynajmniej przez ten czas, gdy Natalka nawalała w niego razem z resztą, mogła czuć, że jest z nimi razem.

Mateusz, atakowany podobnie jak kilku jego kolegów przez anonimowego hejtera na klasowej grupie, widział, że wychowawca nie potrafi im pomóc. – *Zaprosił rodziców i pytał ich, co robić. Część chciała zgłosić tę sytuację policji.* Ale, jak mówi chłopak, dyrektor szkoły nie miał chęci, żeby sprawę „rozdmuchiwać". Zwłaszcza że to była ósma klasa – dzieciaki zaraz rozchodziły się do liceów i techników. Ze swojej szkoły odeszła też Natalia. W praktyce opuszczenie grupy przez ofiarę przemocy jest najczęstszym finałem takich zdarzeń (choć wcale nie zawsze kończy nękanie).

Badania pokazują, że bullying jest często postrzegany inaczej przez dorosłych, a inaczej przez uczniów. Dorośli bagatelizują, mylą się w interpretacjach. Jak piszą Jakub T. Mróz, Małgorzata Wójcik i Jacek Pyżalski w artykule „Bullying – prześladowanie rówieśnicze. Prawdy i mity na temat zjawiska", jednym z powodów braku interwencji nauczycieli jest to, że nie znajdują oni u dzieci, które są ofiarami nękania, cech, które stereotypowo się z tym kojarzą. Bo większość – zarówno dorosłych, jak i dzieci – uważa, że prześladowanie zazwyczaj ma związek z wyglądem atakowanego (otyły, chudy, brzydka) albo z jego zachowaniem (np. mówienie z dialektem, nieśmiałość).

eprasa.pl ffb074335d



Przyczyną przemocy może być wszystko – każda cecha, która w jakimś momencie „nie podpasuje" grupie.

Rzeczywiście znaczenie może mieć też m.in. narodowość, orientacja seksualna lub przynależność religijna. Ale co z tego wynika? Że przyczyną może być wszystko – każda cecha, która w jakimś momencie „nie podpasuje" grupie. Na podobnej zasadzie także sprawcą może być każde dziecko. Dręczenie koleżanki lub kolegi, bullying, przemoc rówieśnicza to złożony proces społeczny. Brutalnie mówiąc, załatwia jakieś potrzeby grupy. Ma wiele przyczyn, cechy dzieci są tylko jedną z nich, współgrają z tym, co dzieje się dookoła.

Rodzic patrzy z oddali

Matka Natalii, Maja, obserwowała, że napięcia wśród kolegów i koleżanek córki zaczęły się wcześniej, w piątej klasie. – *Zrodził się wtedy podział „dziewczynki kontra chłopcy".* Z czasem, relacjonuje kobieta, urosła z tego wojna wszystkich ze wszystkimi. Szkoła przydzieliła im dodatkową nauczycielkę, ale nic to nie pomogło. „Rozstanie" Natalki z chłopakiem, kolegą z klasy, stworzyło okazję, by na niej skupić grupową złość. Ale Maja przyznaje, że ataki na jej córkę, której też zdarzało się rozrabiać, nauczyciele mogli przeoczyć w nieustającej globalnej nawalance. – *Sama zorientowałam się, przez co przechodzi moje dziecko, dopiero gdy weszłam na ich klasową grupę whatsappową. Te wiadomości to był po prostu wulgarny ściek, obelgi i wyzwiska, które nie przyszłyby mi nawet do głowy. Bartek, ten hejtowany na osobnej grupie, miał wpisany numer Natalii pod nazwą „Gówno". Ale nauczyciele nie mieli do tego dostępu. Kiedy pokazałam telefon wychowawczyni, powiedziała tylko „nie dziwię się, że zabiera pani córkę z tej klasy".*

Dominika, mama Michała, bitego po twarzy przez kolegę, też czytała wpisy na klasowej grupie na Facebooku. Dowiedziała się między innymi, że według tego kolegi ona sama jest dziwką. – *Ale w furię wpadłam dopiero, gdy zobaczyłam, że Michał ma na ramionach krwawe ślady. Okazało się, że tamten chłopiec na zajęciach praktycznych dźgał go jakimś ostrym szpikulcem. Wtedy wpadłam do szkoły, zapowiedziałam, że jeśli nie będzie stosownej reakcji, to pójdę z moim dzieckiem na obdukcję.* Psycholożka zorganizowała zajęcia integracyjne, rozmowy, były zebrania. Ale na tych zebraniach rodzice agresywnego chłopca tłumaczyli, że reagować powinni „ci, których dzieci mają problem". Czyli Dominika oraz matka i ojciec innej, podobnie nękanej dziewczynki. Michałowi udało się pozbierać, poszedł do innej szkoły. Nękana dziewczynka odebrała sobie życie.

Akcja to nie reakcja

Zdaniem prof. Jacka Pyżalskiego, który od lat bada różne wymiary przemocy rówieśniczej, w tym cyberprzemocy, błędem jest interwencyjne podchodzenie do niej. – *Często zauważamy, że pojawia się problem, i wtedy wkraczamy z jakąś akcją, warsztatami. Wielu dorosłych przyjmuje, że także profilaktyka polega na zaproszeniu kogoś, kto przeprowadzi z uczniami dwugodzinne zajęcia i powie, co to jest przemoc. Owszem, oni to zrozumieją. Ale wieczorem na „socialach" znów będą na siebie napadać.*

Skuteczną profilaktyką, podkreśla pedagog, jest budowanie wspólnoty. – *Czyli: jeśli mamy nową grupę, dajemy jej zadanie wymagające współpracy, żeby te osoby połączył jakiś sznurek. Jeśli powtarzamy takie wspólne sensowne działania, młodzi ludzie rzadziej mają ochotę nawzajem się krzywdzić, mają o czym rozmawiać i mogą się nawzajem poznawać.* To też ogranicza ryzyko cichego krzywdzenia, na które bardzo trudno jest reagować. – *Często patrzymy na przemoc rówieśniczą przez pryzmat szokujących medialnych spraw. Poniekąd jest to zrozumiałe. Rzecz w tym, że gdy ktoś kogoś pobije lub coś zniszczy, z grubsza wiadomo, co robić. Dyrekcja może wezwać policję, sprawa może trafić do sądu rodzinnego, on może nawet skierować sprawcę do ośrodka wychowawczego.* Jednak codzienna przemoc rówieśnicza, jak wykluczanie, nie jest spektakularna. Jest banalna. – *Trudno ukarać kogoś za to, że nie odpowiada koledze „cześć". A takie zachowania bolą dzieci równie mocno jak fizyczne ciosy.*

Lucyna Kicińska dodaje, że przemoc jest zjawiskiem o wiele bardziej wielowymiarowym, niż na ogół się sądzi. Jest jak gra zespołowa. Sprawca i ofiara to tylko dwie z rozmaitych ról w tej grze. – *Część dzieci wchodzi na przykład w role potencjalnych obrońców – uważają, że to, co się dzieje, jest nie w porządku, ale wolą się nie wychylać. Jednak jeśli pojawi się odważny obrońca, który ma siłę powiedzieć „To jest nie OK!", potencjalni obrońcy się aktywują. Są też inne role* – tzw. *gapie, po cichu sprzyjający sprawcy lub po prostu osoby wspierające napastnika.* Żeby mieć szansę opanować sytuację przemocy, trzeba objąć uwagą wszystkich, we wszystkich rolach. – *Takiej pracy na pewno nie załatwi ani absurdalne polecenie „a teraz się nawzajem przeproście", ani komunikat „macie się tak nie zachowywać" bez informacji i ćwiczeń tego, jak dziecko może się zachowywać, gdy buzuje w nim złość czy strach. Bo ono często takich wzorów, przykładów konkretnych i adekwatnych zachowań po prostu nie ma.*

Skuteczne reagowanie na przemoc również jest grą zespołową. I wciąż zdarzają się sygnaliści – uczennica lub uczeń przyprowadza do gabinetu inną osobę. – *„Proszę pani, on potrzebuje pomocy" mówią i wychodzą, zostawiając kolegę* – opowiada Joanna Zawisza-Smejlis. – *A my próbujemy zacząć rozmowę. Zachęcamy też dzieciaki, żeby wybierały sobie osoby dorosłe, które budzą ich zaufanie – to może być szkolny pedagog, nauczyciel wspierający. Nikt się nie obraża, gdy uczeń po rozmowie z jednym specjalistą później zgłasza się do kogoś innego.* Ale o skuteczności takiej sieci decyduje umiejętność współpracy i klimat w zespole dorosłych. Także możliwość interwencji wobec tzw. platform społecznościowych i ich agresywnych użytkowników. Weto prezydenta takie ścieżki blokuje.

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl ffb074335d

W jedności bezsiła

Jedność w PiS ogłoszona właśnie przez Jarosława Kaczyńskiego to raczej zaklęcie niż rzeczywistość. W partii panuje ciężka atmosfera, frakcje chcą dalej grać na siebie, a każdy z ich liderów widzi w sobie kandydata na przyszłego premiera.

ANNA DĄBROWSKA

Dzień po noworocznym spotkaniu kierownictwa partii i klubu, które odbyły się 7 stycznia, pytamy jednego z doświadczonych polityków PiS, czy udało się załagodzić konflikt, który rozrywa partię od środka. – *Tak otwartej wojny nie pamiętam, ale prezes zastosował starą strategię – wyczekać, dać się wyszczekać, ściągnąć lejce i zjechać wszystkich po równo, a na zewnątrz ogłosić jedność. Teraz obserwuje, a ten, kto zaatakuje pierwszy, będzie uznany za rozłamowca i poniesie konsekwencje.* Ktoś inny pociesza się, że lepiej, że to dzieje się teraz niż pod koniec tego roku, kiedy będą już na pełnej parze wchodzić w kampanię wyborczą.

Na 7 stycznia prezes zwołał najpierw spotkanie wiceprezesów partii, czyli PKP (Prezydium Komitetu Politycznego), a na wieczór klub PiS w podwarszawskim Sękocinie. Po pierwszym zgromadzeniu na Nowogrodzkiej stanął z partyjną elitą za plecami i wygłosił oświadczenie. Oznajmił, że partia będzie pracowała nad programem i „z całą pewnością nie będą to dyskusje, które będą miały cokolwiek wspólnego z jakimiś napięciami, nie mówiąc już o rozłamach w partii". Podkreślił, że „to są marzenia naszych przeciwników, te marzenia się z całą pewnością nie spełnią". Ważny polityk PiS mówi, że ta jedność to dziś największe marzenie prezesa, ale na ten moment nie ma wcale pewności, czy się spełni.

Dwie główne zwalczające się frakcje pisowskie to „harcerze" i „maślarze". Od lewej: **przedstawiciele tych pierwszych. Piotr Müller, Mateusz Morawiecki,**





© ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS, FACEBOOK PATRYK JAKI

Dawno publiczność nie uświadczyła ze strony PiS takiego wywlekania partyjnych brudów, wzajemnego obrzucania się błotem i publicznych ataków. W mediach tradycyjnych i społecznościowych od kilkunastu tygodni trwała jazda bez trzymanki. I prezes najwyraźniej stracił nad tym panowanie. To nie tylko spór personalny, ale też o kierunek programowy, w którym ma zmierzać PiS. Wiadomo, że na koniec dnia chodzi też o to, kto zostanie premierem, jeśli wygrają wybory, i kto przejmie schedę po Jarosławie Kaczyńskim.

Lepsza margaryna czy masło?

Przypomnijmy pokrótce głównych bohaterów tej walki na noże między „maślarzami" a „harcerzami". Ci pierwsi zostali tak dość pogardliwie ochrzczeni przez ludzi Mateusza Morawieckiego. Nazwa frakcji wzięła się od Tobiasza Bocheńskiego, który oburzał się, że za rządów Tuska na pokładzie samolotu Lotu zaserwowano mu niemieckie masło. Oprócz Bocheńskiego twarzami frakcji są Przemysław Czarnek, Jacek Sasin i Patryk Jaki. Oni wolą mówić o sobie „czterej muszkieterowie" i nie obrażają się, kiedy mówią o nich „bibliotekarze". A to od słynnego zdjęcia na tle biblioteczki w domu Patryka Jakiego, w którym spotykają się od kilku miesięcy. Popiera ich całkiem spore grono polityków PiS, mocno poirytowanych poczuciem wyższości Mateusza Morawieckiego; najgłośniej Jacek Kurski.

Ich pomysł na powrót PiS do władzy jest taki: scena polityczna na prawo od PiS pęcznieje, więc trzeba odpowiadać na te radykalne nastroje zamiast, jak chce Morawiecki, zabiegać o głosy centrum, które według „maślarzy" nie istnieje, a jeśli już, to zagospodarowało je PSL. Jacek Kurski w rozmowie z jednym posłów ujął dosadnie, co powinni zrobić z Morawieckim: trzeba go wysmarować smołą, obsypać piórami i wypędzić.

Frakcja Morawieckiego woli iść po wyborców umiarkowanych, którzy odeszli, jak przekonują, m.in. po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji – i tam odebrać swoje 10 proc. Mówią o nich „harcerze", bo wielu z nich ma taki właśnie rodowód. Ale „maślarze" nazywają ich „margaryniarzami", bo wiadomo, że jest gorsza od masła, M&M's-ami (inicjały Morawieckiego), „zieloną frakcją", aby skleić ich ze znienawidzonym przez wyborców prawicy Zielonym Ładem. Są mniej liczni, ale od dawna mogą liczyć na poparcie Ryszarda Terleckiego i prof. Piotra Glińskiego.

Z otwartym apelem poparcia dla Morawieckiego na początku roku wystąpili działacze niepodległościowi, w tym prof. Andrzej Nowak i Andrzej Zybertowicz, z którymi Kaczyński się liczy. Piszą wprost do „maślarzy": „W tych atakach chodzi najwyraźniej o chęć wzmocnienia własnej pozycji w partii, bez baczenia na to, że dzieje się to kosztem osłabienia Prawa i Sprawiedliwości...". Przychylnym okiem na „harcerzy" patrzy też Joachim Brudziński. Mają po swojej stronie około 40 posłów, choć tak naprawdę jeszcze nie mieli okazji się policzyć, bo żadnego testu lojalności nie było. Twarzami „harcerzy" są przede wszystkim europosłowie: Michał Dworczyk, Piotr Müller, Waldemar Buda, których w swoim rządzie Morawiecki awansował na ministrów.

Obie strony mają wrażenie, że prezes w środę stanął po ich stronie i usadził przeciwników. Człowiek od Morawieckiego: ▶

Michał Dworczyk. Na sąsiedniej fotografii druga frakcja. Przemysław Czarnek, Patryk Jaki, Jacek Sasin i Tobiasz Bocheński.



▶ – *Prezes mówił na PKP-ie i na klubie słowami Mateusza, że trzeba budować formację wielonurtową i o postrzeganiu PiS jako „szerokiego namiotu". Tylko czy ten przekaz dotrze do „maślarzy"?*

Osoba związana z „maślarzami": – *Już jaśniej się nie dało, aby „margaryniarze" zrozumieli, że prezes chce premiera, który jest dużo młodszy niż pięćdziesięciolatek. Morawiecki (rocznik 1968) zbliża się do sześćdziesiątki. Kiedy to usłyszał na PKP-ie, widać było, że opuścił go dobry nastrój.*

Tuż po Nowym Roku prezes odbył długą rozmowę w cztery oczy z Mateuszem Morawieckim. Według naszego informatora, który trzyma się z boku obu frakcji i też bywa w gabinecie prezesa, Kaczyński przez cały czas rozognionego sporu był w stałym kontakcie z byłym premierem. – *Jarosław uważa, choć wcale nie jest z tego powodu szczególnie zachwycony, że nie ma lepszego kandydata na premiera. Ale nie może tego ujawniać do czasu wygranych wyborów* – twierdzi z pełnym przekonaniem nasz rozmówca.

I wymienia argumenty, które miał usłyszeć od Kaczyńskiego: ma doświadczenie bycia premierem, zna języki, ma kontakty z sojusznikami w Europie, ogromną wiedzę gospodarczą, jest oczytany i jest dla Jarosława partnerem do rozmowy, potrafi myśleć strategicznie, a nie tylko o jednej kadencji w przód. Do tego jest bardzo ambitny, pewny siebie, szalenie pracowity i „nagrzany na politykę". – *Nikt z otoczenia Kaczyńskiego tego nie posiada: ani Czarnek, ani Jaki czy Bocheński. Tylko że Mateusz ma jedną zasadniczą wadę – potworny opór w partii, trudno z nim odzyskać elektorat, który odpłynął do Brauna czy Konfederacji, więc prezes musi go schować, bo inaczej nie wygra wyborów. A Mateusz nie chce dać się schować* – opisuje paradoks całej sytuacji stały rozmówca Kaczyńskiego.



Bunt Mateusza

Doświadczenie ostatnich lat współpracy z prezesem nauczyło go ograniczonego zaufania do Kaczyńskiego. Dziś może mu obiecywać, że teka premiera po wyborach jest dla niego zarezerwowana, ale jak przyjdzie co do czego, to Kaczyński będzie się kierował własnym interesem, aby tylko przejąć władzę. Być może ostatni raz w swojej politycznej karierze. Morawiecki uznał, że jeśli teraz w imię jedności partii będzie musiał ograniczyć swoją działalność, to nie zbuduje swojej szerokiej frakcji w PiS, a bez tego przepadnie. I pewnie ma rację. Nie chce dać się ograć jak kiedyś Jarosław Gowin, który był na wybory w 2015 r. ogłoszony kandydatem na szefa MON, a potem musiał ustąpić miejsca schowanemu na czas kampanii Antoniemu Macierewiczowi. Osoba, która nie jest życzliwa „margaryniarzom", ale też nie trzyma mocno z „maślarzami" twierdzi, że prezes może i coś obiecał Morawieckiemu, ale obietnicy nie dotrzyma. – *Powód jest oczywisty, Mateusz nie będzie sterowalny, a ostatnie tygodnie bardzo dobitnie pokazały to Kaczyńskiemu.* Dodaje, że do czasu słynnego PKP-u z 12 grudnia prezes obserwował wojnę dwóch frakcji, ale tego dnia Morawiecki postawił się publicznie Kaczyńskiemu i to już było dla prezesa za wiele.

Przypomnijmy, że prezes publicznie wyraził oczekiwanie, by Morawiecki pojawił się na spotkaniu kierownictwa PiS w składzie poszerzonym o najważniejszych polityków. – *Prezes wyznaczył linię demarkacyjną, że to co powie, jest realizowane, a Mateusz pokazał, że się na to nie godzi i stawia się na równi z Jarosławem. Mało kto o tym wie, ale prezes próbował się w tamten piątek do niego dodzwonić, ale ten nie odbierał. To zaszokowało kierownictwo i samego prezesa* – zauważa nasz rozmówca. W tym czasie Morawiecki razem z Beatą Szydło i Danielem Obajtkiem spotkali się z mieszkańcami Brzozowa na Podkarpaciu. W PiS wspólny występ byłych premierów nie dziwi. Wiadomo, że Szydło nie pała sympatią do Morawieckiego, ale jeszcze większy żal ma do Kaczyńskiego za upokorzenia, których się wobec niej dopuścił, więc zdecydowała się na wspólny występ ze swoim następcą. Nie jest też wielką zwolenniczką „maślarzy".

Na to grudniowe spotkanie frakcja antymorawiecka przyniosła prezesowi materiały, które, mieli nadzieję, otworzą mu oczy na to, co robi Morawiecki. To jakieś autorskie analizy wskazujące, że przez Morawieckiego elektorat odpływa z PiS na prawo, a podobno bardzo pobudziło ich, kiedy w rozmowie na gazeta.pl u Grzegorza Sroczyńskiego Morawiecki powiedział, że w razie wojny z Rosją wyobraża sobie wspólne rządy z Tuskiem, a także to, że jak już będzie szefem rządu, to bardziej niż rozliczenia polityków KO będzie go zajmować strategiczne myślenie o rozwoju Polski. Przyparty do muru mówił, że Ziobry w jego przyszłym rządzie nie będzie ani Kurskiego w TVP. A nawet więcej, że będzie niezależny, a jak mu ktoś będzie chciał ministrów wybierać, to się nie zdecyduje na tekę premiera. – *To logiczne, że nikt w PiS nie myśli o awansach Ziobry czy Kurskiego, ale nie można tego mówić publicznie. Występy Morawieckiego wzbudzają ogromne zamieszanie wśród naszych wyborców. Bo jak to się ma do tego, co im mówi Czarnek w TV Republika, że jak wybuchnie wojna w Polsce, to Tusk pierwszy spakuje się i wyjedzie do Berlina. Nie do zaakceptowania jest to ciągłe powtarzanie przez Morawieckiego: ja, ja, ja, w moim przyszłym rządzie...* – irytuje się ważny polityk PiS. Dodaje, że prezes stara się rozgrywać to po swojemu, ale w partii oczekują , że jakoś ukarze Morawieckiego, a to się nie dzieje.

To Kaczyński pozwolił Jackowi Kurskiemu opublikować przydługie wpisy na X o tym, że Morawiecki „realizuje jakiś plan przeciwko PiS" i „kuszony jest kooptacją do władzy i osobistymi gwarancjami w zamian za rozbicie albo osłabienie prawicy". A potem prezes wydał polecenie „Jacku skasuj". Kurski tak też uczynił, bo jak tłumaczył, osiągnął cel, i Morawiecki stawił się na Nowogrodzkiej. Typowe zagranie prezesa, obaj mogą mówić, że są w tej rozgrywce górą.

W połowie grudnia w rozmowie na youtubowym kanale TAK! (to inicjatywa Michała Adamczyka i Michała Karnowskiego) Kaczyński wspomniał, że „były jakieś nieobecności, które mogły nie być" (to o nieobecności Morawieckiego na PKP), a to, że „padło kilka niepotrzebnych słów w różnych miejscach" (to o tweetach Kurskiego), ale że „najbliższe dni jakoś to załatwia, wyprostują". Prezes w tej rozmowie nie pokazał najlepszej formy, a i przez kolejne dni sprawy się jeszcze bardziej skomplikowały.

Gwiazdkowy prezent dla prezesa

Dzień później była wigilia na Nowogrodzkiej i dzielenie się opłatkiem, a nawet wspólne zdjęcie. Były telefony do posłów z klubu parlamentarnego, że to jedyna wigilia, że przed świętami Bożego Narodzenia ma zapanować spokój. Ale ludzie od Morawieckiego też wydzwaniali i zapraszali na drugą wigilię, takie świąteczne afterparty tego samego wieczoru w warszawskim biurze byłego premiera. I też było wspólne zdjęcie, ale ludzi mniej niż na oficjalnej klubowej, około 60 osób. – *„Margaryniarze"*

© SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl ffb074335d

chcieli pokazać swoją siłę, a żeby zwabić niektórych naszych posłów z ligi powiatowej, nakłamali, że może prezes też przyjedzie, więc i oni się stawili. Jakby kompletnie nie rozumieli tego sporu! – irytuje się jeden z posłów sprzyjający „maślarzom". Dodaje, że Morawiecki ma plan, aby wprowadzić do Sejmu mocną drużynę, może 60–70 posłów, i zaszantażować prezesa, że jeśli nie spełni obietnicy i nie zrobi z niego premiera, to będzie miał kłopoty z większością.

„Życzliwi" Morawieckiemu przynieśli Kaczyńskiemu na gwiazdkę książkę Jacka Harłukowicza „Chłopcy z ferajny" o aferze wokół Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, na której Skarb Państwa miał stracić nawet 700 mln zł. A beneficjentami układu mieli być ludzie związani z Morawieckim. – *Chcemy uświadomić prezesowi, że pieniądze na kampanie dla swoich ludzi Mateusz ma, a prezes wie, że kto ma kasę, ten wprowadza swoich ludzi do Sejmu* – mówi poseł PiS.

Partia dla normalnych ludzi

Stronnicy Morawieckiego z nieskrywaną satysfakcją powtarzają, że prezes kategoryczne wykluczył możliwość współpracy z Grzegorzem Braunem po wyborach w 2027 r. – *Czyli chce partii dla normalnych ludzi, jak Morawiecki, a jeszcze niedawno Sasin mówił w mediach, że jak trzeba będzie, to PiS zaprosi Brauna do koalicji, że woli rządzić z nim niż z Tuskiem* – zauważa poseł PiS. Przekaz Kaczyńskiego z klubu PiS był taki, by nie wchodzić z braunistami w potyczki słowne i dyplomatycznie się od nich dystansować. Cały aparat partyjny ma pracować na to, by szable Brauna nie były Kaczyńskiemu potrzebne do stworzenia rządu, aby mieli wystarczająco własnych.



Dziś sondaże nie dają na to szans. Kaczyński znalazł się w najtrudniejszym od dekady położeniu – spełnia się jego najgorszy sen o tym, że rośnie mu silny konkurent po prawej stronie, a Karol Nawrocki, którego wyniósł do prezydentury, sprzyja tym radykalnym narodowcom. Podobno Kaczyński spotkał się niedawno z ambasadorem USA w Polsce, który jasno wyraził swoje oczekiwanie, że relacje z Donaldem Trumpem mogą się mocno skomplikować, jeśli Kaczyński zawrze koalicję z antysemitą Braunem.

Aby potwierdzić swoją dominację na prawicy i postawić narodowców w trudnym położeniu, chce zastosować po raz drugi manewr z 2013 r. Ma zgłosić konstruktywne votum nieufności wobec rządu Tuska i zaproponować premiera technicznego. Kiedyś na przemawianie z tabletu trzymanego na mównicy sejmowej przez Kaczyńskiego zgodził się prof. Piotr Gliński. Dziś trwają poszukiwania chętnego do tej straceńczej misji. Mówi się o Piotrze Nowaku. Był wiceministrem finansów w ostatnich rządach PiS, krótko kierował resortem rozwoju i technologii, ale nie dogadywał się z Morawieckim, bo był łączony z frakcją Sasina. Pada też nazwisko Tomasza Szadkowskiego, byłego ambasadora Polski przy NATO. Jeden bardziej kojarzony z gospodarką, drugi z bezpieczeństwem, i obaj jeszcze do strawienia przez skłócone frakcje. – *Ale z żadnym nie są prowadzone poważne rozmowy, więc może to będzie ktoś zupełnie inny, kto pokusi się na jakieś obietnice Kaczyńskiego* – mówi poseł PiS. Dodaje, że Mentzen z Bosakiem i Braun będą musieli się nagłowić, jak wyjść z tej sytuacji. Jak zagłosują przeciw kandydatowi na premiera technicznego, to PiS będzie trąbił, że są za Tuskiem, a jak będą za, to Kaczyński sprawi wrażenie, że wszystkie siły narodowe zbierają się wokół niego.

Jednak jakiegoś konkretnego pomysłu na to, jak odzyskać tych, którzy odpłynęli do Brauna, w PiS jeszcze nie ma. Ktoś zorientowany w kiełkującej strategii powstałej w wyniku ostatnich badań zamówionych przez partię mówi, że nie wolno atakować, ale trzeba pokazywać różnice. – *Na przykład to, że Braun jest skrajnie prorosyjski, że wybiela Niemców za mordy na Polakach, że chce prywatyzacji służby zdrowia i szkolnictwa. Jak się to naszym dawnym wyborcom jasno wyłoży, to wrócą do nas.* Ale sprawa jest bardziej skomplikowana. Dla swoich sympatyków Braun ma prosty przekaz, gaśnicę, i pozwala im czuć dumę z tego, że mają poglądy antyunijne i antysemickie. A Kaczyński niby źle mówi o UE, ale chce w niej zostać, niby mówi o zwrocie mienia pożydowskiego, ale pod dyktando USA nic z tym nie robi.

Operacja „Premier"

Techniczny premier raczej nie przejdzie, a po wakacjach prezes chce ogłosić prawdziwego kandydata na premiera. Kaczyński mówił na PKP-ie: z badań wychodzi, że ma mieć mniej niż 50 lat, znać języki, dobrze wyglądać, być jakoś związany z PiS, ale nie być obciążony władzą. Czyli taki Nawrocki bis. Mówiło się o szefie kancelarii Karola Nawrockiego Zbigniewie Boguckim, za kilka dni skończy 46 lat, więc kryterium wieku spełnia, ma też dość bliskie narodowcom poglądy i podobno uwierzył, że może zostać premierem. – *Były plany, aby ogłosić Zbyszka szybciej, ale Karol się nie zgadza, bo to by go sklejało za bardzo z nami, a on chce być ojcem całej prawicy, a nie PiS. Kaczyński trochę się tym irytuje i chyba Boguckiego odpuścił* – opowiada znacząca osoba z partii. Prezes rzucił na PKP-ie, że ma w głowie propozycję takiego kandydata, ale nie powie.

Z frakcji „maślarzy" kryterium wieku spełniają Czarnek (48 lat) i Jaki (40 lat), ale trudno o nich powiedzieć, że nie są obciążeni ośmioletnią władzą PiS. Ale jest wśród nich pupil Kaczyńskiego – europoseł Tobiasz Bocheński (38 lat), który podobno przynajmniej raz w tygodniu bywa u prezesa na długich rozmowach o filozofii polityki, historii i ekonomii. Krótko był wojewodą mazowieckim, a w 2024 r. przegrał z Trzaskowskim bitwę o prezydenturę Warszawy. Związał się z „maślarzami", ale w partii budzi nieufność, bo zapisał się do PiS dopiero dwa lata temu. – *Za mało jeszcze pokazał, ale cóż, ścieżkę utorował mu sam Morawiecki, który z doradcy Tuska stał się nagle pupilem Jarosława i premierem na kilka lat* – ironizuje z satysfakcją zwolennik „maślarzy".

Jarosław Kaczyński dużo będzie teraz mówił o jedności, ale rozmówcy z każdej partyjnej frakcji w tym akurat są zgodni – do jedności droga daleka. Spotkali się w Sękocinie, w tym samym miejscu, w którym w lipcu ubiegłego roku fetowali z Karolem Nawrockim zwycięstwo w wyborach prezydenckich. – *Bardzo wyraźnie było to czuć w tym właśnie miejscu, przy stołach, podczas kolacji. Tamta atmosfera zwycięstwa wyparowała* – mówi ważny polityk PiS. Dodaje, że to też powinno dać prezesowi do myślenia, że Andrzej Duda wiele razy zapraszał cały klub PiS na spotkanie noworoczne do Pałacu, a Nawrocki, który tyle nam zawdzięcza, najwyraźniej uznał, że ta tradycja nie jest mu potrzebna.

ANNA DĄBROWSKA

eprasa.pl ffb074335d



Osieroceni

Partię Szymona Hołowni czeka długa droga do odzyskania znaczącego poparcia. I musi sobie radzić bez dotychczasowego lidera. Czy ten powrót z dna jest jeszcze możliwy?

RAFAŁ KALUKIN

Wynik rywalizacji o przywództwo w Polsce 2050 do samego końca pozostawał niepewny. Zgodnie z oczekiwaniami sobotnią pierwszą turę wygrała Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, chociaż było to zwycięstwo pyrrusowe, gdyż faworytce zabrakło 8 pkt proc. do zdobycia większości. Następna w stawce Paulina Hennig-Kloska uciułała dwa razy mniej głosów, ale jej widoki na sukces urosły, gdyż to właśnie tę kandydatkę poparli pretendenci, którzy już odpadli: Joanna Mucha, Ryszard Petru oraz niszowy kandydat Rafał Kasprzyk.

Gdyby więc rachować wedle deklaracji, to Hennig-Kloska powinna była wyjść z rywalizacji zwycięsko. Tyle że to metoda zawodna, w dodatku nieuwzględniająca elektorskiej rezerwy. W pierwszym głosowaniu wzięło bowiem udział niecałe 80 proc. uprawnionych członków partii, tak więc w dogrywce frekwencja mogła się zwiększyć. Niestety przeciągnęła się ona aż do późnych godzin wieczornych w poniedziałek, kiedy już nie mogliśmy dłużej czekać z zamknięciem tego numeru POLITYKI. Z konieczności zmuszeni więc byliśmy zrezygnować z postawienia kropki nad „i".

Ale ktokolwiek wyszedł z tej rywalizacji zwycięsko, będzie miał teraz ostro pod górkę. Nie tylko z powodu ogólnie złej kondycji Polski 2050, która osiadła na sondażowych nizinach i wydaje się właściwie zbędna na dzisiejszej scenie. Wewnętrzne wybory dodatkowo teraz potwierdziły, że tej formule politycznej dramatycznie brakuje poczucia sensu. Do tej pory spajało ją charyzmatyczne przywództwo Szymona Hołowni, a kiedy lidera zabrakło, znajdujący się dotąd w cieniu spadkobiercy rzucili się sobie do gardeł. Partia wychodzi z tej próby głęboko podzielona, być może na krawędzi rozpadu.

W oficjalnej debacie sprzed pierwszej tury cała piątka kandydatów co prawda spijała sobie z dziubków, deklarując przyszłą współpracę. Ale już wtedy było wiadomo, że to tylko fasada dla ostrej, momentami brutalnej rywalizacji. Do mediów wyciekały listy partyjnych działaczy, których rzekomo zatrudniała kierująca resortem funduszy Pełczyńska-Nałęcz, co miało ją kompromitować, gdyż jednym z partyjnych sloganów jeszcze z epoki Hołowni było wystawianie na zewnątrz „kuwet dla tłustych kotów". Zaatakowana kandydatka odpowiadała, że to brudna gra konkurencji, a dane zostały zmanipulowane, przy okazji oskarżając media o ingerencję w wewnętrzne wybory.

Również media społecznościowe pełne były wzajemnych insynuacji. Konkurentów Pełczyńskiej-Nałęcz najczęściej oskarżano o tajne układy z Donaldem Tuskiem, któremu rzekomo mieli obiecać ostatecznie utopienie Polski 2050 w zamian za miejsca dla siebie na listach wyborczych KO. Ale Pełczyńska-Nałęcz również musiała dźwigać własną czarną legendę o planie wyborczego sojuszu z Partią Razem, co wydaje się już skrajnie nieprawdopodobne. Kiedy jednak puszczają emocjonalne hamulce, wiarygodność podnoszonych zarzutów przestaje się liczyć.

Najbardziej jednak zagotowało się na samym finiszu kampanii. Najpierw kontestowano internetowy tryb głosowania jako niebudzący zaufania i trudny do skontrolowania przez osoby bez dostępu do sieci informatycznej. A już w trakcie krótkiej pauzy pomiędzy pierwszą i drugą turą atmosfera zrobiła się całkiem plemienna. Obie kandydatki mobilizowały

© DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl ffb074335d



Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz (pierwsza z lewej) i Paulina Hennig-Kloska to dwie główne rywalki o schedę po Szymonie Hołowni

swoje zaplecza poprzez zdalne komunikatory, w których padły kolejne ostre słowa. Uaktywnił się na koniec Szymon Hołownia, który zarzucił najdawniejszemu druhowi Michałowi Kobosce zdradę, gdyż ten poparł Hennig-Kloskę. Tymczasem założyciel ruchu twardo, choć unikając oficjalnych deklaracji, wspierał Pełczyńską-Nałęcz. Spięcie miało doprowadzić do karczemnej awantury, w wyniku której trzynaścioro wspierających faworytkę Hołowni posłów i posłanek wypisało się z internetowej grupy służącej do wspólnej komunikacji. I może to być prefiguracja przyszłego rozłamu.

Żaden z wcześniejszych autorskich ruchów politycznych nie poradził sobie z problemem sukcesji po abdykacji ojca założyciela. Jedne obumierały natychmiast (jak Ruch Palikota), inne trwały w formule przetrwalnikowej (Samoobrona) bądź roztapiały się w szerokich formacjach (Nowoczesna, Wiosna). Co pokazuje skalę trudności, przed którą stanęli teraz spadkobiercy Hołowni. Najwyraźniej nie byli jednak przygotowani na to, co może ich czekać.

Jak gdyby uznali, że wystarczy im teraz wybrać spośród pretendentów „nowego Szymona" i pójść drogą prostej kontynuacji pod nowym liderem. Tak przynajmniej zdawała się sądzić Pełczyńska-Nałęcz, która chętnie odwoływała się do mitycznego „DNA" Polski 2050, czyli specyficznego, na poły aktywistycznego jeszcze etosu z pionierskiej kampanii Hołowni z 2020 r. Miała do tego prawo, gdyż w odróżnieniu od swoich konkurentów była zaangażowana w ruch od samego początku. Tyle że prostych powrotów w polityce najczęściej nie ma. Zbyt wiele się po drodze wydarzyło, a sama Pełczyńska-Nałęcz nigdy też nie stanie się prostym zamiennikiem Hołowni.

Żeby więc doszło do udanej sukcesji, należało dokonać transformacji całego modelu przywództwa od charyzmatycznego do programowo-ideowego. Problem w tym, że takiej operacji nie da się przeprowadzić w sposób żywiołowy, trzymając się tylko wyborczych procedur. Przydałoby się nieco reżyserii: uporządkowania linii podziału, wynegocjowania optymalnej stawki kandydatów (najlepiej okrojonej), zrozumiałej opowieści dla szerokiej publiczności, wreszcie zbudowania ciągłości z poprzednim etapem.

Tak to zwykle wygląda w profesjonalnych partiach, które już się nauczyły, że we współczesnej polityce warto ograniczać wewnętrzną demokrację na rzecz konsolidacji. Wyborcze zjazdy zazwyczaj więc poprzedza wielomiesięczna dyplomacja, mozolne ucieranie się interesów, równoważenie wpływów frakcyjnych. Partia wychodzi wtedy z wewnętrznych wyborów silna, bez głębszych pęknięć i ze wzmocnioną legitymacją lidera.

I Polska 2050 też tak mogła. Problem w tym, że jedynym potencjalnym reżyserem mógł być Hołownia, gdyż nikt inny nie cieszył się porównywalnym autorytetem. Ale najwyraźniej już mu się nie chciało zadbać o swoją trzódkę. Odchodził z polityki dokładnie tak samo, jak ją wcześniej uprawiał. Egocentrycznie skupił się na zabezpieczeniu własnej przyszłości, podejmując starania o prestiżowe stanowisko w ONZ. Sprawiał wrażenie obrażonego na koalicyjnych partnerów, media, nawet własną partię. Zamiast więc zadbać o jej przyszłą spójność i pilnować ogólnych ram rywalizacji, ograniczył się do zakulisowego wspierania coraz bardziej polaryzującej partię Pełczyńskiej-Nałęcz.

W tej sytuacji pogrążające się w chaosie ugrupowanie zafundowało sobie sukcesję na rympał. Kto nosił w plecaku buławę, ten się po prostu wystawił i w efekcie nastąpił absurdalny wysyp kandydatów, których w szczytowym momencie zrobiło się aż siedmioro. Postronnej publiczności oczywiście trudno było się w tym gąszczu rozeznać. Mało kto wiedział, jakie opcje reprezentują pretendenci, czym się od siebie różnią, jaki jest nowy pomysł na partię. Zamiast tego słychać było głównie o kopniakach pod stołem, intrygach nieformalnych „spółdzielni". Czyli partyjniactwie najgorszego gatunku.

Pod fasadą plotek i wzajemnych oskarżeń mimowolnie wyodrębniły się jednak dwie konkurujące opcje. Pełczyńska-Nałęcz zapowiadała twardą walkę do końca o utrzymanie politycznej suwerenności partii. Odwołując się w pierwszej kolejności do głęboko ugruntowanej w strukturach Polski 2050 niechęci do Tuska, z którym w rządzie od dawna zresztą toczy spory i nie chce mu się dać podporządkować. Z tego powodu pomiędzy nimi często iskrzy, a sam Tusk nie dość, że blokuje Pełczyńskiej-Nałęcz awans na stanowisko wicepremierki, to jeszcze na finiszu partyjnych wyborów miał podobno dać nieformalnymi kanałami do zrozumienia, że wolałby za partnerkę w radzie liderów koalicji Hennig-Kloskę.

Koncepcja Pełczyńskiej miałaby jednak sens, gdyby Polska 2050 miała widoki na samodzielne przetrwanie. Przy obecnych sondażach wydaje się to jednak wątpliwe, a sama kandydatka raczej też nie daje rękojmi na wyjście z impasu. Chociaż wyraźnie aspiruje do roli „nowego Hołowni", który podtrzyma charyzmatyczny model przywództwa, w gruncie rzeczy bardziej przypomina ambitną menedżerkę ▶

eprasa.pl ffb074335d

▶ niż rasowego polityka. Obiecywała częściej „sprawczość" w forsowaniu projektów Polski 2050, które nie układały się w czytelny wzór ideowy. Nie podzielając jednak prorynkowej ortodoksji głównych rywali w partyjnych wyborach, trochę na zasadzie kontrastu została pasowana na „lewaczkę" (bo też zdarzało jej się ciepło mówić o „społecznej gospodarce rynkowej" i sprawiedliwych podatkach), co z kolei było asumptem do spekulacji o dogadywaniu się z Adrianem Zandbergiem. Ogólnie rzecz biorąc, jej obietnica powrotu do korzeni ruchu odwoływała się przede wszystkim do emocji i trudno ją uznać za realistyczną.

Alternatywą była z kolei ideowo prorynkowa formacja, którą najbardziej otwarcie forsował Ryszard Petru, ale w miarę upływu kampanii coraz wyraźniej identyfikowały się z tą opcją również Paulina Hennig-Kloska oraz Joanna Mucha. To wszystko osoby spoza grupy inicjatywnej z kampanii Hołowni w 2020 r., które dołączyły na kolejnych etapach. Każda z nich miała już zresztą swoje wcześniejsze doświadczenia (w Nowoczesnej bądź Platformie Obywatelskiej). Nic dziwnego, że punktem odniesienia była teraz dla tej trójki głównie kampania parlamentarna Trzeciej Drogi z 2023 r., w której znacząco zmodyfikowano wcześniejszą linię polityczną. Nastawiając się na rywalizację z rosnącą Konfederacją, Polska 2050 postawiła wtedy na hasła obrony prywatnej przedsiębiorczości.

Wciągnięty wtedy na listy Petru akurat odnotował na tym polu sukces w głośnej debacie ze Sławomirem Mentzenem. Niemniej dla całego środowiska był to wybór bardziej pragmatyczny. Po wyborach próbowano zresztą nieraz jeszcze zagrać prorynkową kartą, szczególnie przy okazji ostatecznie nieudanych zabiegów na rzecz obniżenia składki zdrowotnej. W miarę ogólnego słabnięcia przywództwa Hołowni jego formacji coraz trudniej było jednak budować koherentne oblicze.

Teoretycznie wciąż jednak istnieje przestrzeń dla formacji z jednej strony jednoznacznie wolnorynkowej, z drugiej – wolnej od populistycznych odruchów Konfederacji, stojącej po stronie demokratycznej, proeuropejskiej. W praktyce takich wyborców do końca będzie kusić Koalicja Obywatelska, której co prawda zdarza się często meandrować, ale za to dysponuje realną polityczną siłą. Zresztą cała koalicja pod wodzą Tuska przesuwa się w tę stronę, co można było ostatnio zaobserwować przy okazji sporu z Lewicą o projekt poszerzający uprawnienia inspekcji pracy. Koncepcja oponentów Pełczyńskiej-Nałęcz tak samo więc nie gwarantowała politycznego odbicia. Ale też utrzymanie suwerenności za wszelką cenę raczej nie było ich zasadniczym celem, co świadczyłoby o racjonalności ich diagnozy.

Bo w gruncie rzeczy wszystko wskazuje na to, że osierocony ruch Hołowni już nie ma przed sobą dobrych alternatyw. Szczególnie po tak polaryzujących wyborach wewnętrznych. Ktokolwiek je ostatecznie wygrał, zapewne nie będzie w stanie sprawnie zarządzać dramatycznie skonfliktowaną partią. Prędzej należy już przewidywać rozłam, może nawet niejeden. I jeżeli coś w tej historii jest naprawdę istotne, to jej wpływ na los rządzącej koalicji w drugiej połowie kadencji.

Premier Tusk z pewnością się dzisiaj obawia podziału klubu Polski 2050 na dwie części. Oznaczałoby to dla niego pojawienie się dodatkowego partnera, z którym trzeba się dogadywać. Potencjalnie kapryśnego, każącego sobie coraz więcej płacić za głosy w Sejmie. Wieloczłonowa koalicja już dzisiaj bywa trudna, szczególnie w terenie. Dalsze poszerzenie koalicji spotęgowałoby problemy.

Ale jeszcze groźniejszym scenariuszem byłby rozpad niekontrolowany, w warunkach chaosu, kolejnych pojedynczych odejść, przypadkowych decyzji. Nie jest tajemnicą, że PiS od dawna wysyła swoich emisariuszy, którzy kuszą co bardziej zdezorientowanych posłów Polski 2050 obietnicą przyszłych korzyści po zmianie barykady. Do tej pory byli oni odporni, chociaż ogólne fiasko politycznej odnowy może to zmienić. Na szczęście rządząca koalicja dysponuje w miarę bezpieczną, bo dziesięcioosobową nadwyżką sejmowych głosów. Musiałoby więc dojść do masowego podkupienia, na co się raczej nie zanosi.

Wynik wyborów w Polsce 2050 zapewne będzie miał również wpływ na przyszłe wyborcze konfiguracje. Obiecywana przez Pełczyńską-Nałęcz samodzielna ścieżka była najbardziej ryzykowna dla szeroko pojętej strony demokratycznej, groziła utratą głosów w ogólnym bilansie. Tusk nieprzypadkowo więc wspierał jej rywali, którzy z pewnością byliby dużo bardziej elastyczni w negocjowaniu warunków wspólnego startu. Ale to zapewne w scenariuszu wystawienia wspólnych list również z PSL (i być może Lewicą, chociaż to mniej prawdopodobne). Bo istnieje jeszcze jedna alternatywa, o której też mówiło się ostatnio w politycznych kuluarach: wspólnym projekcie ludowców, wolnorynkowej flanki Polski 2050 oraz uwolnionych w wyniku ograniczenia kadencyjności popularnych samorządowców. Chociaż szeroka mobilizacja tych ostatnich w krajowej polityce to wciąż głównie fantazja, za którą nie stoją jeszcze żadne fakty. Powracająca zresztą dosyć regularnie w kolejnym już wyborczym cyklu.

Sierotom po Hołowni warto mimo wszystko zadbać o zachowanie choćby minimum spójności, gdyż mogłyby wtedy liczyć na premię z tego tytułu. Zawsze w końcu lepiej wchodzić do politycznych sojuszy z pozycji formalnego partnera, który bierze udział w negocjacjach i przysługują mu określone parytety. W przypadku resztek po Polsce 2050 zapewne skromne, chociaż przy tak wyrównanym układzie sił ich 1–2 proc. zawsze będzie ważyło na tyle sporo, żeby tego środowiska całkiem nie zbywać. Alternatywą jest indywidualne dogadywanie się z pozycji petenta, czego doświadczył dwa lata temu zabiegający o miejsce na liście powracający do polityki Ryszard Petru. I chociaż ostatecznie dopiął swego, zapewne nie było to dla niego komfortowe.

W razie niekontrolowanego rozpadu wszyscy jego klubowi partnerzy znajdą się w podobnej sytuacji. Niezależnie od ideowych różnic przede wszystkim podzielą się oni statusowo. Ci ze znanymi nazwiskami i potencjałem przyciągania unikalnych wyborców zapewne znajdą sobie miejsce w innych formacjach (oby koalicyjnych). Ci mniej znani, bez doświadczeń i osobistej pozycji, znajdą się na przegranej pozycji. Co niestety może również wpłynąć na ich doraźne kalkulacje, wywołując trudne dzisiaj do przewidzenia turbulencje, szczególnie przy okazji sejmowych głosowań. Warto więc w miarę możliwości powstrzymywać chaos w tej części sceny, gdyż będzie na nim zyskiwać wyłącznie opozycja. Jest to chyba dzisiaj jedyna realistyczna ścieżka dla byłej partii Hołowni, która właśnie wkroczyła w schyłkową fazę swojego istnienia. I zapewne czeka ją taki sam los jak wszystkie tego rodzaju projekty w przeszłości.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl ffb074335d

THE POWER OF CONNECTION



DARON ACEMOĞLU



TIMOTHY GARTON ASH



SCOTT GALLOWAY



JESSIE INCHAUSPÉ



OLGA TOKARCZUK



SZCZEPAN TWARDOCH



BORIS KUDLIČKA



WILHELM SASNAL



MATI STANISZEWSKI

ElevenLabs



MARTA ŻYCIŃSKA

Mastercard



PRZEMYSŁAW GACEK

Grupa Pracuj



WOJCIECH SOBIERAJ

UniCredit

13-14 MAY

POZNAŃ / WIELKOPOLSKA

impact'26

eprasa.pl ffb074335d

Gorzkie proszki



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

eprasa.pl ffb074335d

W świecie opioidów Frankensteina i podrabianych hormonów granica między lekiem a trucizną nie istnieje. Kupujemy suplement na odchudzanie, a dostajemy koktajl z toksycznej chemii. Oto brutalny raport o polskim podziemiu farmaceutycznym.

PAWEŁ WALEWSKI

W piwnicach podmiejskich domów, gdzie powietrze gęste jest od kurzu i wilgoci, kwitnie nowa era prywatnej przedsiębiorczości – nielegalna produkcja leków i suplementów, która sprawia, że dawne hobby w stylu produkcji bimbru wydaje się szczytem higieny. To efekt pędu ku samoleczeniu i medycynie stylu życia – wszak chcemy lepiej wyglądać i mieć więcej wigoru; ale to też owoc agresywnego marketingu, który wmawia nam, że cudowną terapię może dziś sobie zaserwować każdy.

W bezkresnym katalogu internetowych obietnic zdrowia i wiecznej młodości łatwo przeoczyć, skąd biorą się te cudowne mikstury. Z lśniących, sterylnych fabryk? Rzeczywistość jest mniej apetyczna. Oglądamy zdjęcia z nalotu policji w woj. pomorskim – z miejsca, które równie dobrze mogłoby być garażem. Właśnie tam, w murach z obłażącą farbą i podłogą zastawioną paletami, kartonami i wiadrami bije serce podziemnej farmacji, to prawdziwa sceneria produkcji „sprawdzonego w sieci" wzmacniacza libido lub rewelacyjnego spalacza tłuszczu.

Wiadro, proszek i ułuda

W półmroku, pomiędzy pudłami z niezidentyfikowanymi proszkami a stosem pustych czarnych buteleczek, gotowych na wlew eliksiru, działa w pełni profesjonalny (choć nieoficjalny) park maszynowy. Tuż obok etykiet na szpulach i kartonów z dietetycznymi suplementami stoi maszyna do napełniania kapsułek, wraz z matrycami, wagą i zgrzewarkami indukcyjnymi. To nie jest kuchnia, gdzie miesza się koktajle proteinowe; to miniatura zakładu produkcyjnego.

Z jego wnętrza, jak wynika z zatrzymanych dowodów, wypływają niebagatelne ilości – ponad 10 tys. tabletek umieszczonych luzem w workach i 302 tys. kapsułek popakowanych w butelki, gotowych do wysyłki na Allegro, OLX albo do dyskretnych sklepów z „naturalnymi suplementami". A skład? Na razie wiadomo o 40 kg „substancji sproszkowanej niewiadomego pochodzenia" (oklejonej chińskimi etykietami) oraz 20 litrach „substancji płynnej o nieprzyjemnym i drażniącym zapachu".

To, co czyni ten garażowy przemysł tak ironicznym, to przepaść między marketingową opowieścią a brudną rzeczywistością. Po jednej stronie mamy elegancką stronę internetową – zapewnienia o najwyższej jakości laboratoryjnej i rzekomej czystości składników, poparte fałszywymi pieczęciami i nic nieznaczącymi certyfikatami. A po drugiej – kilogramy niezidentyfikowanej substancji w proszku, leżące obok wiader i worków na śmieci.

Proces pakowania tych cudów natury odbywa się w warunkach, które inspekcja sanitarna nazwałaby eufemistycznie „brakiem odpowiednich standardów". A to jest właśnie laboratorium, w którym rodzi się dawka „czystej, standaryzowanej" ashwagandhy – prosto z półki, na której jeszcze wczoraj stała butelka z rozpuszczalnikiem lub olejem roślinnym. „Prosto z USA" przeszedł drogę od chińskiego proszku przez piwnicę z grzybem.

– *Przeraża mnie, jak łatwo w Polsce założyć takie pseudolaboratorium* – mówi prof. Zbigniew Fijałek, specjalista farmacji kryminalistycznej i prezes założonego w 2017 r. Stowarzyszenia STOP Nielegalnym Farmaceutykom. – *Maszyny do formowania tabletek, czyli tzw. tabletarki, można kupić na Allegro już za 12 tys. zł. Ich wydajność to kilka tysięcy sztuk na godzinę. W ofercie są również mieszaniny wszystkich substancji pomocniczych, matryce do kapsułek, laboratoryjne wagi, drukarki etykiet.*

Nie wiemy, bo nie szukamy

Nie ma w Polsce nadzoru nad handlem takim asortymentem. W Stanach Zjednoczonych urząd czuwający nad bezpieczeństwem żywności i leków, czyli FDA (Food and Drug Administration), wprowadził nie tylko wymóg atestacji urządzeń potrzebnych do produkcji leków, ale też udziela zgody na ich zakup. – *Jestem realistą i całkowita likwidacja obrotu sfałszowanymi lekami i suplementami diety nigdy się nam nie uda, ale trzeba wprowadzić przynajmniej systemy utrudniające ich wytwarzanie* – dodaje prof. Fijałek.

To rzeczywiście problem ogólnoświatowy, a jego skala jest potężna. Obejmuje np. kradzieże leków z legalnych zakładów farmaceutycznych lub transportów cargo (w ten sposób organizacje mafijne pozyskują m.in. substancje czynne do produkcji własnych preparatów lub sprzedaży poza obrotem aptecznym) – od maja 2023 do połowy 2025 r. wykryto 118 takich dużych kradzieży. Interpol i Europol w latach 2024–25 skonfiskowały w 20 krajach 4,7 mln tabletek oraz 175 tys. ampułek z podrobionymi lekami, których wartość przekraczała 11 mln euro. Inna operacja koncentrowała się na przesyłkach ze sfałszowanymi farmaceutykami trafiającymi do odbiorców przez internet – na rok przed pandemią covidu w ciągu zaledwie tygodnia skontrolowano milion paczek, z czego zarekwirowano aż 550 tys., ponieważ zawierały niedeklarowane leki. Ostatnia operacja trwała od grudnia 2024 do maja 2025 r. – w 90 krajach skonfiskowano 50 mln dawek o wartości 65 mln euro.

W Unii Europejskiej liczba alertów dotyczących sfałszowanych leków i suplementów diety zwiększyła się między 2024 a 2025 r. z 300 do 350. Europa Wschodnia wydaje się na tym tle jednym z najbezpieczniejszych regionów w porównaniu z poziomem odnotowanej przestępczości, ale obraz ten jest zafałszowany. – *Nie mamy informacji, to nie ma problemu* – ironizuje prof. Fijałek. – *A nie mamy informacji, bo ich po prostu nie szukamy, nikogo to nie interesuje.*

Polska od 2011 r. nie podpisała konwencji MediCrime Rady Europy o „zwalczaniu fałszowania produktów leczniczych", więc nie skoordynowano pracy służb w tym celu. Państwo pod tym względem czuje się zwolnione z odpowiedzialności, również ▶

eprasa.pl ffb074335d

▶ za edukację i uświadamianie potencjalnych zagrożeń. Ale w 2024 r. w Polsce i krajach sąsiednich oraz w Rumunii liczba postępowań dotyczących nielegalnego obrotu produktami leczniczymi wzrosła o 40 proc. względem 2022 r. Zarówno centralne biuro zwalczania cyberprzestępczości, jak i wydziały do zwalczania zorganizowanej przestępczości ekonomicznej włączyły się do wykrywania grup stojących za tym procederem.

Do współpracy z organami ścigania zaangażowali się również pracownicy zespołu analityczno-śledczego Polskiej Agencji Antydopingowej, bo *gros* ukrytych w garażach i piwnicach producentów nielegalnych produktów ma w swoim portfolio również zabronione odżywki dla sportowców. – *My nie tylko szkolimy Żandarmerię Wojskową, Straż Graniczną, policję oraz prokuratorów z zakresu przestępczości farmaceutycznej i związanej z dopingiem, ale też udostępniamy nasze bazy danych i oferujemy pomoc ekspertów* – wylicza kierująca tym zespołem Agnieszka Ostrowska. – *Co roku zajmujemy się ponad 100 sprawami, w których wspieramy polskie i zagraniczne służby.*

Astma na odchudzanie

To, co dla przedsiębiorczych „farmaceutów" jest dochodowym modelem biznesowym (niskie koszty wynajmu, zerowe standardy sanitarne, maksymalna marża), dla konsumentów jest igraniem ze zdrowiem. Roczne koszty leczenia powikłań po stosowaniu leków z nieznanych źródeł w krajach Unii przekraczają 10 mld euro. Każda z tych kapsułek mogła zawierać cokolwiek, co akurat było pod ręką – substancję drażniącą, niesprawdzone wypełniacze, a w najgorszym wypadku coś, co z medycyną nie miało nic wspólnego poza kształtem i kolorem butelki.

Niedawno pisaliśmy o sfałszowanych anabolikach i odżywkach dla kulturystów (POLITYKA 49/25), jednak podziemny rynek czerpie największe dochody z preparatów na odchudzanie, zaburzenia erekcji, poprawiających wydolność umysłową, stosowanych w medycynie estetycznej, ale też hormonów, a nawet przeciwnowotworowych cytostatyków. Prof. Jolanta Zawilska z Zakładu Farmakodynamiki Uniwersytetu Medycznego w Łodzi rzuca światło na mroczny świat fałszowanych opioidów. – *W Polsce jednym z popularnych źródeł fentanylu, który od lat sieje spustoszenie za oceanem, są legalne tzw. transdermalne plastry przeciwbólowe. Mimo że po trzydniowej aplikacji uznawane są za zużyte, nadal stanowią cenny łup. Ze zużytego plastra można wyekstrahować 30–40 proc. pierwotnej dawki substancji, którą narkomani wykorzystują dożylnie, donosowo lub poprzez inhalację. A najbardziej zdeterminowani tną plastry na paseczki i umieszczają w odbycie.*

Ceny surowców do produkcji tego syntetycznego opioidu są szokująco niskie: prekursory potrzebne do wytworzenia jednego kilograma fentanylu kosztują zaledwie 200 dol., co czyni go znacznie tańszym w produkcji niż opium lub heroina. Dilerzy z iście farmaceutyczną precyzją mieszają go z substancjami wypełniającymi, a następnie prasują w tabletki tak, by łudząco przypominały legalne leki na receptę, takie jak Vicodin.

Prof. Zawilska podkreśla, że wbrew medialnym doniesieniom i wykreowaniu fentanylu na głównego wroga, to wcale nie ten opioid jest wyzwaniem w Polsce. W 2024 r. prawie pół miliona osób codziennie przyjmowało tramadol lub oksykodon, a co najbardziej zatrważające, jedynie 25 proc. zażywających te leki opioidowe pozyskiwało je legalnie od lekarza, podczas gdy cała reszta zdobywała je pokątnie, najczęściej przez internet. – *Narkomani, z determinacją godną chemików, potrafią wyekstrahować*



nawet do 68 proc. oksykodonu z 10-miligramowej tabletki, kruszając ją i wciągając roztwór przez wacik do strzykawki – zauważa prof. Zawilska. Choć producenci próbują powstrzymać ten proceder, wprowadzając nowe postaci tabletek, które miałyby utrudniać rozkruszanie i zmniejszać potencjał uzależniający, jest to nieustanna zabawa w kotka i myszkę, gdzie czarny rynek zawsze znajdzie nowy sposób, by ominąć pułapki. Jakby tego było mało, zaczął się on teraz zapełniać nitazenami, zwanymi pieszczotliwie „opioidami Frankensteina" – nową grupą syntetycznych opioidów, których siła działania potrafi być nawet 500 razy większa od morfiny (eksperci ostrzegają, że wkrótce rozleją się po całej Europie).

Od niedawna w pokątnie zdobywanych opakowaniach przeciwbólowych specyfików można spotkać ten groźny narkotyk, co potwierdza prof. Zbigniew Fijałek. – *Na tym polega największy problem z fałszowaniem leków – tabletka 80 mg OxyContinu może zawierać substancje wielokrotnie silniejsze w działaniu niż zadeklarowany składnik, który powinien w nim być. Ale jest coś jeszcze: niełatwo wymieszać w niej wszystkie substancje, by zapewnić jednolitą mieszaninę; dlatego przy metodach chałupniczych w jednej tabletce może nie być żadnej substancji aktywnej, a w drugiej znajduje się czterokrotna dawka śmiertelna.*

Ten sam problem dotyczy suplementów diety, bo jeśli nawet zawierają to, co mogą – składniki roślinne – to są one w dawkach wielokrotnie większych niż dopuszczalne normy. Są również sytuacje odwrotne: większość suplementów zawiera tylko połowę deklarowanej na opakowaniach dawki, czasem nawet ćwierć.

Wiadomo to z badań, które przeprowadzane są na wydziałach farmacji. Na przykład w Zakładzie Chemii Leków, Analizy Farmaceutycznej i Biomedycznej Wydziału Farmaceutycznego w Warszawskim Uniwersytecie Medycznym wzięto pod lupę ziołowe suplementy wspomagające potencję – ich jakość była tak marna, że nie było szans, aby mogły się prawidłowo uwalniać w przewodzie pokarmowym i działać. – *Producentom sfałszowanych suplementów zależy jednak na pozytywnych opiniach konsumentów, więc wkładają do nich substancje, które zgodnie z prawem zarezerwowane są wyłącznie do leków i mają silniejsze działanie* – informuje Agnieszka Kalicka, której zespół w ziołowych

eprasa.pl ffb074335d

suplementach wykrył typowe dla leków na potencję substancje aktywne: sildenafil i tadalafil. A w suplementach na odchudzanie – niedozwoloną sibutraminę oraz salbutamol stosowany w leczeniu astmy oskrzelowej.

– *Z sibutraminą już od wielu lat mamy ogromny problem* – przyznaje prof. Fijałek. – *Choć Europejska Agencja Leków wycofała ją z rynku w 2010 r., w latach 2019–23 udokumentowano ponad 150 przypadków zatruć produktami odchudzającymi, które miały ją w swoim składzie. A aż 70 proc. suplementów na odchudzanie importowanych z Azji zawiera niezadeklarowaną na opakowaniach sibutraminę.*

Hormonalne bomby

W świecie, gdzie innowacja farmaceutyczna spotyka się z desperacją uzależnionych (niekoniecznie od narkotyków, ale po prostu od leczenia), granice między lekiem a trucizną zacierają się. Widać to choćby na przykładzie hormonów tarczycy oferowanych w sieci jako preparaty mające potęgować działanie sterydów anabolicznych lub pomagać w odchudzaniu. Zbadane przez zespół Kalickiej produkty zawierające lewotyroksynę wykazywały dramatyczne odchylenia od deklarowanego składu. Jeśli powinno być 50 µg (mikrogramów) substancji aktywnej, a badacze potwierdzili zaledwie 40 proc. tej zawartości, to znaczy, że stosowanie preparatu nie przyniesie żadnych efektów.

Prawdziwy dramat ujawnił się przy tabletkach z liotyroniną: deklaracja producenta wskazywała na 25 µg substancji czynnej, a one zawierały ponad 600 µg. Tak wielokrotne przekroczenie najpewniej wynikało z niedokładnego wymieszania masy tabletkowej, ale przyjmowanie takich „dropsów" jest skrajnie niebezpieczne, ponieważ przedawkowanie liotyroniny może wywołać nadczynność tarczycy wraz ze wszystkimi jej objawami (nie jest ona zresztą w Polsce zarejestrowana w monoterapii ze względu na brak dowodów na bezpieczeństwo; a jednak można taki preparat zdobyć w internecie).



Co więcej, w obu hormonalnych lekach odkryto zanieczyszczenia: steroidy anaboliczne, substancje stosowane w leczeniu raka piersi (tamoxifen), zaburzeniach erekcji (sildenafil), a nawet niepłodności (klomifen). Co najbardziej szokujące i nadaje sprawie status kryminału, w tych samych produktach wykryto także kokainę oraz jej dwa główne metabolity. Jak konkluduje Agnieszka Kalicka, świadczy to o tym, że w miejscu, gdzie te leki były produkowane, najprawdopodobniej wytwarzano również narkotyki.

Tylko skąd o tym miałby wiedzieć pacjent? – *Zakup leków nie jest jedynie aktem konsumpcyjnym* – mówi dr mec. Robert Krasoń z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego. – *Stanowi on wyraz oczekiwania, że produkt, który pacjent kupi i przyjmie, jest autentyczny i bezpieczny. Klient nie dysponuje technicznymi ani naukowymi instrumentami, które pozwoliłyby mu samodzielnie zweryfikować jakość lub pochodzenie leków. Musi ufać w funkcjonowanie skutecznego państwowego nadzoru farmaceutycznego.*

A jak dziurawy jest ten nadzór, skoro w Ministerstwie Zdrowia od lat nie ma zespołu ds. sfałszowanych leków, w którym pracowaliby wspólnie przedstawiciele policji, kontroli celnej, prokuratorzy i farmaceuci. Gorzej, że większość podróbek trafia do sieci internetowej, którą nadzorować najtrudniej i tylko od świadomości pacjentów zależy, by nie zaopatrywać się w leki i suplementy z podejrzanych źródeł. – *Tymczasem w mediach społecznościowych, które stały się ważnym kanałem sprzedaży rozmaitych medykamentów, marketing zastępuje medycynę, a pacjenci przestają odróżniać leczenie od obietnicy leczenia* – zauważa dr Oleg Burdzenia, naczelnik Wydziału ds. Produktów z Pogranicza w Urzędzie Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych. Jego zespół zajmuje się klasyfikowaniem pojawiających się na rynku leków i suplementów diety.

Oznakowanie produktów ma dziś więcej treści reklamowej niż merytorycznej. Firmy próbują usunąć z opakowania informacje wymagane prawem, argumentując, że „nie ma dla nich miejsca", jednocześnie dodając rozbudowane, często wprowadzające w błąd slogany. Materiały te, jak mówi dr Burdzenia, wyglądają tak, jakby były projektowane pod TikToka, a bezpieczeństwo pacjenta miały za nic. Częstym zjawiskiem jest np. celowe przedstawianie specyfików roślinnych jako środków farmaceutycznych, by nie można było odróżnić, co jest lekiem, a co suplementem. A różnica powinna być czytelna: suplement jest środkiem spożywczym i podlega pod przepisy prawa żywnościowego, a nie – jak w przypadku leków – znacznie restrykcyjniejszego prawa farmaceutycznego.

Nadzór, nadzór, nadzór

Jak wynika z raportu Państwowej Inspekcji Sanitarnej, w 2024 r. na terenie Polski funkcjonowało 414 wytwórni oraz 1048 hurtowni suplementów diety. Są one pod nadzorem inspekcji sanitarnej, która przeprowadziła 1942 kontrole – ale aż co czwarta była kontrolą interwencyjną w odpowiedzi na zgłoszone nieprawidłowości.

Z jak potężną szarą strefą mamy do czynienia, obrazuje jeszcze jedna statystyka, zaprezentowana podczas niedawnej konferencji naukowej w Łodzi, poświęconej fałszerstwom na rynku farmaceutyków: w latach 2017–20 zarejestrowano w Państwowej Inspekcji Sanitarnej ponad 62 tys. powiadomień o zamiarze sprzedaży w Polsce suplementów diety (to jedyny wymóg, by mógł zostać wprowadzony do obrotu), ale procesem weryfikacji udało się objąć zaledwie 5 proc. tej liczby (3571 produktów). Z tej skromnej puli zweryfikowanych aż 211 nie otrzymało pozytywnej oceny, ponieważ nie spełniały definicji suplementu diety, zawierając niedozwolone składniki lub takie, które należałoby zakwalifikować jako leki.

– *Obywatele oczekują prawa do bezpieczeństwa zdrowotnego, że nie będą narażeni na zagrożenia wynikające z działalności przestępczej, połączonej z brakiem odpowiedniego nadzoru* – mówi dr Robert Krasoń. Niestety, fałszywość nabytego leku najczęściej wychodzi na jaw dopiero w momencie realnego naruszenia zdrowia. Dlatego państwo, podkreśla dr Krasoń, ma obowiązek, a nie ewentualność, konsekwentnie przeciwdziałać obecności fałszywych leków na rynku. Równolegle trzeba oddać rolę dowodom naukowym i odbudować zaufanie do systemu stworzonego po to, by chronić pacjenta, a nie wspierać sprzedaż iluzji.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl ffb074335d



U jednych wzbudzają zachwyt, u innych przerażenie. Dorosłych kobiet tulących w ramionach lalki jest coraz więcej. Niosą w sobie historie, które bywają bardzo bolesne.

Lale na bóle

ANNA DOBROWOLSKA

Na ich niemowlęcych twarzach widać każdą, nawet drobną żyłkę. Oczy mają zapuchnięte, w kącikach ust czasem gromadzi im się ślina. Niektóre wyglądają, jakby spały, inne czarują spojrzeniem. Reborny – hiperrealistyczne lalki, które do złudzenia przypominają ludzkie niemowlęta. W Stanach Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii ich widok na ulicach już raczej nie dziwi. W Polsce, kto potrzebuje, to znajdzie, a wręcz będzie zaskoczony skalą zjawiska. Pełno ich w sieci: w social mediach, na YouTube, w serwisach aukcyjnych. Nie są tanie – ich ceny wahają się od kilkuset do kilku tysięcy złotych, choć są i droższe. Ale coraz więcej kobiet pragnie je mieć. Dorosłych – bo te lalki nie służą do zabawy.

– Za każdym zakupem najczęściej kryje się coś więcej niż tylko chęć posiadania pięknego przedmiotu. Nierzadko są to historie, które zupełnie nie kojarzą się z cukrowym różem dziecięcych śpioszków: bywają poronienia, depresja, utrata marzeń o posiadaniu długo wyczekiwanego maleństwa. Ale też wyrwy z własnego dzieciństwa – brak miłości ze strony matki, potrzeba utulenia wewnętrznego dziecka. Wiele z tych kobiet natrafiło w swoim emocjonalnym życiu

eprasa.pl ffb074335d

na jakąś dziurę, którą zaklejają właśnie te lale – opowiada Barbara Smolińska, Polka, która kilkanaście lat temu zaczęła tworzyć własne lalki. W 2021 r. BBC umieściło ją na liście 100 najbardziej wpływowych kobiet świata.

Pomoc w terapii

Angelika jest uznaną ginekolożką. Razem z mężem nie mogą mieć dzieci. To trudne, zwłaszcza dla niej. Ale jej historia z rebornami zaczęła się ponad 20 lat temu, gdy była jeszcze nastolatką i planowanie macierzyństwa raczej nie było jej w głowie. Nie pamięta dokładnie okoliczności, w jakich lalkę nabyła – tylko to, że była bardzo droga i przybyła do niej z Austrii. Po początkowym entuzjazmie lalka trafiła do szafy, a potem do znacznie młodszej siostry. Angelika dorosła, pracowała jako ginekolożka, o lalkach zapomniała. Do czasu, gdy poznała swojego męża i po wielu staraniach okazało się, że nie jest im dane wspólne potomstwo. Temat często powracał, były łzy, smutek, poczucie pustki.

– *Gdy zaczęłam być nieprzyjemna dla moich pacjentek przychodzących potwierdzić ciążę albo zdarzało mi się wybuchnąć płaczem, robiąc im pierwsze ciążowe USG, poczułam, że tak dłużej być nie może. Że muszę poszukać pomocy z zewnątrz.* Trafiła na terapię, zaczęła stopniowo analizować swoje uczucia i emocje i tak któregoś dnia rozmowa zeszła na temat lalek reborn. I wtedy przypomniała sobie o tej lali z dzieciństwa. Niewiele myśląc, weszła w internet i zamówiła lalkę, która wpadła jej w oko. Gotową, żadne personalizowane projekty. Teraz lale są trzy. Mają własny pokój, ubranka, wózek i łóżeczko.

Babcia Angeliki, która właściwie jest dla niej jak mama, była początkowo przerażona zachowaniem wnuczki. Wiedziała, jak bardzo Angelika chce mieć dziecko, bała się, że coś złego dzieje się z jej głową. Przerażenie narastało, gdy w domu zaczynały się pojawiać dziecięce mebelki i ubranka. Najbardziej jednak Angelika bała się reakcji męża, przez chwilę nawet zastanawiała się, czy lali przed nim nie ukryć. Stwierdziła jednak, że skoro są małżeństwem i mieszkają w jednym domu, to całkiem bez sensu. Ale od początku jasno zaznaczyła granicę – lalka jest tylko jej i nie planuje dla nich żadnej zabawy w dom. Mąż przyjął to ze spokojem. Podobnie jak fakt, że po pierwszej pojawiły się kolejne, a do nich łóżeczko czy wózek.

– *Nadał jej nawet imię i zdarza mu się chodzić po domu, kołysząc ją na rękach. Niby dla żartu, ale dla mnie to przyjemny widok. Jestem mu za to wszystko bardzo wdzięczna. Choć czasem się z niego śmieję: stary chłop, a z lalką na ręku* – opowiada. Ona sama wcale nie ma potrzeby oddawania lalom każdej wolnej chwili. Mówi, że wystarczy jej czasem to, że sobie na taką lalę kilka minut popatrzy. Ale są też dni, kiedy w ogóle do niej nie zagląda, nie zabiera jej też na wyjazdy.

Drażni ją hejt dotykający rebornowego środowiska, nieprzyjemne opinie, których w internecie nie brakuje. – *Traktuję swoje lalki jak dzieła sztuki, ale też pomoc terapeutyczną, nikomu krzywdy nie robię* – tłumaczy. Skąd się biorą te uprzedzenia? Ciekawym tropem może być hipoteza *uncanny valley* (w polskim tłumaczeniu „dolina niesamowitości"), ukuta w latach 70. ubiegłego wieku przez japońskiego inżyniera i konstruktora robotów Masahiro Moriego. Zgodnie z nią robot, rysunek czy animacja komputerowa, która przypomina człowieka, wywołuje u obserwatora nieprzyjemne uczucia, a nawet odrazę.

Dzieło sztuki

Wróćmy do Barbary Smolińskiej. Jej historia z rebornami zaczęła się dość banalnie. Kilkanaście lat temu szukała prezentu dla kilkuletniej wówczas córki. Przeglądając internetowe ogłoszenia, zauroczyła się małym orangutanem, który do złudzenia przypominał żywą małpkę. Nie był tani, ale zachwyt wziął górę. Kolejne były już lale. Ze względu na ich koszt i głód nowych twarzy nigdy nie miała w tym samym czasie więcej niż kilku modeli. Kupowała, odsprzedawała, z czasem zaczęła też coś po swojemu upiększać, domalowywać, zmieniać obciążenie (aby lale lepiej układały się na rękach). Z zawodu jest kosmetolożką, więc fach w ręku był, zacięcia też nie brakowało.

W końcu zdecydowała się na zakup pierwszego „gołego" modelu, kompletu farb i piecyka do wypiekania. Chciała zrobić wszystko od początku, całkiem po swojemu. Wciągnęła się w tę pracę, ale wciąż było jej mało. Stworzyła grupę na FB, założyła kanał na YouTube, zaczęła o lalkach mówić publicznie, organizować zjazdy ich miłośników. Wychodziła z lalkami w wózku z domu i nagrywała, jak ludzie reagują na ich widok. Czuła, że dotyka tabu. W zasadzie cały czas to czuje. I nie jest w tym poczuciu odosobniona.

– *Większość moich bohaterek mimo nierzadko trudnych przeżyć wie, że opiekuje się lalką, a nie prawdziwym dzieckiem. To są normalne kobiety, często mają mężów, inne dzieci* – opowiada fotografka Karolina Jonderko. Gdy 13 lat temu odwiedziła w Anglii siostrę, w telewizji leciał właśnie „My Fake Baby" – dokument o lalkach reborn, który zaskoczył ją na tyle, że gdy trzy lata później dostała prestiżowe stypendium agencji fotograficznej Magnum, od razu pojechała do Anglii na targi im poświęcone. Tu przyszło kolejne zaskoczenie – gdy tylko ujawniała cel swojej wizyty, kobiety odwracały się do niej plecami. Zainteresowanie mediów było dla nich sygnałem, że znów staną się obiektem kpin i sensacji, bo w takim świetle dotychczas je pokazywano. Dla klików ujawniano najbardziej niedorzeczne historie, nierzadko kobiet z zaburzeniami psychicznymi. – *Przedstawiano je jako samotne dziwoląg, które nie mogą mieć dzieci, więc kupują sobie lalkę*. Ostatecznie się udało, fotoreportaż powstał, a w 2021 r. zyskał światowy rozgłos, otrzymując drugą nagrodę w prestiżowym konkursie World Press Photo.

Szkolą i koją

Pierwsze reborny zaczęły powstawać nie tak dawno, bo w latach 90. XX w. w USA. Artyści rękodzielnicy rozbierali na kawałki stare plastikowe lale i malowali je na nowo z zachowaniem hiperrealistycznych szczegółów tak, by jak najbardziej przypominały ludzkie dzieci. Lalki zyskiwały nowe życie (z ang. *rebirth*), ale wciąż były produktami dość niszowymi. Raczej do podziwiania w galerii sztuki niż zalegania na dziecięcej półce z zabawkami. W 2002 r. pojawiła się pierwsza oferta sprzedaży takiej lalki na eBayu i wszystko ruszyło. Temat podłapały media, a mieszkanki USA, Brazylii i Kanady zachwyciły się rebornami. Rynek zaczął puchnąć – od lal, akcesoriów, prefabrykatów. Powstawały stowarzyszenia twórców, ruszyły targi, konkursy.

Rebornowe lale często można teraz spotkać na planach filmowych i w studiach fotograficznych. Ostatnio w Polsce sztuczny noworodek został wykorzystany w choreografii jednego z tańców w popularnym show. Jego pojawienie się na parkiecie wstrząsnęło jury i publicznością i chyba osiągnęło zamierzony efekt. Spolaryzowanym komentarzom w sieci nie było końca. Reborny świetnie sprawdzają się też w szkołach rodzenia i podczas ▶

eprasa.pl ffb074335d



▶ szkoleń z ratownictwa medycznego. Ich kształt i ciężar są niemal identyczne jak noworodka. W sieci kwitnie też rynek lalek z drugiej ręki. Popularne są adopcje (tak określa się ich sprzedaż), ale też coraz częściej używane lalki trafiają do domów pomocy społecznej czy ośrodków terapeutycznych. Dają ukojenie osobom starszym, samotnym, podobno całkiem nieźle odnajdują się też w domach seniora.

Winylowe i silikonowe

Każda lala to zazwyczaj dzieło dwóch osób, przeważnie kobiet, rzeźbiarki i artystki. Rzeźbę wykonuje się z glinki poliestrowej i dopiero z niej wykonywany jest odlew. Najczęściej z winylu. Te z silikonu to już w rebornowym świecie tzw. wyższa półka. Widać to także po cenie. Lalki z winylu kosztują zazwyczaj kilka tysięcy złotych, silikonowe to już raczej wydatek kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu tysięcy. Każdy z materiałów ma swoje wady i zalety. Silikon jest bardziej miękki, lepiej imituje fakturę ludzkiej skóry, ale też jest delikatniejszy, bardziej podatny na pęknięcia czy odkształcenia.

Rzeźbiarek w Polsce jest niewiele. Polskie artystki najczęściej kupują modele do pracy od zagranicznych koleżanek. Zazwyczaj mają swoje ulubione twórczynie, bo tutaj na wagę złota jest właśnie detal. Każda fałdka czy grymas na twarzy, kształt paluszka u dłoni, ucha, noska czy podbródka. Lalka przychodzi niepomalowana, bez wypełnienia, rozczłonkowana. Jak w każdym biznesie, tak i tu istnieją wykwalifikowani pośrednicy. Można u nich znaleźć całe katalogi gotowych modeli oraz wszystkie inne elementy potrzebne do procesu twórczego – farbki, wypełnienia, włosy, oczy, a także specjalne mechanizmy, które imitują oddech, bicie serca, czy zapach (podobno wyjątkowo urocza jest lawenda i dziecięcy talk). Ostatnio na rebornowych grupach pewne poruszenie wywołują lalki składane z tanich chińskich prefabrykatów – ponoć rozpadają się w dłoniach.

Bolesne historie

Barbara Smolińska w swych projektach odwzorowuje pojedyncze zadrapania, znamiona, pieprzyki. Jedna lala to dla niej kilkadziesiąt godzin pracy. Wiele projektów tworzy na tzw. szczególne zamówienie. Powstają na podstawie zdjęć czy drobiazgowych opisów przyszłych właścicielek. Czasem lalka ma wyglądać tak jak one same w dzieciństwie. Niekiedy jak dziecko, którego życie zostało przerwane w wyniku poronienia lub choroby. Kobiety potrzebują lalki, by sobie jakoś poradzić z tą stratą. Albo pożegnać, gdy śmierć była niespodziewana, a sytuacja na tyle trudna, że nie starczyło na to czasu. Albo sił. Te historie są jednak na tyle bolesne, że wiele z nich nie wychodzi poza drzwi prywatnych mieszkań i garstkę najbliższych osób. Dotyczą kobiet o różnym statusie społecznym, często tych publicznych lub na wysokich stanowiskach.

Dla Smolińskiej praca nad takimi projektami to ogromny wysiłek emocjonalny. – *Często czuję rozdzierający ból i żal tych kobiet. Ale to właśnie tego typu zamówienia są esencją mojej pracy. Jeśli taka lala ma przynieść komuś coś dobrego, musi być wyjątkowa.*

Nawet jeśli drobne winylowe ciałko odwzorowuje wcześniaka, maleństwo z zespołem Downa, FAS czy rozszczepionym podniebieniem, a nawet zrośnięte bliźniaki. Tak, takie lalki też w jej pracowni powstają, a Barbara musi się do tego dość gruntownie przygotowywać, by z precyzją oddać wszystkie anatomiczne szczegóły danej wady rozwojowej. Emocjonalny ciężar tych przedmiotów (tak, to wciąż są jednak przedmioty) sprawia, że zazwyczaj stają się rodzinną pamiątką i nie trafiają do kolejnego obiegu. Za potrzebą





posiadania lalki nie zawsze kryje się bezpośrednia strata.

Lukrowane macierzyństwo

Beatę Sawicką, obecnie mamę trzech dorosłych córek, reakcje ludzi przekonanych, że zachwycają się noworodkiem, po usłyszeniu, że to tylko lalka, bardzo bawiły. Przez jej dom przez ostatnich kilka lat przewinęło się tych lalek kilkadziesiąt. Nie wszystkie były jej równie bliskie, nie wszystkim nadawała imiona. – *To taki powrót do najlepszych momentów macierzyństwa. Do czułości, bliskości, bez krzyków, przewijania czy karmienia na żądanie. Taki emocjonalny relaks, gdy mogłam wyjść z lalą pospacerować albo pójść do sklepu i wybierać małe, słodkie ubranka.*

Reakcje innych ludzi traktowała raczej z ciekawością, nawet gdy nie były do końca przychylne. Jedna sytuacja jednak szczególnie utkwiła jej w pamięci. – *Któregoś dnia wybrałam się odebrać córkę ze szkoły z wózkiem. W środku była lala. Dzieci, jak to dzieci, otoczyły wózek. Przybiegły też nauczycielki, które były zafascynowane winylowym noworodkiem* – opowiada. Kilka dni później Beata odebrała telefon od wychowawczyni córki. Ta nieco skrępowana próbowała nawiązać do tematu lali. – *Zapytała, czy aby na pewno moja córka traktuje ją jak przedmiot, a nie prawdziwego braciszka. Jej niepokój wzbudził fakt, że córka na wycieczce szkolnej kupiła lali drobny upominek, to była forma żartu.* Nauczycielce nie dawało to spokoju, stąd interwencja. – *Wyjaśniłyśmy to sobie i pani chyba zrozumiała, że wszystko z nami jako rodziną jest OK, że nie traktujemy lalki jak żywego dziecka i pełnoprawnego członka rodziny. Nie było już tematu* – dodaje.

Doktor Marta Majorczyk, pedagożka, psycholożka i doradca rodzinny z Uniwersytetu SWPS, podkreśla, że czujność, którą zachowała nauczycielka córki Beaty, w ogóle jej nie dziwi. – *Wykazała się dużą uważnością i ciekawością. Dobrze, że chciała to wyjaśnić.*

Przyznaje, że ocena fenomenu lalek reborn jest trudna z kilku względów: motywacje kobiet kupujących takie lalki są różnorodne, a jednocześnie brak jeszcze rzetelnych badań naukowych, które pokazywałyby konkretny wpływ takich lalek jako narzędzi terapeutycznych. – *Powoli pojawiają się badania nad wpływem tego rodzaju przedmiotów na osoby starsze, z zaburzeniami neurorozwojowymi i rzeczywiście jest pozytywny. Nie wiadomo jednak do końca, czy taka lalka będzie w każdym przypadku skutecznym mechanizmem, ułatwiającym wyjście z poważnego emocjonalnego kryzysu. Stąd pewnie dystans polskich psychologów i psychoterapeutów* – tłumaczy.

Znalezienie kogoś, kto w swojej praktyce zaleca kontakt z takimi lalkami albo wprowadza je jako element prowadzonej terapii, nie jest łatwe. Doktor Majorczyk podkreśla, że za potrzebą posiadania takiej lalki stoi zazwyczaj jakaś inna życiowa potrzeba, którą warto sobie uświadomić. Najlepiej skonsultować to z psychologiem lub psychoterapeutą, tak żeby zakupu dokonywać już w pełni świadomie. – *Lalka w wielu sytuacjach może dawać spokój i ukojenie, jednocześnie nie może jej być podporządkowywane całe życie rodziny. Te granice muszą być jasno postawione przez bliskich. Lalka powinna być tylko pewnym etapem przepracowywania trudnej historii. Podobnie jak terapia kiedyś się kończy, tak i lalka powinna odegrać swoją rolę i dumnie zasiąść na półce albo zostać przekazana komuś, komu w danym momencie jest potrzebna.*

O tym, że te granice są niezwykle potrzebne, może świadczyć to, co dzieje się dziś w Brazylii. Kilka miesięcy temu dziennikarze „New York Timesa" opisali, jak rebornowe lalki zawładnęły sercami tamtejszych kobiet, ale także całą sferą popkultury – od mediów społecznościowych, po teksty piosenek czy popularne telenowele. Nad ich fenomenem zaczęli się pochylać nie tylko psycholodzy czy dziennikarze, ale także prawnicy. Zastanawiają się publicznie, co ma zrobić lekarz, gdy w szpitalu pojawi się kobieta z rebornem albo przedszkolanka, gdy pod jej opiekę trafi winylowa lalka.

Poważna pani doktor

W Polsce temat rebornów można jeszcze uznać za niszowy. Choć wszystkie bohaterki tego tekstu chciałyby, by ich pasja nie była wytykana palcami, a ukojenie, które przynoszą im lalki, nie było tematem kpin i szyderstwa. Barbara Smolińska dwa lata temu zaczęła studiować psychologię kliniczną. Twierdzi, że hobbystycznie, ale lata pracy i ogrom emocji, który towarzyszy tworzeniu lal, i kontakt z potrzebującymi ich kobietami sprawił, że pragnie jeszcze lepiej zrozumieć, jak może im pomóc. – *Chciałabym jakoś tę psychologię kliniczną i lalki reborn połączyć. Może będzie to pomoc w wychodzeniu z traum, może gabinet psychologiczny z lalkami, a może jeszcze coś innego.* Na razie zamierza znów aktywniej mówić o lalkach w sieci i wyprowadzać je na spacery.

Angelika też czasem korzysta ze swojego wózka. Ale raczej wieczorami i w bocznych parkowych alejkach, tak żeby nikt przypadkiem nie zobaczył. Nie chciałaby usłyszeć od przypadkowo spotkanej pacjentki, że „taka poważna pani doktor, a upadła na głowę. Lalki w wózku woźi".

ANNA DOBROWOLSKA

Zdjęcia pochodzą z fotoreportażu „Reborn" Karoliny Jonderko, nagrodzonego w konkursie World Press Photo w kategorii Projekty Długoterminowe.

eprasa.pl ffb074335d



Obozy dla zwierząt

Na ogólnopolski protest pod urzędem gminy w Sobolewie przyjechało niemal 300 osób z całego kraju. Domagają się zamknięcia kolejnego patoschroniska. Potrzeba jednak więcej niż tylko miejscowej interwencji. Ale czy politycy się tym przejmą?

AGNIESZKA SOWA

W sądzie toczy się (powoli) sprawa przeciwko Marianowi D., właścicielowi schroniska – o ironio – Happy Dog. Zarzuty o znęcanie nad zwierzętami prokurator postawił mu już siedem lat temu. W internecie wrze. Gorąco było też na proteście „Stop rozlewowi krwi w Sobolewie". Głównie za sprawą Konrada Kuźmińskiego, szefa Dolnośląskiego Inspektoratu Ochrony Zwierząt (DIOZ), który krzyczał: „Trzeba pokazywać ryje decydentów". A potem postawił swój telefon, na którego ekranie widniało zdjęcie wójta Macieja Błachnia między zniczami zapalonymi, by upamiętnić zwierzęta, które odeszły w schronisku. Wójt poczuł się zagrożony, zwłaszcza że po proteście on i jego rodzina otrzymywali w mediach społecznościowych groźby: „Módl się o życie". Protestujący złożyli do gminy petycję o niezwłoczne zakończenie współpracy ze schroniskiem, pod którą podpisało się ponad 16 tys. osób.

Karolina Pawelczyk-Dróżdż, prowadząca fundację Złap Dom, też była na proteście, choć – jak mówi – nie identyfikuje się z jego formą. Dziewięć lat temu była wolontariuszką w Sobolewie, potem złożyła zawiadomienie do prokuratury, a dziś jest oskarżycielką posiłkową w sprawie Mariana D. oskarżonego o umyślne

© NATALIA SYTNYK/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ffb074335d

zadawanie bólu i cierpienia przetrzymywanym w schronisku zwierzętom.

Karolina pokazuje zdjęcia psów. Są zestawione po dwa, „przed" i „po". Przy czym „przed" oznacza przyjęcie do schroniska. I kolejne zdjęcie, po dwóch–trzech miesiącach pobytu w Sobolewie. Z bezdomnego, ale o dziwo nieźle wyglądającego psa, zrobił się szkielet obleczony skórą. Sterczą nie tylko żebra, wystają kręgi i kości biodrowe. Takich zestawień Karolina ma kilkanaście. Dziś już pewnie tych psów nie ma, zdjęcia wolontariusze robili w 2016 i 2017 r.

Są też inne zdjęcia pokazujące kojce bez żadnego zadaszenia, z jedną budą na kilka psów, czy kociarnię w starym wojskowym wozie. Albo suk w ciąży, ze szczeniakami, tej samej suki z kolejnym miotem, bo w Sobolewie się nie sterylizuje.

Pączki na osłodę

O tym, że w Sobolewie jest schronisko, w którym nie ma wolontariuszy, Karolina Pawelczyk-Dróżdż dowiedziała się w 2016 r. Od wielu lat, jak mówi, rozkręca wolontariat w różnych schroniskach, w Celestynowie już „hulał", więc zabrała część ekipy do Sobolewa. – *Początkowo byliśmy zachwycone panem Marianem. Sympatyczny, uśmiechnięty, przytakiwał* – wspomina. – *Ale szybko zorientowaliśmy się, że tam jest bardzo źle.*

Przyjeżdżali co tydzień w sobotę, a psów przybywało w takim tempie, że nie nadążali z liczeniem. Kiedy zaczynali, było 180, a w szczytowym momencie – już 350. I tylko jeden pracownik. Zaczynało brakować miejsca, chociaż wolontariusze rozkręcili adopcje i co tydzień kilka psów znajdowało nowe domy.

– *Upychał psy po kilka w kojcu, nie patrząc nawet, czy nie ma wśród nich suki z cieczką. Samce się zagryzały, suka zaraz była szczenna* – opowiada Karolina. – *Prosiliśmy, żeby nie brał tylu psów, bo nie ma miejsca, on niby się zgadzał, zawsze był bardzo miły, ale robił swoje. Doszło do tego, że podzielił kojce, które miały wybiegi i na tych wybiegach, bez żadnego zadaszenia, zrobił oddzielne kojce i tam te psy trzymał. Niektóre nawet nie miały budy. Albo jedna buda była na pięć psów.*

Mniejsze psy siedziały w klatkach dla lisów, a nawet królików. Karma też była podła. – *Wolno karmić odpadami poubojowymi, ale one dostawały jakieś takie twarde, zbite kule, wielkie jak piłki, których często nie były w stanie pogryźć* – mówi Karolina. – *Wrzucał im to po prostu do kojców na ziemię.*

Ale najgorszy był brak opieki weterynaryjnej. Schronisko najpierw miało podpisaną umowę z miejscowym weterynarzem; wiejski gabinet bez specjalistów i możliwości pogłębionej diagnostyki. Od 2017 r., po naciskach wolontariuszy, była umowa z większą lecznicą w Puławach, ale oddaloną o 80 km. – *Starał się jak najrzadziej wozić tam psy, bo ciął koszty, nie widzieliśmy też nigdy żadnego lekarza weterynarii w schronisku. Za to często pogryzione psy, z niezaopatrzonymi ranami albo ze szwami wrośniętymi w skórę, które zdejmowałam sama, bo jestem techniczką weterynarii* – tłumaczy Karolina. – *Jak przyjeżdżałyśmy w sobotę, to zawsze kilka psów zabierałyśmy do warszawskich lecznic.*

I tak to się toczyło przez półtora roku. Wolontariusze prosili, żeby zatrudnił dodatkowego pracownika, wzywał lekarza weterynarii, nie przyjmował tylu psów, on przyznawał im rację i kupował pączki. Organizowali adopcje, wyprowadzali psy na spacery, sprzątali kojce i budy, często znajdując w nich chore lub martwe psy. Robili w internecie zbiórki rzeczowe. Zebrali też pieniądze na materiały na nową kociarnię, stolarze znalezieni przez fundację zbudowali ją za darmo w dwa dni.

Sonia za 27,5 tys. zł

W sierpniu 2017 r. do Sobolewa trafiło 11 psów z interwencji w Żaboklikach, gmina Siedlce. Sznaucery, owczarki niemieckie i jakieś mieszańce, chude i zabiedzone, z wiejskiego gospodarstwa, gdzie jadły suchy chleb moczony w wodzie. Karolina była już w końcówce ciąży i rzadziej się pojawiała, ale we wrześniu, tuż przed porodem, przyjechała do Sobolewa i wzięła na spacer Sonię, owczarka niemieckiego z interwencji w Żaboklikach. – *Cudowna, delikatna, młoda sunia. Bardzo chuda, ale wesoła, cieszyła się ze spaceru* – wspomina. – *Wtedy już z tego stada z Żaboklik było mniej psów, bo pięciu dziewczyny znalazły rodziny.*

Karolina po porodzie siedziała z dzieckiem w domu i tylko zdalnie uczestniczyła w tym, co działo się w Sobolewie. 11 listopada, w sobotę, dowiedziała się, że Sonia nie wychodzi z budy, nie ma siły się podnieść. Załatwiła miejsce w całodobowej lecznicy w Warszawie i Marian się zgodził, żeby wolontariusze ją zabrali. Jednak zmienił zdanie, zanim zdążyli ruszyć. Nie wyda suki, bo musi mieć jakiś ślad w papierach, że udzielił jej pomocy. – *Następnego dnia koleżanka zadzwoniła do mnie z informacją, że Sonia nie żyje* – mówi Karolina. – *Czułam taką złość i bezsilność; coś we mnie pękło. Obiecałam sobie, że to jest koniec; nie będę już tych psów stamtąd wyciągać. Śmierć Soni spowodowała, że powiedziałam „dość".*

Potem, gdy już miała wgląd w akta sądowe jako oskarżycielka posiłkowa, dowiedziała się, że żaden z 11 psów z Żaboklik nie był zbadany przez lekarza weterynarii. Po 14 dniach zostały zaszczepione na wściekliznę i odrobaczone. To była cała opieka weterynaryjna. Sonia była drugim psem z tego stada, który umarł w schronisku. Za przyjęcie 11 psów z Żaboklik gmina Siedlce zapłaciła Marianowi D. 27,5 tys. zł.

Wolontariusze z pomocą znajomej prawniczki napisali pismo do Mariana D., w którym informowali go, że jeżeli nie zmieni sposobu prowadzenia schroniska i nie zapewni psom opieki weterynaryjnej, będą musieli zgłosić sprawę do organów ścigania. Podpisali się wszyscy.

– *Liczyliśmy, że się opamięta i że nas nie wyrzuci, bo jednak robiliśmy mu cały czas miejsce na nowe psy, załatwialiśmy adopcje, psy wyjeżdżały, mógł przyjmować kolejne* – tłumaczy Karolina. Ale Marian D. zamknął przed nimi schronisko. Początkowo zgadzał się na spacery, ale nie wpuszczał wolontariuszek na teren, tylko przyprowadzał psy pod bramę. Potem zaczął kasować kolejne weekendy pod pretekstem złej pogody. – *Nie pozostało nam nic innego, jak napisać zawiadomienie do prokuratury* – mówi nasza rozmówczyni. Tym bardziej że mieli mnóstwo dowodów. Przez półtora roku wolontariusze komunikowali się ze sobą na prywatnej grupie na Facebooku. Tam przekazywali sobie informacje o wszystkim, co dotyczyło schroniska: o zgonach zwierząt, pogryzieniach, dziurawych budach. Najczęściej ze zdjęciami, żeby było łatwiej.

Ledwo żywy dowód

– *W Sobolewie umiera bardzo wiele zwierząt* – mówi Edyta Haduch, pomysłodawczyni i główna organizatorka ogólnopolskiego protestu. Nie jest przedstawicielką żadnej organizacji ani fundacji. Od niedawna jest w partii Zieloni; działa też w Karkonoskiej Radzie Kobiet. Wróciła do Polski po prawie 10 latach spędzonych w Niemczech i w internecie natknęła się na informacje o schronisku w Sobolewie. Następnych już szukała sama. To, czego ▶

eprasa.pl ffb074335d

▶ się dowiedziała, sprawiło, że postanowiła działać, chociaż Szklarską Porębę, gdzie mieszka, dzielą od Sobolewa setki kilometrów. – *Psy w Sobolewie najczęściej umierają kilkanaście dni po przyjęciu. Także te młode, zdrowe. Coś tu jest nie tak.*

Czasem dają radę pożyć trochę dłużej. Grzegorz Bielawski, szef Pogotowia dla Zwierząt, na proteście opowiedział, w jakim stanie była suczka, którą udało im się odebrać z Sobolewa dzień wcześniej. Wiedzieli, że to staruszka, zabrana interwencyjnie od starszych ludzi, którzy nie zajmowali się nią, nie leczyli. Nie oczekiwali więc okazu zdrowia, ale nie byli przygotowani na to, co zobaczyli i co potem potwierdził lekarz weterynarii. Wychudzona, odwodniona, kompletnie łysa na grzbiecie, ze zmianami skórnymi, pazurami nieobcinanymi od lat, zawiniętymi tak, że przeszkadzały w chodzeniu. Do tego: oczy zaklejone ropą, na listwie mlecznej dwa duże guzy, z których jeden pękł jakiś tydzień wcześniej, bo były już oznaki martwicy – i żadnych śladów jakiegokolwiek zaopatrzenia rany.

– *Ta schorowana sunia przez dwa miesiące pobytu w Sobolewie nie trafiła do lekarza weterynarii* – podkreśla Karolina Pawelczyk-Dróżdż. – *A była odebrana właścicielom właśnie dlatego, że jej nie leczyli.* 31 października Marian D. miał wydać Perełkę, bo tak się nazywa, Pogotowiu dla Zwierząt. – *Mieliśmy prawomocną decyzję na odbiór jej* – mówi Grzegorz Bielawski. Przez blisko miesiąc Marian D. zwodził i kręcił, a gdy w końcu przedstawiciele Pogotowia dla Zwierząt przyjechali do Sobolewa, wywiózł Perełkę do lecznicy pod pretekstem szczepienia przeciwko wściekliźnie. Chorych zwierząt się nie szczepi. Pogotowie dla Zwierząt w asyście policji odebrało suczkę z lecznicy. Potem Grzegorz Bielawski pokazał Perełkę w mediach społecznościowych: żywy (ledwo) dowód na to, jak właściciel schroniska znęca się nad zwierzętami.

Kwarantanna i adopcje

Dlaczego administrujący schroniskiem Marian D. nie chciał oddać starego, schorowanego psa? Na to pytanie nie potrafi odpowiedzieć także Karolina, która schronisko i jego zarządcę zna od podszewki. Większość umów Sobolewa z gminami opiera się na tzw. ryczałcie za gotowość. W przypadku gminy Sobolew to 1,5 tys. zł miesięczne. I do tego opłata za każdego złapanego i umieszczonego w schronisku psa: 3 tys. zł brutto. A za dzierżawę terenu od gminy płaci miesięcznie 500 zł.



Schronisko w Sobolewie. W szczytowym momencie jego właściciel trzymał tu 350 psów – w koszmarnych warunkach, bez opieki weterynaryjnej.

Marian D. nie ma zatem finansowego interesu w tym, by przetrzymywać bezdomne zwierzęta, bo gminy płacą mu tylko za odłowienie i przyjęcie. – *Paradoksalnie Sobolew ma jeden z najwyższych wskaźników adopcji w kraju, bo kiedy trafi tam pies, robimy wszystko, żeby jak najszybciej stamtąd wyjechał* – tłumaczy Karolina. Adopcjami i prowadzeniem strony schroniska zajmują się dalej wolontariuszki, które już do schroniska nie mają wstępu. Pokazują jednak kolejne psy i koty na internetowych portalach, szukają im nowych domów. Ale czasem Marian D. po prostu mówi „nie, bo nie" albo przeciąga sprawę. Nikt nie wie dlaczego.

Tak właśnie posłanka Katarzyna Piekarska nie doczekała się psa, którego chciała adoptować. Podobnie rok temu urząd gminy Warka, który chciał odebrać i umieścić w specjalistycznej lecznicy psa potrąconego na ich terenie, którego miejscowy lekarz weterynarii oddał do Sobolewa bez wiedzy urzędników. Samorząd próbował w ten sposób bronić się przed falą hejtu ze strony mieszkańców, która wylała się po tym, gdy ktoś upublicznił informację o oddaniu psiaka do Sobolewa. Jeszcze dokuczliwsze od wyzwisk w internecie były setki pism, wniosków i skarg wysyłanych tradycyjną pocztą, które niemal sparaliżowały funkcjonowanie wareckiego samorządu. Kulminacją był zmasowany atak na burmistrza Warki Tomasza Rawskiego, którego zasypano setkami wiadomości i komentarzy z życzeniami śmierci czy „wszystkiego najgorszego". Marian D. odmówił wydania psa z powodu 14-dniowej kwarantanny. A potem pies, który według powiatowego inspektora kontrolującego schronisko – i tego konkretnego psa na wniosek wareckiego samorządu – miał się czuć dobrze i dochodzić do zdrowia, nagle umarł.

Psa nie doczekał się też poseł Łukasz Litewka, który w zeszłym roku chciał adoptować niewidomego Mika. Marian D. miał go zapytać, czy wie, ile taki pies jest wart na zbiórkach. Gdy pies umarł, poseł opublikował oświadczenie: „Mik nie odszedł na darmo, zapowiadam tylko jedno, przekazałem to także burmistrzowi: Wszystkie oczy zwrócone na Sobolew. Kontrole, interwencje poselskie, będziemy działać" (Facebook). Ale na zapowiedziach się skończyło.

O dwie śmierci za dużo

Śmierć psa po kilku tygodniach pobytu w Sobolewie to coś, co na przestrzeni lat zdarzało się często. A ostatniej jesieni nawet dwa razy. Najpierw był bernardyn Simon. Chciała go adoptować pani Ela, ale właściciel schroniska zwodził ją trzy miesiące. Kwarantanna, szczepienie, kastracja, operacja oczu (której, jak się później okazało, nie było). Gdy kobieta zadzwoniła

eprasa.pl ffb074335d

dwa dni przed umówionym terminem adopcji, usłyszała, że Simon został uśpiony, bo miał udar i atak padaczki.

Zaraz potem Marian D. odłowił szwendającego się dwuletniego berneńczyka. Właściciele szukali psa, który im uciekł; znaleźli go w schronisku. Ale Marian D. nie chciał go oddać, bo okazało się, że zwierzę jest niezaszczepione na wściekliznę. – *Uparł się, że pies musi odbyć kwarantannę* – mówi Karolina, do której dotarli zrozpaczeni właściciele. Kwarantanna się skończyła i tego samego dnia opiekunowie dowiedzieli się, że ich pies nie żyje. – *Po raz pierwszy właściciele psa zdecydowali się pójść na policję i zgłosić przywłaszczenie zwierzęcia* – dodaje Karolina. – *Udało się też zabezpieczyć zwłoki, czekamy na wynik sekcji.*

Te dwa zdarzenia, jedno po drugim, sprawiły, że Edyta Haduch postanowiła zorganizować ogólnopolski protest. – *To była ta kropla, która przelała czarę goryczy* – tłumaczy. – *Uznałam, że trzeba problem nagłośnić, zainteresować społeczeństwo. Przypadek schroniska w Sobolewie to pożar, trzeba działać tu i teraz. Ale to jedynie przykład, bo problem jest systemowy* – podkreśla. I udało się. – *Śladem grupy psów z Sobolewa stworzono na Facebooku grupę innego schroniska: „Bytom piekło zwierząt". Zaczęło się ruszać w tych tematach i to jest mój główny cel.*

Co dalej?

Edycie Haduch marzy się, że prywatny biznes pod nazwą Happy Dog zostanie zamknięty, a gmina zrobi porządne schronisko, które sama będzie prowadzić, ewentualnie powierzy to zadanie jakiejś organizacji, ale to samorząd będzie bezpośrednio odpowiedzialny za los zwierząt.

– *Sam zakaz prowadzenia schronisk komercyjnych nie polepszy losu bezdomnych zwierząt* – tłumaczy prof. dr hab. Andrzej Elżanowski, prezes Polskiego Towarzystwa Etycznego, od lat broniący praw zwierząt. – *Gminy, na których w całości spoczywa ustawowy obowiązek rozwiązania problemu bezdomności zwierząt, nie umieją i w większości nie mogą się z tego zadania wywiązać we własnym zakresie. Mimo że przeznaczają na to naprawdę duże kwoty.*

Trudno wymagać, żeby każda gmina miała swoje schronisko, większości na to nie stać, ale nie ma też takiej potrzeby. Prof. Elżanowski, który opracował zasady strukturalnej reformy pomocy bezdomnym zwierzętom i zapobiegania bezdomności, proponuje, by kraj pokryć siecią powiatowych schronisk nadzorowanych przez starostwa, ale prowadzonych przez sprawdzone organizacje lub przez same starostwa, tyle że z ustawową gwarancją społecznego nadzoru. Takie schroniska powinny być lokalnymi ośrodkami sterylizacji i czipowania współdziałającymi z gminami. Koszty działalności ponosiłyby gminy proporcjonalnie np. do liczby ludności lub dochodu.

– *Takie rozwiązanie pozwoliłoby na przejęcie pełnej odpowiedzialności za działalność schroniska jednostce samorządu, która ma możliwość wykonania tego zadania i ma na to środki* – mówi prof. Elżanowski.

Wiele wskazuje na to, że schronisko w Sobolewie może podzielić los słynnych Radys czy Wojtyszek. Tylko nikt nie wie co dalej. Za to wszyscy widzą już, że zamknięcie kolejnego miejsca, które nie spełnia żadnych standardów dobrostanu zwierząt, nie zlikwiduje problemu. A systemowych rozwiązań wciąż brak.

AGNIESZKA SOWA

Marian D. odmówił rozmowy z POLITYKĄ.

© DARIUSZ BOROWICZ/AGENCJA WYBORCZA

REKLAMA



eprasa.pl ffb074335d



Michał Wierzchoń po powrocie z przepustki przed zakładem karnym w Popowie

20 lat niewinności

Michał przeżył podróż z nieba do piekła. Jeden sędzia uniewinnił go od zarzutu zabójstwa. Inny skazał na 25 lat. Siedzi i nie jest to koniec dramatu.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Jak dotąd w więzieniu spędził 23 lata – całe dorosłe życie, bo za kraty trafił, gdy był jeszcze niepełnoletni. Czas odmierzały mu pogrzeby kolejnych członków rodziny. Najpierw zmarł jeden brat, potem drugi. W końcu rodzice. Pogrzeby? Tak, do rodzinnej wsi Bratnik przywozili go uzbrojeni funkcjonariusze Służby Więziennej. Skutego zespolonymi kajdankami – na rękach i nogach.

Michał Wierzchoń twierdzi, że jest niewinny.

Zbrodnia

Ta historia zaczęła się, gdy miał zaledwie 17 lat. We wsi Bratnik, niedaleko pałacu w Kozłówce, w lesie znaleziono zwłoki jego sąsiadki, rówieśnicy i koleżanki – Iwony Grygiel. Leżała twarzą do ziemi, półnaga, wokół masa krwi. To była brutalna zbrodnia. Znajdowane powybijane zęby dziewczyny wskazywały drogę, którą sprawca niósł ją do lasu.

Biegły powie, że pierwszy cios został zadany w tył głowy i spowodował obrażenia mózgu, które pozbawiły ofiarę reakcji obronnych. Potem wielokrotnie zadawano jej ciosy w głowę z dużą energią bliżej nieokreślonym narzędziem. Była bita brutalnie. Sprawcy chodziło raczej o spowodowanie śmierci. Jako przyczynę zgonu podano wykrwawienie połączone z ciężkimi obrażeniami głowy. Nie stwierdzono obrażeń mogących wskazywać na gwałt.

Z miejsca zbrodni zebrano dużo materiału do badań, z ciała ofiary, spod paznokci, z jej ubrań zebrano jeden włos jasny znaleziony w jej lewej dłoni, dwa włosy na odzieży, zebrano ściółkę, na której leżała, i znajdujące się w pobliżu niedopałki papierosów.

Policjanci od razu wyciągnęli z domów kilku miejscowych chłopaków. Przyjechali też po Michała Wierzchonia, ale on był już na praktykach w zakładzie betoniarskim. Zabrali go stamtąd prosto na komendę, gdzie czekał lekarz, który go obejrzał, nie stwierdził żadnych świeżych ran ani obrażeń, pobrano ścinki paznokci i włosy łonowe. Zabrano do badań ubranie, które nosił poprzedniego dnia, a podczas przeszukania w domu też odzież, na której były brunatne plamy. Znaleziono kastet w szufladzie, a w kącie pałkę. Michał Wierzchoń zeznał, że w dzień zabójstwa po pracy najpierw rąbał drzewo na podwórku, później siedział w sklepie, gdzie pił piwo z kolegami aż do zamknięcia po godz. 19. Potem poszedł do domu, dzwonił do swojej dziewczyny, poszedł spać.

Po dwóch dniach znowu po niego przyjechali. Policjanci najpierw przeprowadzili z nim długą „rozmowę", po której miał się przyznać. Przyznanie jest spisane ręką naczelnika wydziału dochodzeniowo-śledczego komendy w Lubartowie. W protokole przesłuchania po słowach „podejrzany wyjaśnia" zapisał: „Zarzut. Dnia 4.01.2001 roku w miejscowości Bratnik dokonał zabójstwa Iwony Grygiel, uderzając ją kastetem w twarz, a następnie zadając uderzenia w lasku ręką w głowę. Zarzut zrozumiałem, przyznaję się

© KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ffb074335d

do zarzucanego mi czynu. Przyznaję się dobrowolnie, chcę skorzystać z prawa do nadzwyczajnego złagodzenia kary wynikającej z art. 60 kk". Zapisano też: „Znam Iwonę od lat. Byliśmy na stopie koleżeńskiej. Nigdy pretensji do siebie nie mieliśmy. Nie naśmiewała się ze mnie ani mnie nie wyszydzała". O okolicznościach samej zbrodni nic tam nie ma, bo jak można przeczytać, podejrzany nic z niej nie pamięta od momentu, gdy uderzył ofiarę kastetem. Nie wie, dlaczego to zrobił.

Cztery miesiące obserwacji w szpitalu psychiatrycznym też nie pomogły. Zakończone zostały opinią: „Nie odbiega od przeciętności i nie ma dowodów na to, że występowały u niego jakieś zaburzenia seksualne".

Gdy przyszły wyniki badań, okazało się, że na miejscu przestępstwa, na rzeczach i ciele ofiary nie znaleziono jego DNA. Ani też DNA ofiary na jego ubraniu, w którym miał dokonać zbrodni. Na ubraniach zabranych z domu była krew, ale okazało się, że zwierzęca. Prokurator z Lubartowa sporządziła akt oskarżenia z przyznaniem się do winy i wysłała go do sądu, który następnie rozniósł go na strzępy.

Szansa?

– Dlaczego akurat Michał Wierzchoń? – dopytywał policjantów sędzia Sądu Okręgowego w Lublinie Jerzy Daniluk. Usłyszał, że bardziej typowali innych mężczyzn, ale oni przyznali się do innego przestępstwa (kradzież paliwa). Ale przede wszystkim uwagę policjantów – jak wynika z ich zeznań – skierowało na niego to, że podczas pierwszego przesłuchania „jemu nogi drgały". Według sądu jego przyznanie się do winy odbyło się „bez swobody zeznań".

Wierzchoń został zatrzymany o 6 rano, a nie – jak wynika z protokołu zatrzymania – o 13.15. Był poddany tzw. badaniu przez policjanta, który znał sprawę, bo ją prowadził.

Sędzia uznał informowanie o zagrożeniu karą i sposobie traktowania w więzieniu za niedozwolone metody przesłuchania. Oskarżony poddany takiemu badaniu przez policję mógł ocenić, że znajduje się w sytuacji bez wyjścia. I mógł upatrywać jedynej szansy w przyznaniu się do zbrodni, nawet jeśli jej nie popełnił. Tak, by skorzystać z nadzwyczajnego złagodzenia kary.

Wierzchoń mógł tak rozumować. Miał wówczas ledwie 17 lat i wykształcenie na poziomie szkoły podstawowej. Został zatrzymany nagle, był „badany" przez kilka godzin, znajdował się w izolacji. – Znajdował się w stanie psychicznym, który utwierdzał go w przekonaniu, że wszystko świadczy przeciwko niemu, i przyznanie się jest dla niego pewną szansą – stwierdził sędzia. I uznał, że to przyznanie się nie może być uznane za dowód i brane pod uwagę.

Dowody

Jakie inne dowody wskazują na winę Wierzchonia? Przebieg jego dnia nie był przez nikogo kwestionowany. Nastolatek wrócił do domu i przed godz. 18 poszedł do sklepu. Był tam z trzema kolegami. W ich towarzystwie wypił trzy półlitrowe piwa i po godz. 19, kiedy zamykano sklep, poszedł do domu.

Dlatego tak ważne stało się dokładne ustalenie czasu zbrodni i godziny, do której był w sklepie. To, że był tam na pewno jeszcze o 19.08, potwierdzało kilka osób. Nawet matka ofiary widziała tam Michała chwilę po 19. O 19.18 – to też wiadomo na pewno – Wierzchoń dzwonił z domu do swojej dziewczyny.

Z kolei autobus, którym jechała Iwona Grygiel, przyjechał na przystanek kilka minut opóźniony, czyli według sądu ofiara wysiadła o 18.56. Następnie po przejściu 300 m została zaatakowana. Musiało się to odbyć, jak wyliczono, o 19.04.

Sędzia uznał, że Michał Wierzchoń nie miał fizycznej możliwości, by dokonać zbrodni. Ze sklepu do miejsca zabójstwa miał prawie kilometr. W sumie musiałby w ciągu 9 minut dotrzeć na miejsce, zabić i wrócić do domu.

Sędzia zwrócił też uwagę na trzy niedopałki w miejscu przypuszczalnego ataku (nigdy nie zostały zbadane przez biegłych). Mogłoby to świadczyć, że prawdziwy sprawca czekał na ofiarę jakiś czas. „Potem ją zaatakował, obezwładnił, przeniósł na skraj lasu, położył, bił, następnie przeciągnął ją ok. 3 m i dopiero z tego miejsca przeniósł ją w głąb lasu. I tam w dalszym ciągu ją bił, obnażył, a potem uciekł" – opisał sędzia przebieg zdarzeń na podstawie znalezionych śladów.

Sprawca bił, ciągnął, przenosił ofiarę, tymczasem na ubraniu i na ciele Wierzchonia nie znaleziono żadnych śladów. Sędzia uznał, że to niemożliwe. Podobne wątpliwości budziło narzędzie zbrodni. Wierzchoń miał kastet, ale i na nim nie znaleziono żadnych śladów. A zabójstwo mogło równie dobrze zostać dokonane innym powszechnie dostępnym narzędziem, jak młotek lub ceownik.

„Z uwagi na powyższe, wobec braku dowodów obciążających oskarżonego oraz mając na względzie cele postępowania karnego, a w szczególności zasadę, aby osoba niewinna nie poniosła odpowiedzialności karnej, należało uniewinnić Michała Wierzchonia od popełnienia zarzucanego mu czynu" – orzekł sąd.

Wyrok

Apelację złożyła prokuratura. Ruszył nowy proces, z sędzią Jarosławem Dąbrowskim. Przeprowadzono eksperyment procesowy. Do autobusu PKS w Lubartowie wsiadł cały skład sędziowski, prokurator, rodzice ofiary i oskarżony z adwokatem. Ludzie na przystankach wsiadali, wysiadali, autobus dojechał do Bratnik o 18.57 – minutę później niż w eksperymencie przeprowadzonym na potrzeby pierwszego procesu.

Sędzia Dąbrowski przyjął, że Wierzchoń wyszedł ze sklepu wcześniej, niż wynikało z pierwszych zeznań. I uznał, że oskarżony mógł szybkim krokiem w ciągu 16 minut przejść ze sklepu na miejsce zbrodni i wrócić do domu. Uznał także, że dwie minuty wystarczyły mu na dokonanie morderstwa.

Braku śladów na ubraniu także nie uznał za istotny. Sąd stwierdził, że „ustalony mechanizm przeniesienia ofiary, w każdym razie jej głowa, będąca głównym źródłem krwotoku, znajdowała się w pewnej odległości od ubrania oskarżonego, co wyjaśnia, dlaczego na ubraniu tym nie pozostały ślady krwi ofiary". Zaś „brak śladów na znalezionym kastecie wynika z tego, że oskarżony nałożył na uzbrojoną w kastet dłoń rękawiczkę". Żadnej rękawiczki nigdy nie znaleziono, więc była to tylko hipoteza. Jednak sąd uznał, że to prawdopodobne. To, że nie pasuje do profilu sprawcy, nic nie znaczy. To, że nie wykryto u niego żadnych dewiacji seksualnych, nie znaczy, że nie zabił z pobudek seksualnych. Celem było według sądu wymuszenie uległości. Do tego wiarygodne dla niego było przyznanie się.

Wierzchoń usłyszał wyrok 25 lat więzienia. Koniec kary wyznaczono na 8 grudnia 2028 r. Po wyroku prawniczka i dziennikarka Izabella Wlazłowska napisała do ówczesnego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ćwiąkalskiego: „Występując jako rzecznik interesu społecznego, ▶

eprasa.pl ffb074335d

▶ proszę Pana Ministra o wnikliwą ocenę materiału dowodowego w sprawie Michała Wierzchonia. Stałaby się kolejna wielka tragedia, gdyby na skutek błędów wymiaru sprawiedliwości młody człowiek spędził w więzieniu 25 lat".

Na list nie było żadnej reakcji. Tak jak na wcześniejsze prośby rodziców Michała Wierzchonia do ministra Ziobry czy rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara. Z czasem coraz większe grono dziennikarzy i wolontariuszy podejmowało próby pomocy skazanemu. Jego historia stała się inspiracją do artykułów, książek, podkastów. Starano się pomóc w wykryciu prawdziwego sprawcy, wskazywano nowe tropy policji. Ale dla wymiaru sprawiedliwości sprawa była zamknięta wykryciem sprawcy. A Archiwum X zajmuje się tymi niewyjaśnionymi, a nie niewinnie skazanymi.

Sprawą zainteresowała się też Helsińska Fundacja Praw Człowieka i przeanalizowała akta. – *Znam sprawę Michała Wierzchonia i jest on najprawdopodobniej człowiekiem niewinnie skazanym. I to „najprawdopodobniej" zastrzegam tylko dlatego, że nie było mnie na miejscu zdarzenia, a nie dlatego, że mam wątpliwości* – mówi prawnik dr Piotr Kładoczny z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, prowadzący Klinikę Niewinność.

Przepustka

Nie wystąpił o przedterminowe zwolnienie po 15 latach, choć nabył wtedy takie prawo, ani po 20. Był zrezygnowany. Mówił mi kilka lat temu w więzieniu: – *Stało się, jak się stało, różne są przypadki, można było nie wyjeżdżać do sklepu i nie byłoby stłuczki czy kolizji i nikt by nie zginął*. Teraz zmienił nastawienie: – *Gdy poczułem, jak dużo ludzi jest za mną, pomyślałem, że może warto o siebie powalczyć*.

W 2022 r. wystąpił o przedterminowe zwolnienie, ale wtedy lubelski sąd odmówił, stwierdzając, że wcześniej powinien zostać sprawdzony w systemie przepustek. Cała procedura trwała rok.

Pierwszą przepustkę dostał na pięć godzin. Do więzienia przyjechała po niego siostra. – *Zajechaliśmy na cmentarz, do braci, rodziców, zapaliłem znicze, później pojechaliśmy do mnie na Bratnik do domu, byliśmy tam z 15 minut. Pojechaliśmy do siostry, posiedzieliśmy dwie godzinki, porozmawialiśmy, no i trzeba było wracać* – mówi Michał Wierzchoń. Teraz dostaje przepustki na pięć dni. Przyjeżdża do Bratnik do swojego dziś pustego domu, który zostawili mu rodzice. – *Ludzie widzą mnie, kiwają głową na przywitanie, normalne rozmowy są. Nawet ojciec Iwony wyszedł z domu, popatrzył, kiwnąłem głową, on kiwnął głową także* – opowiada Michał.

Niedawno został przeniesiony do zakładu karnego w Popowie, jednostce podległej Aresztowi Śledczemu Grochów-Białołęka. I stamtąd w czerwcu 2025 r. ponownie wystąpił o przedterminowe zwolnienie, proponując w zamian dla siebie 10-letni nadzór kuratora sądowego. Helsińska Fundacja dołączyła się, wysyłając do sądu pismo popierające wniosek. – *Pisaliśmy, że standardy Rady Europy wskazują, iż dostęp do warunkowego przedterminowego zwolnienia jest jedną z najlepszych dróg resocjalizacji i jeśli chcieć ją traktować poważnie, to warunkowego zwolnienia trzeba rzeczywiście udzielać. Należy dać człowiekowi szansę, pod kontrolą i na próbę* – mówi dr Piotr Kładoczny. I pyta retorycznie: – *Przyjmując przez chwilę, że pan Michał jest winny, pojawia się pytanie: co innego mogłoby spowodować, że stanie sie on lepszym człowiekiem, niż to, że musi się starać, by dostać warunkowe zwolnienie?*

Adwokat Michał Mikołajczyk we wniosku pisał: „Skazany przeszedł wszystkie etapy procesu resocjalizacji, został sprawdzony podczas przepustek, nigdy nie było wobec niego żadnych skarg. Mając na uwadze postawę i przejście wszystkich etapów resocjalizacji, wniosek jest zasadny i zgodny z celami kary".

Na posiedzeniu sądu penitencjarnego w Warszawie 9 września 2025 r. Michał Wierzchoń powiedział: „Nie popełniałem żadnych przestępstw aż do chwili wyroku skazującego. Do tego przestępstwa się nie przyznaję, ale to nie oznacza, że nie mam krytycznego podejścia do takich przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu".

Sąd dostał też opinię z więzienia. Same pochwały, informacje o nagrodach, odbytych kursach i programach resocjalizacyjnych i udziale w akcjach charytatywnych. Że niski stopień demoralizacji, pozytywna prognoza kryminalistyczna. I na końcu: „Pomimo poprawnego zachowania prognoza kryminalistyczno-społeczna jest negatywna z uwagi na charakter i okoliczności popełnionego przestępstwa i wyrażany »umiarkowany krytycyzm« wobec popełnionego czynu. Wniosku skazanego o przedterminowe nie popieram" – napisał dyrektor Aresztu Śledczego Warszawa-Białołęka płk Łukasz Pieńkos.

I tym torem poszli sędziowie VIII wydziału penitencjarnego Sądu Okręgowego Warszawa-Praga i odmówili przedterminowego zwolnienia, pisząc m.in., że „przesłanką zdecydowanie negatywną są okoliczności popełnionego przez niego czynu karalnego". – *Po odczytaniu tych wszystkich pochwał z więzienia sędzia zaczęła czytać na głos mój wyrok, że podczas popełnianego przestępstwa byłem zdemoralizowany z wysokim stopniem agresji. Ja się poczułem, jakbym znowu był na rozprawie skazującej mnie* – mówi Michał Wierzchoń.

W uzasadnieniu odmowy sędziowie napisali: wprawdzie przypisany czyn miał miejsce w odległej przeszłości, ale jego okoliczności „definiują właściwości osobiste skazanego". I dalej: „Powyższą konkluzję wzmacnia fakt, iż Michał Wierzchoń wyraża umiarkowany krytycyzm wobec popełnionego czynu". Sąd apelacyjny miał dokładnie takie samo zdanie.

Niewinny?

– *To po co jest ten program resocjalizacyjny w więzieniu?* – pyta bezradnie Michał Wierzchoń. – *To lepiej mnie trzymać, żebym odsiedział te trzy lata, które mi zostały, i puścić mnie wolno, zamiast zawiesić te trzy lata i przez 10 mieć mnie na smyczy? Z kuratorem na głowie, który mnie będzie stale sprawdzał? To jest dla mnie nielogiczne* – mówi.

Dr Kładoczny zwraca z kolei uwagę, że sędziowie wskazali przesłanki odmowy, których w kodeksie nie ma: – *Nie może być przeciwwskazaniem dla warunkowego zwolnienia więźnia sam fakt, że popełnił kiedyś przestępstwo. Przecież oceniamy go dziś. Przez wiele lat pobytu w więzieniu mógł się zmienić i nie stanowić już żadnego zagrożenia na wolności. Gdybyśmy uwzględniali zachowanie sprzed uwięzienia, nikt by nie wychodził na przedterminowe zwolnienia* – mówi. I dodaje twardo: – *Michał w ogóle nie powinien trafić do więzienia. Ale w tej chwili jedyne, co można w jego sprawie zrobić, to starać się, żeby jak najszybciej wyszedł, bo siedzi niewinnie.*

Michał Wierzchoń ma prawo ponownie się ubiegać o przedterminowe zwolnienie dopiero za rok. Za to w każdej chwili może o to wystąpić dyrektor więzienia. Na pięciodniową przepustkę Michał wyszedł 24 grudnia, w Wigilię, którą spędził z rodziną. Za kraty wrócił 29 grudnia. Nowy rok przywitał znowu w więzieniu.

VIOLETTA KRASNOWSKA

eprasa.pl ffb074335d

Aplikacja POLITYKA

Postanowienie noworoczne:

☑ wiedzieć więcej



Czytaj, słuchaj, oglądaj

- ✓ Bieżace wydarzenia
- ✓ Pogłębione analizy
- ✓ Teksty z Tygodnika Polityka
- ✓ Podkasty i wideo naszych autorów
- ✓ Możliwość słuchania najlepszych tekstów

POBIERZ W Google play

POBIERZ W App Store

eprasa.pl ffb074335d



Cyfrowy koncern Palantir zawdzięcza swą nazwę „wszystkowiedzącej" kuli z tolkienowskiego „Władcy Pierścieni".

Władca algorytmów

ADAM GRZESZAK

Po zakupach myśliwców, czołgów i rakiet nadszedł czas na narzędzia cyberwojny. Dostawcą polskiej armii ma zostać Palantir Technologies, najgłośniejsza i najbardziej kontrowersyjna amerykańska spółka technologiczna. Jedni w niej widzą nadzieję, inni zagrożenie dla świata.

W połowie 2025 r. w bazie Korpusu Piechoty Morskiej w Arlington koło Waszyngtonu przed szefem sztabu Armii Stanów Zjednoczonych gen. George'em A. Randym stanęła elita Krzemowej Doliny: Shyam Sankar, dyrektor ds. technologii w firmie Palantir, Andrew Bosworth, dyrektor ds. technologii w Meta, Kevin Weil, dyrektor ds. produktów w OpenAI, oraz Bob McGrew, doradca w Thinking Machines Lab i były dyrektor ds. badań w OpenAI. Wszyscy w polowych mundurach piechoty morskiej, zostali uroczyście wcieleni do armii USA i pasowani na podpułkowników. Będą służyć na pół etatu jako doradcy techniczni w Oddziale 201 zwanym Korpusem Innowacji Wykonawczych Armii. Amerykanie postanowili Dolinę Krzemową wziąć w kamasze, bo kompetencje cyfrowe stają się dziś kluczowe dla sił zbrojnych. Cztery firmy, których menedżerów powołano do służby, już od dawna pracują na potrzeby wojska, policji i służb. Szczególne zasługi ma tu Palantir Technologies.

Polska armia, która w swych strukturach ma już Komponent Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni, planuje także stworzenie Centrum Implementacji Sztucznej Inteligencji (akronim: CISI).



Współtwórcy i szefowie Palantira

Peter Thiel, czyli libertarianin i trumpista, który inwestuje w badania nad nieśmiertelnością i ściga Antychrysta

Alex Karp, czyli neomarksista, doktor filozofii i były Demokrata, który zmienił front i poparł Trumpa

W tym celu szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz i dyrektor generalny Palantir Technologies Alex Karp podpisali list intencyjny o współpracy „w obszarach sztucznej inteligencji, technologii informacyjnych i cyberbezpieczeństwa".

Trwają prace nad ostateczną umową, choć wiadomo, że testy prowadzone są już od dawna. Palantir w tym celu stworzył w Polsce swoją spółkę. Jednak szczegóły rozmów objęte są tajemnicą. „Dzisiaj najważniejszym wyzwaniem dla wszystkich armii świata jest budowa zasobów informacyjnych (...). Palantir jest absolutnym liderem w zakresie zarządzania danymi i ich wykorzystania w zabezpieczeniu logistycznym pola walki, projektowaniu przyszłości z użyciem sztucznej inteligencji" – reklamował amerykańską firmę szef MON.

Giełdowa gwiazda

Palantir fascynuje nie tylko polityków i wojskowych, ale też inwestorów giełdowych, bo jest jedną z najszybciej rosnących spółek technologicznych. Rynek wycenia firmę, której majątek ma głównie charakter intelektualny, na 430 mld dol., czyli 600 razy więcej od zysków osiągniętych w 2024 r. W tym samym czasie Lockheed Martin, wielki producent samolotów, pocisków rakietowych, śmigłowców i statków kosmicznych, którego przychody są ok. 19 razy większe, jest wyceniany przez giełdę zaledwie na 106 mld dol.

Jeśli nie czołgi, rakiety i drony, to co Palantir ma wojsku do zaoferowania? Superbronią XXI w. jest oprogramowanie do integracji i analizy danych, czyli do prowadzenia cyberwojny. Polega to na wykorzystaniu zaawansowanych algorytmów opartych na uczeniu maszynowym i sztucznej inteligencji do przenikania tego, co nazywa się mgłą wojny. Dziś bowiem problemem dowódców nie jest brak informacji, ale jej nadmiar. Nieustannie spływają terabajty danych – z samolotów, satelitów, dronów, od jednostek na froncie, z wywiadu itd. Ogarnięcie tego wszystkiego, zanalizowanie, wyciągnięcie wniosków i podjęcie optymalnych decyzji staje się czasochłonnym i karkołomnym zadaniem. I właśnie tu pojawia się oprogramowanie Palantira, które integruje dane z różnych źródeł, pokazuje aktualną sytuację, przewiduje jej rozwój i sugeruje rozwiązania.

Ukraiński poligon

Z tych cyfrowych narzędzi korzysta już armia ukraińska. MetaConstellation to oprogramowanie, które bazuje na danych satelitarnych. W zależności od potrzeb informacje pochodzą z kilku, a czasem kilkudziesięciu satelitów. Nie jakichś supertajnych szpiegowskich, ale urządzeń komercyjnych używanych głównie do celów cywilnych. Przelatując nad wyznaczonym rejonem Rosji i Ukrainy, urządzenia skanują teren w różnych trybach – jedne zbierają dane optyczne, inne w podczerwieni, kolejne noktowizyjne, następne omiatają go falami radarowymi itd.

„W ciągu niecałej sekundy modele przetwarzają obrazy, wykrywają i geolokalizują obiekty oraz określają wszelkie ruchy od ostatniego cyklu gromadzenia danych, co pozwala na szybkie podejmowanie decyzji" – reklamuje się amerykańska firma. Na dane satelitarne palantirowska platforma Gotham nakłada dane z ziemi spływające od jednostek na froncie, z dronów lustrujących wybrany obszar, od szpiegów działających na zapleczu. Celem jest zapewnienie lepszej świadomości sytuacyjnej i transparentności pola walki w czasie rzeczywistym.

Ukraina stała się dla Palantira poligonem doświadczalnym, na którym może testować swoje rozwiązania w warunkach pełnoskalowego konfliktu nowoczesnych armii. Dlatego firma otworzyła w Kijowie swoje biuro. Wiele ukraińskich ataków na dalekie rosyjskie zaplecze uznawane jest powszechnie za dowód skuteczności amerykańskich narzędzi wojny algorytmicznej. Alex Karp, dyrektor generalny Palantira, nie kryje: „Jesteśmy odpowiedzialni za większość tych operacji".

Uwaga na Antychrysta

Firmę założył w 2003 r. Peter Thiel. Jest Niemcem, urodził się w RFN, dzieciństwo spędził w RPA, a potem z rodzicami przeniósł się do USA i dziś jest turbo-Amerykaninem. Jego kariera inwestorska zaczęła się w młodości od start-upu Confinity, którego celem było stworzenie systemu obsługi płatności online. Tak narodził się PayPal, a do Thiela wkrótce dołączył wspólnik – Elon Musk. Z czasem ich drogi się rozeszły, więc PayPal został sprzedany, a Thiel postanowił założyć nowy biznes, którego celem było stworzenie oprogramowania podobnego do systemów rozpoznawania oszustw PayPal, ale ze szczytnym zamiarem, by „ograniczyć terroryzm, jednocześnie chroniąc wolności obywatelskie".

Do spółki weszła grupa przyjaciół i współpracowników z PayPala, w tym druga najważniejsza osoba w firmie, przyjaciel Thiela z czasów młodości, Alex Karp. Wsparcia udzieliła CIA poprzez swój funduszu venture capital In-Q-Tel, który intensywnie poszukuje w Dolinie Krzemowej obiecujących start-upów. Założyciele wybrali nazwę Palantír, dobrze znaną miłośnikom „Władcy pierścieni" Tolkiena. Palantiry w świecie tolkienowskim to niezniszczalne kryształowe kule służące do obserwacji wydarzeń w odległych miejscach lub w przeszłości, które mogą służyć zarówno do dobrych, jak i do złych celów. Podobnie jak Palantir stworzony przez Thiela i Karpa.

Thiel jest nie tylko biznesmenem, ale i człowiekiem nieźle zakręconym. Inwestuje w badania nad wydłużaniem życia. Wierzy, że technologia przezwycięży ograniczenia ludzkiego ciała i do 2045 r. uda się osiągnąć nieśmiertelność. Śmierć bowiem jest skrajnym przejawem niesprawiedliwości społecznej, bo dzieli ludzi na żyjących i nieżyjących. Jest libertarianinem, Republikaninem i radykalnym zwolennikiem Donalda Trumpa. Ale też fundamentalnym chrześcijaninem owładniętym misją ewangelizowania Doliny Krzemowej i ostrzegania przed rychłym nadejściem Antychrysta, który szykuje się, by wykorzystać sztuczną inteligencję.

Jak temu zapobiec? „Potrzebujemy globalnego zarządzania komputerami. Potrzebujemy rządu światowego, który będzie kontrolował wszystkie komputery, rejestrował każde naciśnięcie ▶

© WARNER BROS., EVA MARIE UZCATEGUI/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, KEVIN DIETSCH/GETTY IMAGES

eprasa.pl ffb074335d

▶ klawisza, aby upewnić się, że ludzie nie zaprogramują niebezpiecznej sztucznej inteligencji" – wyjaśniał w podkaście „New York Timesa". Dlatego Thiel w Donaldzie Trumpie widzi takiego szefa światowego rządu i gotów jest dostarczyć mu narzędzia do sprawowania kontroli. Wspiera go w tym Alex Karp, neomarksista z doktoratem z filozofii. Jeszcze niedawno był Demokratą i sponsorem kampanii Hillary Clinton, ale zmienił front i dołączył do obozu trumpistów. Demokraci go rozczarowali, bo z dwiema rzeczami sobie nie poradzili – z imigracją i antysemityzmem. Karp po ojcu ma korzenie żydowskie, matkę zaś ciemnoskórą.

AI tropi

W USA Palantir stał się technologicznym symbolem polityki wewnętrznej prezydenta Trumpa i beneficjentem licznych rządowych kontraktów, w tym największego z armią o wartości 10 mld dol. Za 30 mln dol. stworzył oprogramowanie dla Służby Imigracyjnej i Celnej ICE (US Immigration and Customs Enforcement), czyli federalnej agencji ścigającej i wydalającej masowo nielegalnych imigrantów. Czasem też legalnych zagranicznych studentów i naukowców, jeśli podpadli, bo popierają prawa Palestyńczyków. Pościgi i łapanki prowadzone przez agentów ICE budzą w USA silne emocje. System ImmigrationOS firmy Palantir agreguje i analizuje dane z różnych źródeł publicznych i prywatnych oraz wielu rządowych baz danych. Skanowanie platform mediów społecznościowych za pomocą sztucznej inteligencji i analiza treści (system radzi sobie z kilkudziesięcioma językami) służy do przewidywania zachowań monitorowanych osób i może zostać wykorzystane do podjęcia decyzji o ich wydaleniu.

Oprogramowanie wykorzystuje masę różnych danych, tworzy wzorce przemieszczania się migrantów, umożliwiając ich szybką lokalizację i identyfikację. Agenci ICE jak wojskowi na froncie otrzymują ujednolicony interfejs, w którym powiązania są automatycznie i przejrzyście wizualizowane. „Technologie probabilistyczne wykorzystywane do wyciągania wniosków na temat intencji poszczególnych osób charakteryzują się ogromnym marginesem błędu i często mogą być dyskryminujące i stronnicze, co może prowadzić do błędnego przedstawienia treści propalestyńskich jako antysemickich" – alarmuje Amnesty International.

Wielu Amerykanów widzi w Palantirze Wielkiego Brata, który będzie ich nadzorował, a sztuczna inteligencja może niczym w „Raporcie mniejszości" oceniać, co poszczególni obywatele mogliby zrobić w przyszłości, i zalecać profilaktyczne działania. Platforma Gotham – ta sama, którą wykorzystują dowódcy ukraińscy – umożliwia amerykańskim organom ścigania i analitykom rządowym łączenie wielkich, rozproszonych zbiorów danych, budowanie profili wywiadowczych i wyszukiwanie osób na podstawie tak szczegółowych cech, jak tatuaż czy status imigracyjny.

W marcu Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze zobowiązujące wszystkie agencje i departamenty rządu federalnego do udostępniania informacji o Amerykanach właśnie spółce Palantir Technologies. Jej oprogramowanie może teraz służyć do łączenia danych pochodzących z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, Departamentu Wojny, Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej, Administracji Ubezpieczeń Społecznych oraz Urzędu Skarbowego (IRS).

Palantir nie jest zresztą jedynym dostawcą technologii umożliwiających władzom monitorowanie społeczeństwa. „Znacząca rola firm prywatnych w technologii policyjnej sprawia, że transparentność i rozliczalność są coraz trudniejsze: zastrzeżone algorytmy są prawnie chronione, umowy negocjowane poza zasięgiem opinii publicznej, a organy nadzoru mają trudności z dostępem do tych systemów i ich zrozumieniem" – alarmuje Campaign Zero, społeczna akcja przeciwdziałania nadużywaniu prawa przez amerykańską policję.

Czarna legenda

Szefowie Palantira starają się walczyć z czarną legendą spółki tworzącej narzędzia do nadzorowania społeczeństwa i naruszającej czwartą poprawkę do konstytucji gwarantującą prawo do prywatności. „Połowa naszej działalności to rozwiązania komercyjne. Działamy w 50 różnych branżach, od energetyki i górnictwa po farmaceutykę i ubezpieczenia" – uspokaja dyrektor techniczny Palantir Shyam Sankar, świeżo upieczony podpułkownik US Army.

Sankar jest imigrantem z Nigerii, co nie przeszkadza mu bronić antyimigranckiej polityki Trumpa i tłumaczyć, że Palantir dostarcza państwowym instytucjom jedynie narzędzi, a to państwo odpowiada za ich użycie. Spółka przy każdej okazji broni się przed zarzutem, że sama gromadzi i wykorzystuje poufne dane. Nie jesteśmy brokerem danych – zapewnia. Ale Trump ma innych brokerów, np. Clearview AI, zajmującą się rozpoznawaniem twarzy, która zgromadziła bazę ponad 30 mld wizerunków z internetu, czy ARC (Airlines Reporting Corporation) spółkę linii lotniczych która udostępnia szczegółowe dane pasażerów, więc z zasilaniem systemów Palantira nie ma problemu.

Palantir oferuje swoje systemy odbiorcom cywilnym i wojskowym w wielu krajach świata. Korzysta z nich nie tylko armia amerykańska, ale m.in. brytyjska, ukraińska, izraelska, policja niemiecka czy Sojusznicze Dowództwo Operacyjne NATO. Arabia Saudyjska właśnie podpisała kontrakt, polska armia zrobi to zapewne niebawem. Jednak dziś szczególną uwagę przykuwają związki Palantira z Izraelem. W styczniu 2024 r. firma ogłosiła strategiczne partnerstwo i zorganizowała posiedzenie zarządu w Tel Awiwie „na znak solidarności". Specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. okupowanych terytoriów palestyńskich Francesca Albanese w swym raporcie przypisuje Palantirowi kluczową rolę w izraelskiej infrastrukturze wojskowej i oskarża firmę o dostarczanie technologii umożliwiających zautomatyzowane podejmowanie decyzji potencjalnie wykorzystywanych w systemach namierzania celów opartych na sztucznej inteligencji.

„Tak, oprogramowanie Palantir również zabijało w Strefie Gazy" – przyznał Karp. Shyam Sankar zaś dodał, że produkty Palantir pomogły zoptymalizować łańcuch śmierci. Z tego względu nie wszyscy są zainteresowani współpracą z Palantirem. Szwajcaria, jak podaje portal Republik, dziewięć razy odrzucała amerykańskie oferty sprzedaży jej systemów dla administracji cywilnej i wojska. Istnieje ryzyko, że amerykański rząd i służby będą miały wgląd w dane pochodzące ze Szwajcarii – wyjaśniono.

Obawy o suwerenność cyfrową nie kryje także polski resort obrony. Palantir Technologies Poland wprawdzie zapewnia, że „dane, sieci, procedury oraz infrastruktura wykorzystywane podczas ewentualnego wdrożenia platformy Palantir pozostaną wyłącznie do dyspozycji i pod pełną kontrolą Sił Zbrojnych RP". Portal cyberdefence.pl cytuje jednak stanowisko MON: „Kluczowe jest to, że ewentualna implementacja – jeśli w ogóle do niej dojdzie – musi odbywać się w pełni pod kontrolą Wojska Polskiego i bez uzależniania się od zewnętrznych dostawców czy technologii".

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl ffb074335d



Zabudowa okolic Stadionu Narodowego. Wizualizacja przygotowana przez Narodowe Centrum Sportu w związku z planem organizacji igrzysk olimpijskich w Warszawie.

Igraszki olimpijskie

Warszawa ma się ubiegać o organizację letnich igrzysk olimpijskich w 2044 r. Termin wydaje się bezpiecznie odległy, ale ten godnościowy pomysł wspierają politycy, więc może nas sporo kosztować.

MARCIN PIĄTEK

To jeszcze nie oficjalna kandydatura, ale deklaracje składane przez polityków Koalicji Obywatelskiej są śmiałe, na dodatek podżyrowane rządowymi gwarancjami. Pomysł organizacji letnich igrzysk olimpijskich w Warszawie krąży już od jakiegoś czasu, w połowie 2023 r. lansował go prezydent Andrzej Duda, celując w rok 2036. Ale z „parytetu kontynentalnego" praktykowanego przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski wynika, że ten termin powinien być zarezerwowany dla Ameryki Południowej.

Warszawa chce gościć olimpijczyków w 2044 r., a zapalony nagle do pomysłu prezydent stolicy Rafał Trzaskowski oznajmił, że będzie to „projekt cywilizacyjny" oraz „koło zamachowe" rozwoju miasta. Uderza też w tony symboliczno-patriotyczne, przypominając, że w 2044 r. minie sto lat od powstania warszawskiego, po którym Warszawa miała zniknąć z powierzchni ziemi, tymczasem dzięki igrzyskom stolica objawi się jako miasto niezłomne i witalne. Na wszelki wypadek dorabiana jest też bardziej praktyczna ideologia: pobudzenie narodu do regularnego uprawiania sportu, bo jesteśmy jednym z najbardziej kanapowych i otyłych narodów Europy.

Ubieganie się przez Warszawę o tę imprezę ma być bowiem zwieńczeniem opracowywanej w Ministerstwie Sportu strategii rozwoju fizycznego Polaków. Na razie czterokrotny mistrz olimpijski w chodzie Robert Korzeniowski, pełniący obecnie funkcję ministerialnego doradcy, zgłosił postulat wprowadzenia lekarskich recept na ruch.

Fantastyczne, bo bombastyczne

Taki godnościowo-patriotyczno-zdrowotny sos, w którym dojrzewa warszawska kandydatura, ma skłonić do politycznego porozumienia ponad podziałami. To się udaje, bo poparcie dla igrzysk zdążyli już wyrazić prominentni politycy PiS. Zapowiadają oni, że gdy tylko PiS wróci do władzy, zorganizują imprezę znacznie lepiej. O kosztach nie wspominają, ▶

© NCS

eprasa.pl ffb074335d

▶ bo na razie nie opracowano nawet szacunkowego budżetu, więc nie ma się do czego odnieść.

Jedno jest pewne: wydać trzeba będzie dziesiątki miliardów złotych, co politycy aprobują bez mrugnięcia okiem, jakby nie było idących łącznie w setki miliardów wydatków na zbrojenia, Centralny Port Komunikacyjny, elektrownię atomową, jak również rekordowych kosztów obsługi długu publicznego (w tym roku szacowane są na 90 mld zł). Ale dziś kapitał polityczny zbija się nie na racjonalności, ale na bombastycznych projektach.

Już samo przygotowanie olimpijskiego wniosku, popartego analizami, konsultacjami, podróżami studyjnymi (na które politycy chętnie się piszą), to, jak pokazują doświadczenia ostatnich organizatorów letnich igrzysk, wydatek 50–100 mln dol. To zaledwie kropla przy ostatecznych kosztach idących w miliardy dolarów i regularnie wykraczających poza pierwotny budżet. W Rio de Janeiro wzrósł on niemal czterokrotnie (do ponad 23 mld dol.), Tokio dostało rachunek wyższy o 130 proc. (niemal 14 mld), a Paryż o 115 proc. (blisko 9 mld) i to były „tanie" igrzyska, bo większość niezbędnej infrastruktury na potrzeby sportowców była już gotowa.

Na domiar złego prawie zawsze jest to impreza deficytowa. Jako przykład igrzysk, dzięki którym organizatorzy zarobili, podawane jest Los Angeles w 1984 r. (215 mln dol. na plusie), co stało się możliwe tylko dzięki temu, że infrastruktura sportowa była tam gotowa, a cena praw do transmisji telewizyjnej skoczyła kilkakrotnie. Na drugim biegunie są przypadki Montrealu spłacającego olimpijskie długi przez ponad trzy dekady oraz Aten, które ze swoim ponadtrzymiliardowym (w dolarach) rachunkiem za igrzyska w 2004 r. przyłożyły się do bankructwa krajowej gospodarki. Największy zastrzyk pieniędzy zapewniają prawa do transmisji telewizyjnej (3,2 mld dol. za ostatnie letnie igrzyska w Paryżu), ale połowę tych wpływów rekwiruje MKOl.

– *Zwolennicy igrzysk lansują tezę, że impreza jest świetną reklamą dla miasta gospodarza i powoduje turystyczny boom. Jako koronny przykład podawana jest Barcelona, która po igrzyskach w 1992 r. faktycznie podskoczyła w rankingach turystycznych. Ale przecież imponujący skok zanotowały też inne miasta, bez olimpijskich ambicji: Praga, Dublin czy Porto. Takich przykładów jest znacznie więcej* – zwraca uwagę Tomasz Leśniak, krakowski radny. Ponad dekadę temu stał na czele ruchu Kraków Przeciwko Igrzyskom i wpłynął na przeprowadzenie lokalnego referendum, które ostateczne położyło kres kandydaturze stolicy Małopolski jako gospodarza zimowych igrzysk w 2026 r.

Bezpośredni wpływ olimpijskiej reklamy miasta jako magnesu dla turystów wymyka się badaniom, co nie przeszkadza jednak zwolennikom imprezy sięgać po ten argument. W odniesieniu do warszawskiej kandydatury podają też przykład piłkarskiego Euro 2012, dzięki któremu wybudowano autostrady i rozpoczęto proces modernizacji sieci kolejowej. Tymczasem prawda jest taka, że ta modernizacja ruszyła przede wszystkim dzięki miliardom płynącym z Unii Europejskiej, turniej co najwyżej wymusił przyspieszenie. A do utrzymania stadionów budowanych wyłącznie z myślą o turnieju trzeba dokładać.

Narodowy mało koncertowy

Gdyby Warszawa miała dziś zostać gospodarzem igrzysk, można by co najwyżej zorganizować uliczny maraton, upchnąć mniej znaczące dyscypliny halowe w Torwarze, jeźdźców skierować na Służewiec, no i pewnie znalazłyby się jakieś plenerowe okoliczności przyrody dla łucznictwa oraz przestrzeń miejska zaaranżowana na potrzeby zyskujących coraz większą olimpijską popularność dyscyplin w rodzaju koszykówki ulicznej albo akrobacji rowerowych.

Stadion Narodowy na igrzyska się nie nadaje. Gdy w 2007 r. spadła nowina, że Polska będzie współgospodarzem (wraz z Ukrainą) piłkarskiego Euro 2012, stadiony trzeba było budować od podstaw, a na miejscu dzisiejszego Narodowego straszyła ruina Stadionu X-lecia. W związku z napiętym harmonogramem wdrożono wersję minimum: stadion na ok. 55 tys. miejsc, bez okalającej murawę lekkoatletycznej bieżni. Inna sprawa, że futbolowe władze najwyższego szczebla nie lubią tego rodzaju dwufunkcyjnych obiektów, gdyż konieczność wkomponowania w płytę bieżni oznacza, że trybuny znajdują się dalej od boiska. Spada, jak to się mawia w korpojęzyku, jakość konsumpcji widowiska.

Do listy obecnych problemów z Narodowym dochodzi jeszcze fatalna akustyka spowodowana tym, że budowano go przede wszystkim jako obiekt piłkarski, bez refleksji, że po imprezie ma on żyć (i zarabiać) również na koncertach. W betonowej niecce Narodowego występy megagwiazd wprawdzie się od czasu do czasu odbywają, ale towarzyszący artystom inżynierowie dźwięku muszą stawać na głowie, by zminimalizować wielosekundowy pogłos. W związku z tym koncertów jest mniej, niż mogłoby być.

Koncepcja organizacji igrzysk rozpaliła wyobraźnię tych, którzy uważają, że to świetna okazja, by wady Narodowego naprawić. Co oznacza, że trzeba go gruntownie przebudować. Oprócz dołożenia bieżni trzeba zwiększyć pojemność trybun. Zawiadująca Stadionem Narodowym spółka PL 2012+ zwróciła się do projektanta obiektu, firmy JSK Architekci, z prośbą o opracowanie koncepcji modyfikacji. Mariusz Rutz, jeden ze współwłaścicieli pracowni: – *Chodzi o tymczasową adaptację, tylko na potrzeby igrzysk. Potem bieżnia zostałaby usunięta, a sam stadion, z widownią powiększoną do 80–90 tys. miejsc, czyli w standardzie najnowocześniejszych tego typu obiektów na świecie, wrócił do swojego piłkarsko-koncertowego przeznaczenia.*

Wstępny plan zakłada podniesienie poziomu murawy i bieżni o dobrych kilka metrów, tak aby zwiększyć powierzchnię do wykorzystania, kosztem dolnych rzędów trybun, czyli jakichś 8–10 tys. miejsc. – *Następnie trzeba zdemontować dach oraz dobudować dodatkową, najwyższą trybunę na ok. 35 tys. miejsc. Musiałaby być ona umieszczona na nowej konstrukcji, wianuszku słupów okalających stadion w obecnym kształcie. Konieczny byłby oczywiście nowy dach, a całość na końcu otrzymałaby nową fasadę* – tłumaczy Mariusz Rutz.

Jego zdaniem z technicznego punktu widzenia jest to wykonalne (skoro nadwiślański grunt wytrzymuje konstrukcję obecnego obiektu, to wytrzyma również ciężar nowej trybuny), wymagałoby jednak wyłączenia stadionu z użytkowania na czas budowy. – *Adaptacje stadionów z bieżnią na typowo piłkarskie się zdarzały – zresztą najlepszym przykładem jest Stadion X-lecia – ale jeśli chodzi o tę konkretną koncepcję związaną z potencjalnymi igrzyskami w stolicy bylibyśmy pionierami* – przyznaje. Jeśli chodzi o koszty, Mariusz Rutz nie chce rzucać kwotami. – *Na tym etapie byłoby to nieodpowiedzialne. Z pewnością jednak przebudowa Narodowego byłaby mniej kosztowna niż stawianie od podstaw nowego obiektu, który przecież po igrzyskach stałby się zbędny* – dodaje.

eprasa.pl ffb074335d

Stadion dla ewentualnych igrzysk to zaledwie początek infrastrukturalnych potrzeb. W stolicy nie ma również pływalni odpowiednich rozmiarów – półtora roku temu w Paryżu zmagania pływaków odbyły się w La Defense Arena, wielofunkcyjnym obiekcie sportowo-koncertowym, przy 17-tysięcznej widowni – jak również hali widowiskowej z prawdziwego zdarzenia. Miejsce jest – w sąsiedztwie Stadionu Narodowego, gdzie obecnie znajduje się parking. Przyspieszenie prac nad budową najnowocześniejszego w Polsce obiektu tego typu, z 22 tys. miejsc na trybunach, zapowiadał jeszcze w 2024 r. poprzedni minister sportu Sławomir Nitras. Ale sprawa do tej pory ani drgnęła.

Inwestycja, jeśli w końcu zostanie przeforsowana, ma być finansowana z budżetu państwa (wstępny koszt oszacowano na ponad miliard złotych). Niezależnie od olimpijskiej koncepcji swoje plany modernizacji infrastruktury sportowej wdraża Warszawa. Zatwierdzono już finansowanie inwestycji na terenach, z których korzystają kluby Skra i Polonia. Powstaną tam m.in. nowoczesne hale, zwiększające potencjał stolicy przy ubieganiu się o imprezy koszykarskie lub siatkarskie, ale na co dzień udostępniane mieszkańcom. Z punktu widzenia władz stolicy największa inwestycja, nieplanowana, a na igrzyska niezbędna, to budowa wioski olimpijskiej (w Paryżu zakwaterowano w niej ponad 14 tys. sportowców oraz członków ich sztabów). – *Cała sztuka to znaleźć dla tych budynków przeznaczenie po zakończeniu igrzysk. Ja widziałabym tam nowe miasteczko akademickie warszawskich uczelni lub mieszkania komunalne. Ale wciąż jesteśmy na etapie poszukiwania odpowiedniej lokalizacji. Musi się ona wpisać w nowe, ogólne plany zagospodarowania przestrzennego, które samorządy muszą uchwalić w tym roku* – mówi wiceprezydent stolicy Renata Kaznowska.

Inwestowanie i finansowanie

W ratuszu trwają już wstępne szacunki zysków i strat w związku z ewentualną organizacją igrzysk. Prezydent Kaznowska twierdzi, że jak na razie plusy (przede wszystkim turystyka olimpijska, na której zarobią lokalni przedsiębiorcy z branży noclegowo-gastronomicznej, wyjątkowa szansa na międzynarodową promocję stolicy jako miasta wypadowego, jak również nowy bodziec dla ambitnych stołecznych inwestycji, zwłaszcza jeśli



Na olimpiadę trzeba byłoby wydać dziesiątki miliardów. Politycy aprobują to bez mrugnięcia okiem, chociaż niemal zawsze jest to impreza deficytowa.

chodzi o transport) przeważają nad minusami (jeszcze więcej remontów i budów, czyli jeszcze większe korki i utrudnienia komunikacyjne, a podczas samej imprezy nadzwyczajne względy bezpieczeństwa powodujące nieunikniony paraliż miasta).

Renata Kaznowska nie ukrywa, że z punktu widzenia Warszawy potencjalną korzyścią jest dofinansowanie z budżetu centralnego inwestycji, które stolica i tak ma w planach. Przede wszystkim nowych linii metra. Czy nie obawia się, że w pozostałej części kraju zostanie to odebrane jako skok „warszawki" na centralną kasę? – *Choć Warszawa będzie w centrum imprezy, to przecież część wydarzeń ma zostać zorganizowana w innych lokalizacjach* (tor regatowy na poznańskiej Malcie, Trójmiasto z jego morską linią brzegową na potrzeby dyscyplin na otwartym morzu, hale i stadiony w innych dużych miastach – przyp. red.). *I tam też będą potrzebne inwestycje finansowane z budżetu rządu* – dodaje.

Rozparcelowanie imprezy jeszcze niedawno było nie do pomyślenia. MKOl promował bowiem ideę igrzysk zwartych i zintegrowanych. Obecnie narzucono nową narrację: cięcia kosztów oraz ograniczenia olimpijskiego śladu węglowego. Zamiast wznosić od podstaw brakujące elementy sportowej infrastruktury, wskazane jest korzystanie z już istniejącej w innych regionach albo miastach. Ta strategia ma poszerzyć grono ewentualnych zainteresowanych. A ono się kurczy, np. Brisbane, wybrane na gospodarza letnich igrzysk w 2032 r., w ogóle nie miało konkurentów. Chętnych brakuje, bo koszty idą w miliardy dolarów, a pierwotnego budżetu nigdy nie udaje się dotrzymać.

Szacowanie przez mnożenie

Zorganizowanie imprezy tej skali bez poparcia społecznego trudno sobie wyobrazić. Igrzyska mają być rozproszone po kraju, ale referendum ogólnopolskie nie ma racji bytu, bo dla jego ważności trzeba udziału połowy uprawnionych, co jest nieosiągalne. Wiceprezydent Kaznowska nie wyklucza, że Warszawiacy zostaną zapytani o głos. – *Widziałam sondaż, z którego wynika, że 46 proc. jest za* (badanie przeprowadzono jesienią 2023 r. z udziałem respondentów z całego kraju, w związku z pomysłem prezydenta Dudy, by ubiegać się o igrzyska w 2036 r.; 41 proc. pytanych było przeciw – przyp. red.). *Ale najpierw oszacujmy koszty i przeprowadźmy kampanię informacyjną na temat plusów i minusów igrzysk* – zaznacza.

W Krakowie lokalne władze długo się pomysłowi referendum opierały, a wręcz go lekceważyły, ale w końcu zorientowały się, że ta taktyka to polityczne samobójstwo. I ówczesny prezydent miasta Jacek Majchrowski ogłosił, że jednak zapyta o zdanie mieszkańców. W maju 2014 r. 70 proc. zagłosowało przeciw igrzyskom. – *Nastroje zmieniły się diametralnie, z pierwszych sondaży wynikało, że większość mieszkańców jest za. Ale gdy wyszło na jaw, że z jednej strony na igrzyska trzeba wydać co najmniej 20 mld zł, a z drugiej zamyka się szkoły i prywatyzuje szkolne stołówki i że w umowie z MKOl znajduje się zapis, że wszelkie ponadprogramowe koszty miasto organizator bierze na siebie, ludzie przejrzeli na oczy. Do porażki przyczyniły się też wpadki wizerunkowe zwolenników kandydatury* – wspomina Tomasz Leśniak.

Zgłosić kandydaturę Warszawy może tylko Polski Komitet Olimpijski, ale jego obecny prezes Radosław Piesiewicz to torpeduje. Na konferencji oficjalnie potwierdzającej stołeczne olimpijskie aspiracje pierwsze skrzypce grali politycy obecnej władzy, a Piesiewicz nie został zaproszony. Obraził się więc i postanowił się odegrać. Jego kadencja upływa za rok z okładem. Może do tego czasu uda się oszacować budżet igrzysk. Następnie, dla jasności obrazu, należy pomnożyć go co najmniej przez dwa.

MARCIN PIĄTEK

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ffb074335d



Poligon Wenezuela

„Pojmany" – po Maduro nikt nie płacze, ale niewiele jest radości

Nowa Wenezuela bardzo przypomina tę starą. Amerykanie zaczęli od opanowywania chaosu rękami ludzi władzy. Takie prowizorki trzymają się długo.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Wenezuela wciąż jest w szoku, a szok ma różne fazy. „Jeśli coś zwracało uwagę w Caracas po bombardowaniach i zatrzymaniu Nicolása Maduro, była to cisza. Opustoszałe ulice. Miasto zamknięte, wyludnione, wstrząśnięte tym, co właśnie się wydarzyło. W szoku" – napisała para korespondentów „El Pais".

Gdy pierwsze zaskoczenie minęło, władze Wenezueli – już bez lidera uprowadzonego do Stanów Zjednoczonych – wyprowadziły na ulice czołgi. Zmilitaryzowano Caracas i resztę kraju. Zrobiono to błyskawicznie, bo dekret o stanie wyjątkowym w wypadku agresji USA był dawno gotowy.

„W mieście pojawiły się punkty kontrolne obsadzone przez uzbrojonych i zamaskowanych funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa, gdzie sprawdzane są telefony komórkowe i pojazdy – piszą dalej reporterzy hiszpańskiej gazety. – W dokumencie policji nakazuje się »poszukiwanie i zatrzymanie każdej osoby zaangażowanej w promowanie lub wspieranie zagranicznego ataku zbrojnego«".

Zmilitaryzowano tzw. infrastrukturę krytyczną, w tym usługi publiczne, przemysł naftowy i ciężki, co oznacza m.in.,

© ERNESTO BENAVIDES/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ffb074335d

że pracownicy tych sektorów będą podlegać tymczasowo reżimowi wojskowemu. Obrona cywilna i zmotoryzowane milicje, będące wsparciem obozu rządzącego Wenezuelą od 1999 r., ogłosiły mobilizację, patrolują ulice Caracas i strefy przygraniczne. W obliczu niepewności ludzie ruszyli do sklepów i wykupowali, co się da. W Wenezueli jest bieda, doświadcza jej większość mieszkańców. Oprócz tych, którzy mają dolary.

Krótko przed pandemią Maduro zdolaryzował gospodarkę i zawarł niepisany pokój ze światem biznesu, mimo że wcześniej nazywał tę grupę puczystami. Państwo zwróciło prywatnym właścicielom niektóre znacjonalizowane firmy. W interesie dużych importerów zniesiono cła, a także kontrolę cen i wymiany walutowej. Pakt rządu z biznesem nie podobał się ani opozycji, ani tym ideowym spadkobiercom Hugo Cháveza, zmarłego lidera rewolucji, którzy ideę „socjalizmu XXI w." traktowali poważnie.

Reformy Maduro porównywano niekiedy do chińskiego zwrotu w stronę kapitalizmu oraz radzieckiej pierestrojki. Dzięki nim opanowano hiperinflację – na krótko. Od tamtej pory można w Wenezueli kupić w zasadzie wszystko, trzeba tylko mieć „zielone". Pensja minimalna? Równowartość jednego dolara. Dzięki różnym programom socjalnym można co prawda skompletować miesięczny budżet domowy w wysokości powyżej stu dolarów, ale to wciąż bieda z nędzą. W 2025 r. dolar podrożał o 80 proc., są dwa jego kursy – oficjalny i uliczny.

Wśród rozmaitych niepokojów pojawił się teraz ten najnowszy: jak potoczą się wydarzenia po napaści USA? „Niewielu będzie smutnych, widząc Maduro za kratkami – napisał znany wenezuelski publicysta Boris Muñoz, przeciwnik chavizmu, od lat na emigracji w USA. – Ale to, co się wydarzyło, jest również agresją wobec suwerennego narodu. (...) Pytanie brzmi, czy ten atak otworzy drogę do demokratycznej transformacji, czy też przeciwnie, zapoczątkuje [amerykański] protektorat nad Wenezuelą".

Chávez i kapitalizm państwowy

Gdy myślimy Wenezuela, często myślimy ropa. To kraj o największych rezerwach naftowych na świecie. Odkryto ją na początku XX w., ale rządzący przekazali złoża ropy Amerykanom i Europejczykom – Wenezuela dostała prawo tylko do niewielkiej renty, z której żyła rządząca elita.

Szersze kręgi społeczne zaczęły odczuwać bogactwo kraju dopiero po nacjonalizacji złóż w 1976 r., mimo że system demokratyczny panował już prawie dwie dekady. Amerykańskie firmy nadal były tu obecne, osiągały jedynie mniejsze zyski. Te ciągnęli ludzie dwóch największych partii wymieniających się u władzy. Była to kleptokracja jakoś dzieląca się, głównie z klasą średnią. Weekendowe loty z Caracas do Miami na zakupy były symbolem tamtych czasów.

Przejadanie bogactwa przez uprzywilejowanych doprowadziło do ubożenia i tak biednych, a wreszcie upadku państwa. W 1989 r. biedacy zeszli ze slumsów na wzgórzach okalających Caracas i rozpoczęli plądrowanie. Wojsko zaczęło strzelać, było co najmniej kilkaset ofiar. Wydarzenie to dekadę później stało się mitem założycielskim tzw. rewolucji boliwariańskiej (od Simóna Bolívara, XIX-wiecznego wyzwoliciela pięciu krajów regionu, w tym Wenezueli, spod władzy Hiszpanii). I tu zaczyna się poniekąd historia, którą obserwujemy dziś.

W 1998 r., na gruzach tradycyjnych partii, wybory wygrał były pułkownik wojska Hugo Chávez, głoszący hasła zwalczania biedy i nierówności. Mimo że głosił ideę „socjalizmu XXI w.", nie zmienił systemu, postawił na kapitalizm państwowy. Biedni dostali większy dostęp do dóbr publicznych – poprzez pomoc gotówkową, tzw. szkoły boliwariańskie, dające opiekę dzieciom do wieczora, gdy rodzice byli w pracy, budowę przychodni zdrowia w każdym slumsie, dotowaną żywność dla biednych, zwalczanie analfabetyzmu. Warunki życia najbiedniejszych znacząco się poprawiły, a Chávez nigdy potem nie przegrał wyborów.

Po kilkuletniej chorobie zmarł na raka w 2013 r. Skończył się dobry etap rewolucji boliwariańskiej i jednocześnie pojawiły się pierwsze zapowiedzi jej późniejszego upadku. Chávez wskazał Maduro jako następcę (wcześniej m.in. szefa MSZ), a ten dość szybko postawił na zamordyzm. Policja strzelała do demonstrantów, a więzienia zapełniły się „politycznymi" (jeszcze do niedawna było ich 900). Spadek cen ropy przy uzależnieniu państwa od dochodów z jej sprzedaży pogrążył gospodarkę. Podobnie jak złe zarządzanie i korupcja. Katastrofa ekonomiczna, do jakiej doprowadził Maduro, wywołała exodus z naftowego raju kilku milionów ludzi.

Za te nieszczęścia odpowiada Maduro. Ale nie stał na czele żadnego Kartelu Słońc (Cartel de los Soles), o czym w kółko mówi Trump. Kartel ten... nigdy nie istniał, a jego nazwa, ukuta na początku lat 90., opisuje zespół praktyk klientelistycznych i korupcyjnych, także uwikłanie wojskowych w szmugiel narkotyków. W ostatnich latach po Ameryce Łacińskiej rozpełzł się kartel Tren de Aragua – zupełnie rzeczywisty – i łatwo było zbudować na skojarzeniach propagandową opowieść o Maduro jako szefie innego kartelu. Ale wierchuszka chavistów z pewnością jest uwikłana w przemyt.

Pokój i dialog

Tym większe musiało być zaskoczenie w Caracas, szczególnie w kręgach opozycji, gdy dotychczasowa wiceprezydentka, wierna chavistka Delcy Rodriguez – dwa dni po ataku USA zaprzysiężona na tymczasową głowę państwa – wyciągnęła rękę do agresora. Najpierw oświadczyła, że Maduro nadal pozostaje prezydentem Wenezueli; że Wenezuela nie podporządkuje się Stanom Zjednoczonym – „nie będziemy kolonią!" – i potępiła napaść, w wyniku której zginęło między 60 a 100 osób, w tym 32 Kubańczyków z obstawy Maduro.

Dwa dni później Rodriguez zmieniła ton: „Zapraszamy rząd Stanów Zjednoczonych do współpracy ukierunkowanej na rozwój". Nie było mowy o imperializmie i kradzieży zasobów naturalnych. „Nasz kraj pragnie żyć bez zewnętrznych zagrożeń" – oświadczyła Rodriguez. W apelu do Trumpa napisała, że „nasze narody i nasz region zasługują na pokój i dialog, a nie na wojnę".

Wszystko przebiegało tak składnie, że wielu obserwatorów zaczęło podejrzewać najbliższe otoczenie Maduro o zdradę, względnie o dogadany zawczasu spektakl medialny nowej prezydentki do spółki z Trumpem. Jaki jest teraz plan? Zapewne Wenezuela stanie się protektoratem USA zarządzanym z Białego Domu, bez wysyłania wojsk lądowych. Nad krajem będzie wisiała groźba ponownej akcji zbrojnej, jeśli by Wenezuelczycy podjęli działania wbrew woli Trumpa, który ogłosił właśnie, że USA będą czerpać z wenezuelskiej ropy długie lata.

W kalkulacjach Trumpa i Rubio obecna władza w Wenezueli jest poręczniejszym narzędziem niż opozycja. Chaviści kontrolują wojsko, policję, mają wierne bojówki. Mogą sprawić, że coś się „zadzieje" lub zablokować niepożądany przez Amerykanów bieg zdarzeń. Dotychczasowy establishment to wraz z rodzinami kilka milionów ludzi. Gdyby chcieli, mogliby wywołać wojnę ▶

eprasa.pl ffb074335d

▶ domową. Amerykanie z łatwością pobiją wenezuelską armię, ale oporu społecznego, bojkotu, być może jakiejś partyzantki, tak łatwo nie pokonają.

Właśnie dlatego postawili na Rodriguez. Chcą przede wszystkim dostępu do złóż ropy dla amerykańskich firm i odszkodowań dla Exxon Mobil i Conoco Phillips za wywłaszczenia z 2007 r., przeprowadzane jeszcze przez Cháveza. Żądają też odcięcia od wenezuelskiej ropy swoich rywali – Chin, Rosji oraz Iranu.

Jak wynika z sugestii Rubio – głównego rozgrywającego sprawę Wenezueli i Ameryki Łacińskiej – administracja amerykańska docenia kompetencje Rodriguez w sektorze naftowym (za który odpowiadała jeszcze jako ministra). Liczy też, że Rodriguez będzie w stanie opanować sprzeciw wśród chavistów – a ci są podzieleni w ocenie sytuacji i taktyki wobec najeźdźcy. Ludzi obozu władzy w Caracas łączy teraz strach przed pojmaniem, ekstradycją lub osądzeniem, gdyby kontrolę przejęła opozycja – i wolą podążać posłusznie za żądaniami Trumpa. Ale czy ten stan się utrzyma?

Ponadto Wenezuela to kraj, nad którego terytorium rząd nie panuje całkowicie. Roi się tu od partyzantów z sąsiedniej Kolumbii, karteli – głównie Tren de Aragua – a także innych organizacji przestępczych i grup paramilitarnych. Zwroty akcji są gwarantowane.

Tylko bez radości

Tydzień po amerykańskim ataku nowy-stary rząd zapowiedział masowe zwolnienia więźniów politycznych. Ale rodziny uwięzionych nie mogły nawet wyrażać spontanicznie radości. Ulice patrolują zmotoryzowane milicje – pilnują, by obywatele nie wyrażali publicznie żadnych antyrządowych opinii. Tak jak wcześniej, potrafią zatrzymać przypadkową osobę i sprawdzać jej wpisy w mediach społecznościowych.

Władze uwalniają więźniów politycznych, a zarazem korzystają z przepisu o „poszukiwaniu i aresztowaniu każdej osoby zamieszanej w promowanie lub popieranie zbrojnego ataku USA". Przykładowo w jednej z prowincji zatrzymano osoby świętujące porwanie Maduro strzałami na wiwat (w Wenezueli jest mnóstwo broni). Zatrzymano kilkunastu dziennikarzy, większość zagranicznych, w dniu zaprzysiężenia Rodriguez.

Chaviści kontrolują ulicę, a zarazem ją utracili. Siłą tego ruchu od początku była zdolność do mobilizowania masowego poparcia – a to na demonstracjach prorządowych, a to w plebiscytach (rządy chavistów były w niemałej mierze demokracją plebiscytową). Po amerykańskim ataku próby mobilizowania zwolenników do protestu przeciw agresji na kraj wypadły blado.

Mimo zniknięcia ze sceny Maduro, po którym większość bynajmniej nie płacze, Caracas jest przygaszone. Kraj znajduje się – wedle słów sfrustrowanego obywatela cytowanego w zagranicznej prasie – „między czymś, co nie umarło, a czymś, co się nie narodziło". W Wenezueli nie nastąpiła zmiana reżimu (*regime change*) – Amerykanie wybrali Realpolitik.

Rządowe media mówią i piszą o „agresji imperium", nie chwalą się przymusowym otwarciem dla amerykańskiego biznesu naftowego, a zwolnienia więźniów opisują jako „akt dobrej woli na rzecz dialogu". Pierwsze nominacje nowej prezydentki promują jastrzębi chavizmu. Musiało zmienić się niemal wszystko, by niemal wszystko zostało po staremu.

Najbardziej pokrzywdzona, wręcz upokorzona, rozwojem wypadków jest Maria Corina Machado – faktyczna liderka opozycji, ostatnia laureatka pokojowego Nobla. To ona namawiała Biały Dom do zbrojnej interwencji, a tuż po niej zgłosiła gotowość do przejęcia władzy. Trump oświadczył, że Machado nie cieszy się wystarczającym poparciem ani szacunkiem, by rządzić. Jej gorycz osładzał Rubio, zarzekając się, że jest fantastyczną osobą, ale nie było jej w kraju, gdy doszło do interwencji, a trzeba było szybko poukładać sprawy.

Liderka opozycji pozostała na marginesie z kilku powodów. Nie byłaby w stanie zagwarantować, że jej decyzje będą miały wpływ na porządek publiczny. Dla rządzących chavistów jest wrogiem nr 1 – zaproszenie jej do negocjacji w tym momencie wysadziłoby je na starcie. Możliwe, choć wcale nie pewne, że Amerykanie skorzystają z jej usług później.

Na początku wielkich transformacji niemal zawsze jest etap opanowywania chaosu – wtedy paktuje się z tymi, którzy umieją zarządzać, mają dostęp do władzy; i którzy mogliby wyrządzić szkody. Potem wkraczają technicy władzy, cywile, podmioty uznawane przez różne strony konfliktu. Dopiero na końcu następuje faza legitymizacji: wybory, odbudowa demokracji. Czy tak będzie w Wenezueli? Trump i Rubio mówią otwarcie, że wyborów prędko nie będzie.

Drugie Wenezuele

W ostatnich latach zamordyzm reżimu z Caracas, który posługiwał się retoryką lewicową i antyimperialistyczną, obciążał pośrednio demokratyczne rządy lewicy w regionie. Ta retoryka brzmiała nieco mniej wiarygodnie w ustach każdego z liderów, skoro posługiwał się nią także zamordysta Maduro. Z kolei krytyka Maduro i schyłkowego chavizmu zbliżałaby progresistów do prawicy, a tego z oczywistych przyczyn nie chcieli. Lewicowa Ameryka Łacińska znalazła się z powodu Wenezueli w pułapce.

Przykład złych rządów Maduro stał się wiatrem w żagle prawicy – tej tradycyjnej i tej skrajnej. „Spójrzcie na wielki exodus milionów Wenezuelczyków – głosiła prawicowa propaganda m.in. w Meksyku, Argentynie, Chile, Kolumbii. – Jeśli wygra lewicowy kandydat, zamieni kraj w drugą Wenezuelę". To działało.

Z dużych aktorów politycznych regionu tylko Javier Milei, prezydent Argentyny, trzeciej latynoamerykańskiej gospodarki, powitał interwencję w Wenezueli z entuzjazmem. Dołączył do niego prezydent elekt Chile Antonio Kast, z tym że on obejmie urząd dopiero w marcu. Pozostali sojusznicy Trumpa w regionie rządzą mniejszymi krajami, m.in. Ekwadorem i Salwadorem.

Wenezuela staje się więc poligonem administracji Trumpa. Jeśli sytuacja zostanie opanowana, trudno liczyć na to, że Biały Dom nie pójdzie za ciosem. Na Kubie odzyska dostęp do lukratywnej branży turystycznej zdominowanej przez Amerykanów przed rewolucją Fidela Castro w 1959 r. (nie mówiąc o wdzięczności diaspory kubańskiej na Florydzie; to potężna grupa wyborców).

W Kolumbii, gdyby czerwcowe wybory znowu wygrała lewica, Biały Dom może podjąć próbę siłowego przywrócenia temu krajowi statusu amerykańskiej bazy wywiadowczej i wojskowej; a i biznes skorzysta – Kolumbia ma ropę i metale szlachetne. Jeśli natomiast wygra prawica, odda kraj w dobrowolną podległość, jak bywało w przeszłości.

W Ameryce Łacińskiej nadchodzi czas nie tylko hegemonii USA w starym stylu; także autorytaryzmu, przynajmniej w części regionu, który będzie strzegł interesów najbogatszych i utrwalał niepodzielną władzę Waszyngtonu nad zachodnią półkulą.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

eprasa.pl ffb074335d

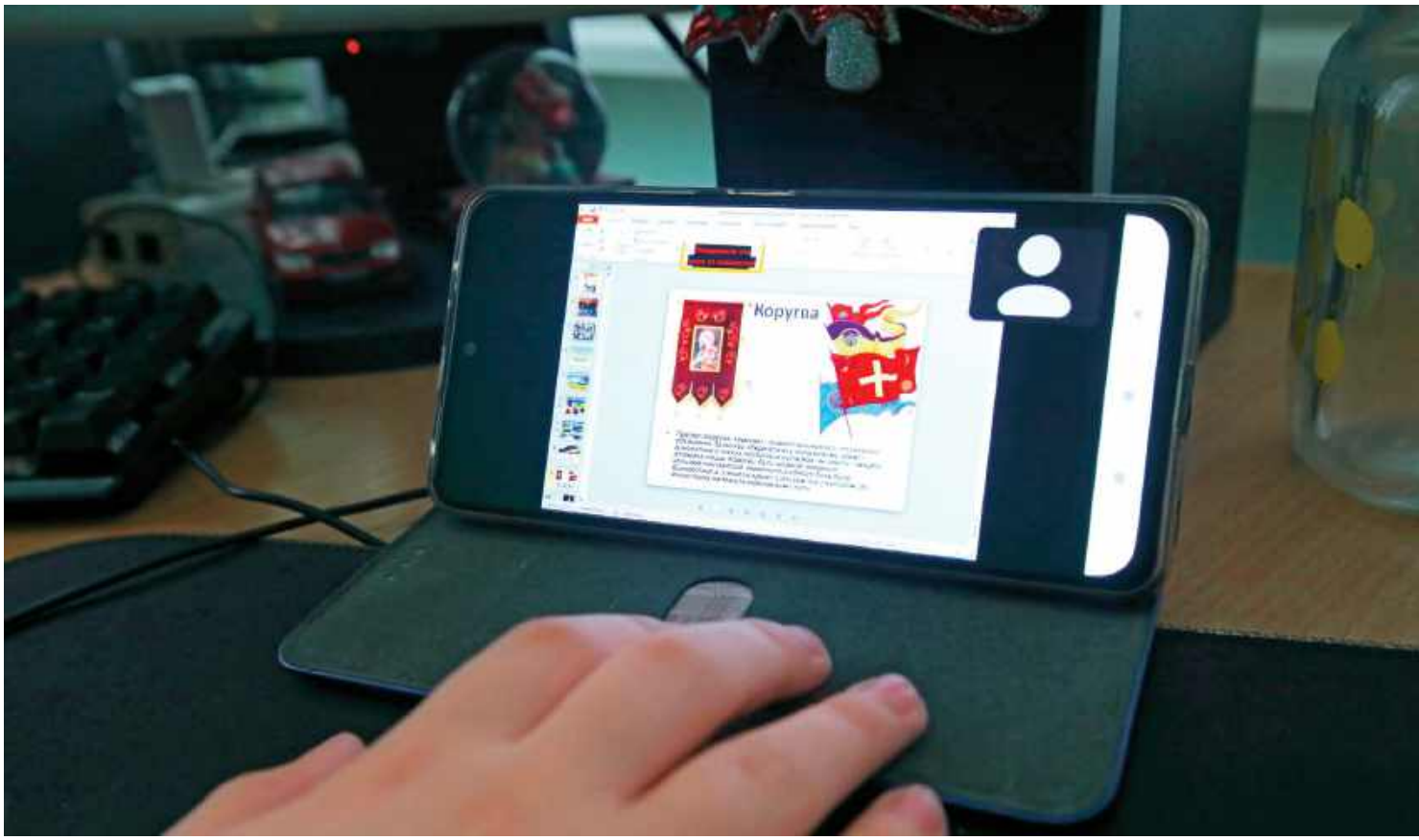

Szkoła podziemna

Pod rosyjską okupacją dzieci i ich rodzice wiele ryzykują, ucząc się w wirtualnych ukraińskich szkołach. Eksperci alarmują, że Rosja dopuszcza się tam „kulturowego ludobójstwa”.

STAS KOZLIUK, AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Przez niemal dwa lata Natalia (imię zmienione) trzymała synów w ukryciu. Po mieście krążyły plotki, że rodzicom, którzy nie puszczają dzieci do okupacyjnej szkoły, mogą nawet odebrać prawa rodzicielskie. Bo dla okupantów propaganda i (re)edukacja w duchu rosyjskiego militaryzmu to jeden z priorytetów. Instrument do produkowania spacyfikowanych obywateli, ale także kolejnych imperialnych żołnierzy. To część procesu wymazywania tożsamości, który uznaje się za „kulturowe ludobójstwo”. A Natalia była zdeterminowana, by synów przed tym uchronić.

Przez wiele miesięcy rodzina żyła w strachu. Nie wiadomo było, komu ufać, bo okupacja zmieniła ludzi – jedni przejrzeli na oczy i stracili złudzenia co do Moskwy, inni odwrotnie. – *Niemal walczyli w kolejkach o rosyjskie paszporty. Ktoś mógł uśmiechać się do ciebie w ciągu dnia, a wieczorem napisać na ciebie donos do administracji okupacyjnej* – opowiada Natalia.

Mieszkali w południowej Ukrainie. Jej mąż walczył z rosyjskim najeźdźcą jeszcze przed 2022 r. Gdy Rosjanie zajęli ich miejscowość, z wyjazdem zwlekali aż do jesieni 2024 r. Również dlatego, że Natalii długo nie było stać na zorganizowanie ucieczki. Do tego czasu chłopcy uczyli się „podziemnie”. Bo dzięki nowym technologiom rozrzuceni po świecie młodzi Ukraińcy mogą zdalnie „chodzić” do ukraińskiej szkoły. Jeszcze przed pełnoskalową agresją Rosji uczniowie i nauczyciele byli w tym wprawieni, bo zdalną naukę wymusiła wcześniej pandemia. Ryzyko jednak nie zniknęło.

– *Moi chłopcy byli w domu mniej więcej do godz. 15, ponieważ tyle trwały lekcje w rosyjskich* (również wirtualnych – przyp. red.) *szkołach. Potem wychodzili na podwórko, ale zachowywali się cicho. W końcu zupełnie przestali wychodzić na zewnątrz. Po lekcjach ukrywaliśmy nawet zeszyty* – relacjonuje Natalia. Opowiada, że rosyjscy żołnierze regularnie przeszukiwali mieszkańców i ich domy, sprawdzali również zawartość laptopów i telefonów. – *Na naszej ulicy jedna rodzina ukrywała dziecko przed rosyjską szkołą, ale sąsiad napisał donos.*

Natalia mówi, że jej synowie w zasadzie przestali rozmawiać z rówieśnikami. *Dorośli potrafią jeszcze zrozumieć, co można powiedzieć, ale dzieci już nie zawsze.* ▶

© VYACHESLAV MADIYEVSKYY UKRINFORM/DDP IMAGES/FORUM

eprasa.pl ffb074335d

▶ *Poza tym nie mieli wiele wspólnego z tymi, którzy chodzili do rosyjskiej szkoły, niektórzy zaczęli już nawet mówić, że Rosjanie nie są tacy źli.*

Do Rosji na reedukację

Według Amnesty International w niektórych szkołach spośród uczniów wyznaczono informatorów, których zadaniem było identyfikowanie i zgłaszanie dzieci mówiących po ukraińsku. Ujawnieni „sprawcy" byli wzywani do dyrektora szkoły „na rozmowę reedukacyjną", podczas której ostrzegano ich przed „ukaraniem rodziców za niewłaściwe wychowanie" i „wysłaniem do Rosji na reedukację".

– *Na terytoriach okupowanych w tajnych ukraińskich lekcjach bierze udział prawie 35 tys. dzieci* (na ok. mln dzieci w wieku szkolnym, z których niemal połowa to młodzi mieszkańcy Krymu – przyp. red.) – mówi Kateryna Tymczenko z ukraińskiego Ministerstwa Edukacji i Nauki. Z 844 ukraińskich szkół, które działały na terytoriach obecnie pod kremlowskim butem, dziś działa 222. Tyle że wirtualnie.

Dyrektorką jednej z nich – liceum z Nowej Kachowki – jest Irina Dubas. Fizycznie placówka została przeniesiona na przedmieścia Kijowa, ale uczęszczają do niej zarówno dzieci z okolicy, jak i te, których rodziny zostały pod okupacją, a nawet te, które musiały wyjechać za granicę. – *Udało nam się zebrać nasze dzieci, które w 2022 r. rozproszyły się po całym świecie. Są wśród nich uczniowie, którzy przez dwa lata nigdzie się nie uczyli* – opowiada dyrektorka.

Gdy Rosjanie zaatakowali w 2022 r., Dubas była akurat w Kijowie. Leczyła się w klinice onkologicznej, ale agresja zmusiła lekarzy do przerwania terapii. – *Nauczyciele dzwonili do mnie w panice, nie wiedzieli, co robić* – wspomina. Dodaje, że o tym, jak postępować, kilka rad dostała od kolegów i koleżanek ze wschodnich obwodów Ukrainy, które były pod kontrolą Kremla już od 2014 r. W końcu lutego 2022 r. podjęła decyzję o powrocie do Nowej Kachowki. Nie miała samochodu, korzystała więc z autobusów i taksówek, aż wsiadła do auta męża, który wyruszył jej naprzeciw. Mijali uciekających cywilów i wycofującą się ukraińską armię. Za oknami były płonące budynki i dopiero co zawieszone rosyjskie flagi.

Szkoła dostała instrukcję, żeby ogłosić dwutygodniowe ferie. A dyrektorka, która dotarła na miejsce, zabrała się z najbliższymi współpracownikami do opanowywania sytuacji. Dubas podkreśla, że mieli dużo szczęścia i wsparcia, bo akurat ich burmistrz nie poszedł na kolaborację i robił, co mógł, by pomóc rodakom. – *Nie należy się cieszyć ze śmierci żadnego człowieka, ale niedawno zginął w zamachu Wołodymyr Leontiew, który po wejściu Rosjan został okupacyjnym burmistrzem* – mówi. – *To przez niego wszystkie nasze nieszczęścia w Nowej Kachowce.* Leontiew namawiał szkolną kadrę do kolaboracji w zamian za stanowiska i pieniądze. Później groził. – *Nauczycielka, z którą się przyjaźniłam, z dnia na dzień została kolaborantką. Straszny czas, nie wiedzieliśmy, kto jest po czyjej stronie.* Dubas zaproponowano wtedy stanowisko zastępczyni burmistrza, ale odmówiła.

Jej szkoła została przejęta w wakacje 2022 r. Kolaboracyjny burmistrz zabronił kadrze zbliżać się do placówki bliżej niż na 500 m. Jednak sytuacja w mieście była już tak napięta, że kobiety ze strachu przed przemocą seksualną i tak w miarę możliwości unikały chodzenia po ulicach. Dubas pojechała na działkę, by „zakonserwować pomidory i bakłażany, żeby mąż i ojciec nie głodowali". I tam przyjechało po nią FSB.

Przesłuchania trwały kilka godzin. Cele były pełne karaluchów. Kobiety spały na drzwiach od szafy i na kożuchu przykryte flagą z Leninem. Dubas nie miała dostępu do potrzebnych jej leków. Posterunek był ostrzeliwany przez Ukraińców, a dyrektorka liczyła, że w końcu zabiją jej katów. Razem z nią. Mimo zastraszania nie podpisała oświadczenia o współpracy. Dzięki znajomym izraelskim nauczycielom, którzy dowiedzieli się o jej uwięzieniu, o jej porwaniu zrobiło się głośno. Ostatecznie wypuszczono ją na dwudniową przerwę i wyjechała. O jej perypetiach usłyszała wówczas nawet mieszkająca od lat w Rosji siostra, z którą od 2014 r. nie utrzymywała kontaktu – wmawiała Irinie, że zabrali ją nie Rosjanie, lecz „naziści".

Przerwa na ostrzał

W Nowej Kachowce władze okupacyjne do dziś nie otworzyły stacjonarnych szkół. Brakuje nauczycieli, bo miasto jest przy linii frontu, więc z Rosji nie chcą przyjeżdżać i okupanci pr0zyjmują



Irina Dubas, dyrektorka liceum w Nowej Kachowce, była Na fot. z prawej: **zniszczona szkoła w Szewczenkowe w**

© AN, METIN AKTAS/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

byle kogo. Nauka w rosyjskim systemie odbywa się tylko online, ale ukraińskich rodziców do zapisywania dzieci i tak często trzeba przekonywać groźbami. Jak opowiada Dubas, przez jedną ze wsi przeszli z karabinami i zapisali nawet więcej uczniów, niż było w rzeczywistości.

Niektórzy młodzi ukraińscy patrioci z terenów okupowanych w ogóle nie uczęszczają do rosyjskich szkół, inni uczą się w obu systemach. Ukraińska edukacja staje się coraz bardziej elastyczna. Opcje są różne – lekcje odbywają się na żywo, ale jeśli warunki bezpieczeństwa lub słaby internet uniemożliwiają uczniom branie w nich udziału, mogą korzystać z materiałów udostępnionych na platformach.

Kijów uruchomił w tym roku dodatkowy, indywidualny program dla uczniów pod okupacją. –*Jeśli dziecko nie może się połączyć, bo trwa ostrzał albo wzrosło inne zagrożenie, nauczyciel przenosi lekcje na dogodną dla ucznia porę* – tłumaczy Dubas. Zdarza się, że uczniowie nie mogą brać udziału w lekcjach przez kilka tygodni i potem nadrabiają zaległości dzięki temu indywidualnemu tokowi.

Żeby na terytoriach okupowanych nie trzeba było wkuwać dwóch programów

eprasa.pl ffb074335d



więziona i przesłuchiwana przez Rosjan. Nie podpisała lojalki, obecnie pracuje w Kijowie. obwodzie charkowskim po odejściu rosyjskich okupantów.

jednocześnie, Kijów ograniczył zakres nauczania do spraw najważniejszych. – *W szkołach podstawowych o 79 proc., a w szkołach średnich od 87 do 89 proc. Skupiamy się na języku, literaturze, geografii, prawie i edukacji obywatelskiej – ogólnie na przedmiotach, które oferują dzieciom wiedzę o Ukrainie* – wyjaśnia Kateryna Tymczenko z Ministerstwa Edukacji i Nauki. Podkreśla, że najważniejsze jest bezpieczeństwo dzieci, dlatego np. przedmiot „obrona Ukrainy" na terytoriach okupowanych został zastąpiony kursem „edukacja obywatelska i podstawy ochrony cywilnej".

Rodzice na czatach

Chłopcom, którzy kończą 18 lat, okupanci nie pozwalają wyjeżdżać. Nie chcą tracić mięsa armatniego. Niektórym udaje się jednak uciec. – *Mamy takie dzieci, które uczyły się od 2014 r. według rosyjskich programów. Jednak utrzymywaliśmy z nimi kontakt i gdy skończyły 18 lat, na własną rękę uciekły z terenów okupowanych* – mówi dyrektorka jednej z donieckich szkół. Jej placówka – jako jedna z dosłownie kilku – już od prawie dekady oferuje nauczanie dla uczniów pod okupacją. – *Nasze dzieci są bardzo dzielne. To ciężka i niebezpieczna edukacja. Zdarzało się, że ostrzegały nauczycieli, że będzie kontrola, że muszą czyścić komputery i telefony. Że znikną, ale potem wrócą* – opowiada.

Szczególnie poruszające są historie młodych Ukraińców, którzy mieli po kilka lat, gdy zaczęła się okupacja, i wbrew oportunizmowi rodziców uczyli się w ukraińskim systemie, a po osiągnięciu pełnoletności uciekli do Ukrainy. Dzięki dyplomowi ukraińskiej szkoły mogą teraz studiować na tamtejszych uniwersytetach, które podczas rekrutacji udzielają preferencji młodzieży z terytoriów okupowanych.

Władze w Kijowie wspierają też rodziców pod okupacją – informują, z których sieci społecznościowych lepiej nie korzystać, jak użyć VPN itd. Amnesty International opisuje historię rodziny, która się obawiała, że ktoś przyjdzie do ich domu podczas zajęć online dziecka. „Aby zminimalizować ryzyko, rodzina musiała wymyślić cały system tajnych znaków. Ojciec pełnił straż na zewnątrz, a żona stała przy oknie i obserwowała męża, na wypadek, gdyby dał jej znak, że ktoś zbliża się do domu". – *Namawiamy wszystkich, żeby stamtąd wyjeżdżali. Ale nie wszyscy mogą, również dlatego, że nie mają za co wyjeżdżać* – mówi Dubas i opowiada, że wiele nauczycielek nie stać z pensji nawet na opłacenie czynszu.

Halyna (imię zmienione) zdecydowała się na wyjazd z południowych terytoriów okupowanych dopiero jesienią 2025 r., gdy okupanci zaczęli szukać jej męża, by wręczyć mu wezwanie do wojska. Wkrótce mogli też przyjść po syna, który ma już 17 lat, a którego przez cały czas ukrywała przed rosyjską szkołą. Pomogło im to, że placówka była w sąsiedniej wsi, a ich dom stoi na uboczu. Syn Halyny przestał z niego wychodzić.

– *Teraz jeżdżą samochodami i podsłuchują połączenia telefoniczne. Wieczorem całkowicie blokują internet. Wszyscy się bali, rodzicom grożono, a wielu młodych wyjechało. Zostali głównie emeryci, wielu jest chorych i mało mobilnych* – relacjonuje Halyna i dodaje, że okupanci kuszą matki rosyjskim „kapitałem macierzyńskim" za każde urodzone dziecko. W wyjeździe bliskich Halyny pomogli wyspecjalizowani ukraińscy wolontariusze.

Nauczanie strachu

„Oprócz braku dostępu do edukacji szkodliwy wpływ na rozwój każdego dziecka, jego osobowość, talenty oraz zdolności umysłowe i fizyczne ma atmosfera strachu, represji i prześladowań. Będzie mieć głęboki i trwały wpływ nie tylko na każde dziecko, lecz na całe społeczeństwo ukraińskie" – podsumowuje Amnesty International.

Zgodnie z decyzją rosyjskiego ministerstwa edukacji od nowego roku szkolnego 2025/26 język ukraiński został już całkowicie usunięty ze szkół podstawowych i średnich. Organizacja Human Rights Watch podkreśla, że takie działania „naruszają prawo konfliktów zbrojnych, które zabrania mocarstwu okupacyjnemu wprowadzania niepotrzebnych zmian w przepisach prawnych na terytorium okupowanym".

Dzieci Natalii i Halyny są już na terenach kontrolowanych przez Kijów. – *Młodszy szybciej doszedł do siebie po okupacji. Ale nie są już tymi samymi dziećmi, którymi byli przed wybuchem wojny. Na początku mieszkaliśmy w Zaporożu, nieustannie latały tam drony, młodszy syn bardzo się bał wybuchów, postanowiliśmy więc przenieść się dalej, gdzie jest bezpieczniej* – mówi Natalia. Starszy syn poszedł na studia i wrócił do gry w szachy.

STAS KOZLIUK, AGNIESZKA LICHNEROWICZ

eprasa.pl ffb074335d



Lepszy Netanjahu

Według sondaży tylko Naftali Bennett może w tegorocznych wyborach odebrać władzę Beniaminowi Netanjahu. A to oznacza, że wyborcy nie chcą innego Izraela. Tylko mniej skorumpowanego.

AGNIESZKA ZAGNER Z JEROZOLIMY

„Nie zjadam po 17 steków, nie mam jachtu ani samolotu. Pieniądze po prostu kupiły mi wolność robienia tego, co chcę" – stwierdził przed laty w wywiadzie Naftali Bennett. Pytanie dotyczyło ogromnego majątku, którego były premier Izraela dorobił się na firmach technologicznych.

Dla wielu Izraelczyków, zdegustowanych wystawnym trybem życia obecnego premiera Beniamina Netanjahu i kolejnymi skandalami finansowymi w jego otoczeniu, Bennett stanowi pozytywną odmianę. Zamożny, lecz nieepatujący bogactwem, nie ciągną się za nim żadne afery. Czy to wystarczy, aby Bennett zdetronizował Netanjahu?

Izraelskie wybory parlamentarne muszą się odbyć do jesieni tego roku. Aby je przesunąć – na przykład pod pretekstem kolejnej wojny – potrzeba co najmniej 80 głosów w 120-osobowym Knesecie. Rząd Netanjahu ledwo się trzyma na zwykłej większości, a sondaże wieszczą mu porażkę, jeśli opozycja się zjednoczy.

Naród lwów

Kto w takim wypadku stanie na czele nowego rządu? Mimo że liderem opozycji parlamentarnej jest Jair Lapid na czele partii Jest Przyszłość, według sondaży jedynie 53-letni Naftali Bennett jest w stanie poprowadzić do zwycięstwa obóz „tylko nie Bibi" (od imienia obecnego premiera).

W czerwcu 2022 r. rozpadł się jego pierwszy rząd. Nie pomogła nawet kontrowersyjna zdaniem wielu Izraelczyków koalicja z arabskimi posłami. Sam Bennett osobiście zaliczył też spektakularną porażkę – opuściło go trzech deputowanych z własnej partii (dziś dwoje z nich pełni funkcje ministrów u Netanjahu). Teraz ma szansę się odegrać.

Wychowany w świeckim domu w Hajfie, w rodzinie emigrantów z San Francisco, Bennett dzieciństwo spędził w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, do Izraela wraz z rodziną wrócił w wieku 10 lat. Dopiero jako dorosły zaczął skręcać w stronę religijnej prawicy, dziś nosi kipę – w odróżnieniu od Netanjahu, który zakłada ją tylko na specjalne okazje.

Do polityki wszedł równo 20 lat temu jako szef sztabu Netanjahu, potem przez kilka lat szlify zdobywał jako przewodniczący Rady Jesza, organizacji zrzeszającej żydowskie osiedla. W 2013 r. Żydowski Dom, jego skrajnie prawicowa partia religijnego syjonizmu, zdobył 12 mandatów i wszedł do rządu.

Sam Bennett w kilku kolejnych gabinetach Netanjahu pełnił różne funkcje – ministra gospodarki, spraw religijnych, edukacji, a w końcu obrony. W każdym przypadku forsował mocno prawicowy program. Na szkołach wymusił usunięcie debat politycznych, co oceniono jako hamowanie edukacji obywatelskiej

© PAP/EPA/GIL COHEN-MAGEN/POOL

eprasa.pl ffb074335d

i demokratycznej. Jako minister obrony walczył o modernizację armii.

W ramach osłabiania władz Autonomii Palestyńskiej zamroził wypłaty należnych jej pieniędzy z podatków. W przeszłości otwarcie opowiadał się za przyłączeniem żydowskich osiedli do Izraela, bez dowodów oskarżał izraelskich Arabów o podpalenia, sprzeciwiał się też małżeństwom jednopłciowym i twierdził, że „żołnierze bardziej boją się prokuratora wojskowego niż Sinwara" (byłego lidera Hamasu – przyp. red.), dając tym samym przyzwolenie na brutalniejsze traktowanie Palestyńczyków.

Żegnając się przed czterema laty z polityką, Bennett miał już do niej nie wrócić – tak ustalił z żoną, gdy okazało się, że za jego koalicję z Arabami najbardziej zapłacił najmłodszy syn, którego w szkole wyzywano od zdrajców. Zajął się więc prowadzeniem wykładów za granicą, wszedł też do zarządu dwóch firm technologicznych – to w końcu jego specjalność, na sprzedaży swojej pierwszej firmy tworzącej oprogramowanie zarobił 145 mln dol.

W polityce nigdy nie był dla pieniędzy. Przeszedł typową drogę izraelskiego polityka – zaczął od kariery wojskowej, potem skończył studia prawnicze. Podobnie jak Netanjahu – choć młodszy od niego o całe pokolenie – służył w elitarnych siłach specjalnych Sajeret Matkal, następnie przeszedł do jeszcze bardziej wyspecjalizowanej jednostki Maglan, zajmującej się głównie działaniami głęboko na wrogim terytorium.

Do polityki wrócił jednak po ataku Hamasu z 7 października 2023 r. Chciał się zaciągnąć do wojska, ale okazało się to niemożliwe ze względu na przysługującą mu ochronę jako byłemu premierowi – trudno przecież wyobrazić sobie żołnierza z kilkoma agentami Szin Bet przy boku. Bennett uczestniczył jednak w setkach pogrzebów ofiar ataku Hamasu, odwiedzał rodziny w żałobie, z mieszkańcami najbardziej dotkniętego masakrą kibucu Nir Oz spotkał się kilkakrotnie.

Wtedy politycznym mottem Bennetta stało się „Naród lwów, żałosne przywództwo" – od pierwszych tygodni wojny chwalił bohaterstwo zwykłych Izraelczyków w odróżnieniu od niesprawnego rządu i dowództwa armii. Współgrało to z nastrojami wielu obywateli przekonanych, że 7 października najważniejsze instytucje państwa zawiodły.

Ostatnio ważnym wątkiem jego kampanii jest tzw. afera katarska, w którą uwikłani są najbliżsi współpracownicy Netanjahu, opłacani za budowanie dobrego wizerunku tego arabskiego kraju. Bennett przekonuje, że branie pieniędzy z tego samego źródła, z którego był finansowany Hamas, jest zdradą stanu. I coraz więcej Izraelczyków jest gotowych przyznać mu rację.

Równocześnie wielu Izraelczyków wciąż pamięta Bennettowi, że był ważnym filarem obozu Netanjahu – dziś lukę po nim wypełniają radykalni ministrowie Becalel Smotricz i Itamar Ben-Gwir.

Bennett 2026

Sam Bennett w ciągu dwóch lat wojny przeszedł wyraźną przemianę, przynajmniej wizerunkową. Z pogromcy Palestyńczyków („Mieliśmy tu już państwo, gdy wy jeszcze wspinaliście się po drzewach", „Zabiłem wielu Arabów i nie mam z tym problemu"), prawicowego radykała i ideologa religijnego syjonizmu przeistoczył się niemal w mesjasza liberałów.

Dziś w jego otoczeniu można znaleźć ludzi, którzy jeszcze do niedawna uważali się za lewicowców, a nawet działaczy LGBT. Na jego listach wyborczych mają pojawić się ludzie umiarkowani, wybrani na podstawie testów psychologicznych i po dokładnym prześwietleniu ich życiorysów. W kwietniu 2025 r. zarejestrował nowe ugrupowanie pod nazwą Bennett 2026.

Pod koniec roku jego kampania nabrała tempa. W mediach społecznościowych powstały rzekomo oddolne grupy pod hasłem „Naftali Bennett na premiera". Ostatnio dominuje tam temat zwiększenia liczby dni służby dla rezerwistów, co jest konsekwencją niepowoływania do wojska ortodoksów przez rząd Netanjahu, który w ten sposób może liczyć na ich głosy. Bennett uważa, że wszyscy Izraelczycy powinni odbyć obowiązkową służbę wojskową, a jeśli ortodoksi się nie podporządkują, należy odciąć im finansowanie z budżetu państwa.

Największy polityczny zwrot Bennett wykonał jednak w sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości. Jeszcze jako minister u Netanjahu – tak jak jego ówczesny przełożony – był zdania, że parlament zwykłą większością głosów powinien mieć prawo obalania orzeczeń Sądu Najwyższego. Teraz proponuje kompromis – obalanie orzeczeń większością kwalifikowaną. W istocie jednak wciąż uważa, że „głos narodu" jest ważniejszy od wyroków sądowych.

Kurs na prawo

Bennett w oczach wielu Izraelczyków ma to, czego ich kraj – wymęczony dwoma latami wojny – bardzo potrzebuje: umiejętność łączenia ludzi o skrajnych poglądach, religijnych syjonistów z centrystami czy nawet z lewicą. Przy czym wszyscy mają świadomość, że nawet jeśli uda mu się skutecznie uwieść centrowy elektorat, Bennett nigdy nie będzie politykiem środka.

Nie wierzy w możliwość pokoju z Palestyńczykami. Jest przeciwko oddawaniu im terytoriów i powstaniu państwa palestyńskiego. Sprzeciwia się likwidacji osiedli, choć nie mówi już o ich aneksji. W oczach Izraelczyków Bennett jest trochę lepszą prawicą, dającą przynajmniej nadzieję, że pod jego przywództwem Izrael nie zejdzie z demokratycznego kursu.

A to już coś. Izrael choruje dziś na polityków, dla których głównym narzędziem rozwiązywania problemów stała się wojna – a frontów jest naprawdę pod dostatkiem. Nie wiadomo przecież, czy utrzyma się kruchy rozejm w Strefie Gazy ani kto będzie nią zarządzać w przyszłości. Pretekst do kolejnej wojny może dać Hezbollah, który też nie spieszy się z rozbrojeniem, czy nowy syryjski przywódca drażniący Izrael atakami na mniejszości, w tym głównie Druzów.

Oddzielną kwestią jest już w zasadzie otwarty front między osadnikami i Palestyńczykami na Zachodnim Brzegu, choć największą niewiadomą i ryzykiem regionalnej wielkiej wojny pozostaje Iran. W tej sprawie Bennett też jest twardy – mówi o konieczności ponownego uderzenia w instalacje nuklearne i obaleniu reżimu ajatollahów.

Czy więc Bennett jest adekwatną odpowiedzią na izraelskie problemy? I czy stanie się poważną alternatywą dla Netanjahu? Cała izraelska polityka przesunęła się w ostatnich latach mocno w prawą stronę. Netanjahu sprawnie podążał za tą zmianą, tyle że w oczach wielu Izraelczyków stracił twarz – stał się skorumpowanym „królem", który na dodatek nie potrafił zapewnić krajowi bezpieczeństwa.

Bennett jest do Netanjahu bardzo podobny. Tylko jeszcze niezepsutym władzą. Czy to Izraelczykom wystarczy? ■

eprasa.pl ffb074335d



My jesteśmy przyszłością

Rozmowa z południowoafrykańskim analitykiem Jakkiem Cilliersem o wojnie Trumpa z RPA. I o tym, dlaczego Europa jest skazana na sojusz z Afryką.

MATEUSZ MAZZINI: **– Europa drży o bezpieczeństwo, Stany Zjednoczone chowają się na swojej półkuli, Chiny prowadzą ekspansję gospodarczą. Czy to wyzwanie dla Afryki?**

JAKKIE CILLIERS: – Dla Afryki i mojego kraju, RPA, to szansa. Ostatnio RPA zyskała międzynarodowo dzięki zaangażowaniu w kwestię palestyńską, przeciwko działaniom Izraela w Strefie Gazy. Jednocześnie znaleźliśmy się na celowniku administracji Donalda Trumpa, która oskarża tutejsze władze o ludobójstwo białych farmerów i mnoży teorie spiskowe o RPA jako o państwie upadłym.

Nie macie dobrej prasy w Waszyngtonie. Do tego stopnia, że Amerykanie „odprosili" was z G20, zapraszając w to miejsce Polskę.

Polsce zawsze zależało na byciu w G20 i zasługuje na to, żeby być w tej grupie dzięki argumentom gospodarczym. RPA nigdy nie była tak rozwinięta, my jesteśmy globalnie dopiero na 38. miejscu, jeśli chodzi o PKB. Nasz udział w G20 był więc od zawsze decyzją polityczną, bo zapewniał reprezentację Afryki jako kontynentu. Równie dobrze można teraz powiedzieć, że Polska weszła do tego grona, bo rośnie znaczenie Europy Wschodniej.

Naszym i w sumie afrykańskim problemem jest dysonans między sytuacją wewnętrzną i wizerunkiem międzynarodowym. Poza granicami kraju wyglądamy na mocnych, bezkompromisowych, bo zaskarżyliśmy Izrael do Międzynarodowego Trybunału Karnego. Ale wewnętrznie od dekad nie możemy się uporać ze stagnacją gospodarczą, mamy problemy z przestępczością, bezrobociem. Musimy doinwestować nasz sektor energetyczny, infrastrukturę.

Macie jednak funkcjonującą demokrację.

W której dochodzi do pokojowego transferu władzy. Wbrew temu, co mówią dzisiaj Amerykanie, u nas nie ma politycznie motywowanej przemocy. Afrykański Kongres Narodowy to przecież najstarsza partia narodowo-wyzwoleńcza w całej Afryce – ona rządziła RPA od upadku apartheidu aż do 2024 r. Po czym przegrała wybory, ale odejście od władzy nie napotkało sprzeciwu. To jednoznacznie pokazuje siłę tutejszego systemu demokratycznego. Problem w tym, że administracja Trumpa tego nie zauważa, tworząc dokładnie przeciwną narrację. Co z kolei wpycha RPA głębiej w ramiona grupy BRICS, zwłaszcza Chin.

O co chodzi w waszych relacjach z USA?

Prezydent RPA Cyril Ramaphosa najpierw został zaatakowany w Gabinecie Owalnym przez samego Trumpa, a potem przez jego południowoafrykańskich przyjaciół, na czele z Elonem Muskiem. Dlatego nie ma nas już w G20. Niemniej uważam, że Pretoria zarządziła tym kryzysem z dużą dozą godności i szacunku dla naszego kraju. Nie zmieniliśmy frontu, nie dokonaliśmy korekty kursu, bo wiemy, kim chcemy być w dłuższej perspektywie czasowej.

Kim?

Z jednej strony widzimy siebie jako ważnego członka globalnego Południa. To jednak wywołuje napięcia między polityką i biznesem. Nasz sektor prywatny chce

eprasa.pl ffb074335d

być częścią Zachodu – tam są nasi partnerzy handlowi. Choć największą wymianę mamy z Chinami, to ideologicznie kierujemy się na Zachód. Z drugiej strony jesteśmy jednym z członków założycielskich BRICS, sojuszu postrzeganego jako antyzachodni. Uważam to za uproszczenie. Członkowie BRICS zgadzają się, że system międzynarodowy wymaga reform. Ale jednocześnie RPA czy Brazylia to liberalne demokracje, które mają niewiele wspólnego z Indiami, nie mówiąc o Rosji czy Chinach.

Wycofywanie się Amerykanów ze świata stwarza jednak próżnię, w którą wchodzą Chińczycy.

Nie wydaje mi się, żeby państwa globalnego Południa, zwłaszcza te afrykańskie, pragnęły świata zdominowanego przez Chiny. Afryka potrzebuje systemu opartego na zasadach, tyle tylko że nie na tych zasadach, które obowiązują dzisiaj. Nikt na tym kontynencie nie ma ochoty być popychadłem wielkich mocarstw, czy to USA, czy Chin – bo ten film już u nas grano i wiemy, jak on się kończy.

Czym?

Amerykanie są przekonani, że będą w stanie ustawiać pionki na szachownicy według własnych potrzeb. Chińczycy myślą tak samo. Dlatego Afryka szuka czegoś na kształt trzeciej drogi. I jedynym partnerem, który może nam w tej drodze pomóc, jest Europa. Tu paradoksalnie sprzyja nam Trump, wydzierając się na Europejczyków. Partnerstwo Europy z globalnym Południem nie musi i nie będzie pewnie miało struktur formalnych. Ale opierać się może na tym, czego i my, i wy potrzebujecie.

Czyli?

Na świecie opartym na zasadach. Ameryka i Chiny grają w innej lidze i ta rywalizacja rządzi się innymi prawami. Afryka ma olbrzymi potencjał, ale nie wejdzie na ten sam poziom. A już na pewno nie sama, tylko w sojuszu z innymi – głównie dlatego, że nie ma czegoś takiego jak „wspólne afrykańskie stanowisko". Jesteśmy olbrzymim, zróżnicowanym kontynentem. Dlatego potrzebujemy silnego partnera – i tym partnerem musi być Europa.

Nie jesteście skazani na chińską dominację?

Uzależnienie Afryki od Chin będzie wyłącznie wzrastać – to fakt. Jeśli dodać do tego rozwój Indii, jasne jest, że środek ciężkości światowego systemu gospodarczego przesunie się z Atlantyku do Azji. Afryka nie ma wyjścia, musi się do tego dostosować, również handlowo. Do 2050 r. – jak wynika z naszych szacunków – wolumen handlu Chin z krajami afrykańskimi wzrośnie sześciokrotnie. To będzie naturalna kolej rzeczy: Chiny rosną za szybko, żeby świat z nimi nie handlował.

Afryka też rośnie, choćby populacyjnie.

Zgadza się. I to przełoży się z kolei na wzrost gospodarczy, bo będziemy mieli kapitał ludzki i siłę nabywczą. Ale to wcale nie oznacza, że poradzimy sobie sami. Zależność od Chin będzie rosnąć również dlatego, że to jedyny kraj, który prowadzi tu poważne inwestycje, pożycza pieniądze, stawia infrastrukturę. Wygrywa też konkurencję cenową, bo oferuje całą masę produktów i usług taniej niż nawet lokalne firmy. Dla Pekinu Afryka jest po prostu szansą rynkową. Europa też musi zacząć myśleć w tych kategoriach.

Potrzeba jeszcze zmiany europejskiej perspektywy – dla nas Afryka to głównie źródło problemów.

Ale wy też nie macie wyboru. Spójrzmy na dynamikę rynku pracy w Europie. Wszystkie kraje mają mocno starzejące się społeczeństwa, które kurczą się w szybkim tempie. Niedawno przygotowaliśmy prognozę dla rządu Holandii: wynika z niej, że w 2100 r. populacja Europy będzie o 350 mln osób mniejsza od obecnej. W tym samym okresie populacja Afryki urośnie o miliard osób w wieku produkcyjnym. Europa potrzebuje rąk do pracy, Afryka może je dostarczyć.

Boimy się imigracji.

Czas tę bańkę przekłuć – imigracja z Afryki do Europy jest relatywnie mała wobec tego, ile osób migruje wewnątrz krajów afrykańskich lub z innych części świata. Zresztą do Europy Zachodniej trafia więcej ludzi z Europy Wschodniej i krajów azjatyckich niż z Afryki, nawet Subsaharyjskiej. Ale prędzej czy później ten niedobór pracowników zacznie być krytyczny. Możliwe, że obecny model polityczny, oparty na starych tożsamościach narodowych, ochronie tzw. wartości cywilizacyjnych, ustąpi miejsca większej otwartości na imigrantów, bo wymusi to sytuacja na rynku pracy. Rozumiem, że z powodów historycznych wielu ludzi w Europie sprzeciwia się masowej imigracji. Ale przecież wieki temu nastąpiła wielka migracja w drugą stronę – ludzie z Europy masowo zasiedlali Amerykę Północną i Afrykę.

Jaki jest wasz największy atut?

Afryka pozostaje jedynym niezagospodarowanym jeszcze rynkiem przyszłości. Tu jest cała masa nieodkrytych bogactw naturalnych, nie tylko metali ziem rzadkich. Z biegiem czasu, zakładając, że na naszym kontynencie dojdzie do jakiejś integracji gospodarczej i politycznej, Afryka stanie się najbardziej atrakcyjną przestrzenią inwestycyjną na świecie. W scenariuszu, który jest negatywny dla Europy, wszystkie te szanse zagarną kraje azjatyckie, bo one już dostrzegły nasz potencjał. Mają też przewagę wynikającą z braku brzemienia kolonializmu. Ani nie mają kolonialnych uprzedzeń, ani kolonialnego bagażu – tej symbolicznej winy białego człowieka. Zmiana będzie epokowa, wydarzy się już w najbliższych dekadach, a Europa musi się postarać, żeby jakkolwiek na niej skorzystać.

Kryzysy wewnętrzne nie przeszkodzą Afryce? Wystarczy spojrzeć na Sahel – region pogrążony w wojnach domowych i terroryzmie.

Sahel to nie Afryka, Afryka to nie Sahel. Ten region jest w pewnym sensie skazany na niestabilność. Jeśli mediana wieku twojej populacji wynosi jakieś 19–20 lat, a społeczeństwa ciągle rosną, trudno myśleć o stabilności. Ale z czasem to też się zmieni. Musimy odwrócić myślenie o zależności między wzrostem populacji i wzrostem gospodarczym. Czas najwyższy upowszechnić antykoncepcję i usprawnić usługi publiczne, w tym ochronę zdrowia – w ten sposób wpłyniemy na strukturę demograficzną całego kontynentu.

Tyle tylko, że to nie są problemy wyłącznie afrykańskie, one już występowały w innych częściach świata. Afryka po prostu przechodzi przez nie później, na innych stadiach rozwoju. Musimy na naszym kontynencie pozbyć się mitu afrykańskiej wyjątkowości, wszystkim nam to wyjdzie na dobre. ■



Jakkie Cilliers – założyciel i były dyrektor wykonawczy Instytutu Badań nad Bezpieczeństwem (Institute for Security Studies, ISS), jednego z najważniejszych afrykańskich centrów analitycznych. Zajmuje się badaniami nad rozwojem gospodarczym, rozwojem państw narodowych, regionalizmem i polityką krajów Afryki. Będzie gościem konferencji IMPACT'26.

© EREN BOZKURT/ANADOLU/GETTY IMAGES, INSTITUTE FOR SECURITY STUDIES

eprasa.pl ffb074335d

W mocy emocji

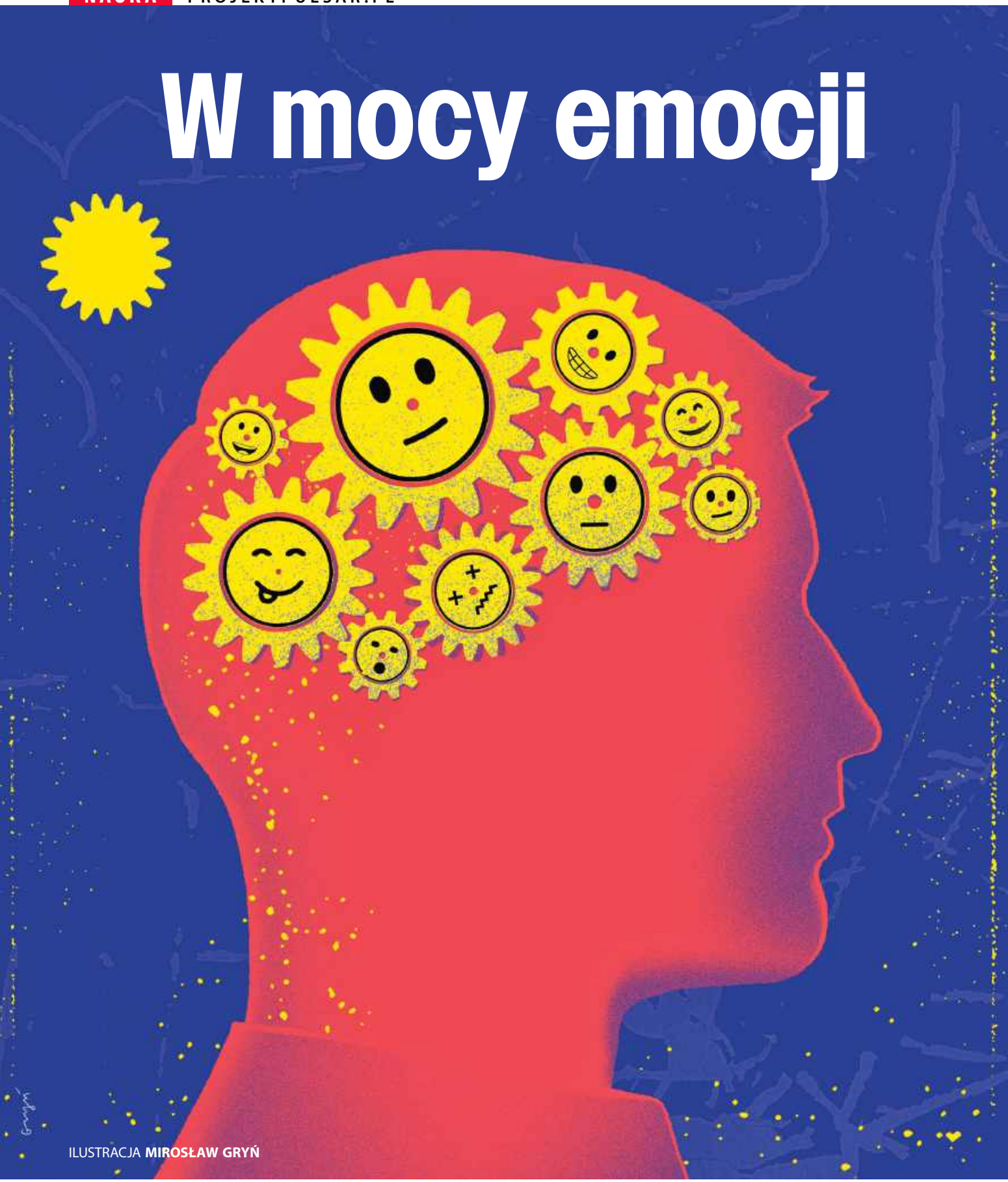

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

eprasa.pl ffb074335d

O skłonności mózgu do zamykania nas w społecznych „bańkach” i o tym, jak z tego korzystają reżimy autorytarne, opowiada psycholożka prof. Lisa Feldman Barrett.

KATARZYNA KACZOROWSKA: **– „Mózg nie służy do myślenia” – to tytuł jednej z pani książek. Do czego zatem służy?**

LISA FELDMAN BARRETT: – Wyjaśnijmy sobie coś: ludzki mózg myśli, ale nie jest to jego główna funkcja.

A jaka jest jego główna funkcja?

Koordynowanie i regulowanie wewnętrznych układów organizmu. Jeśli mózg tego nie potrafi, umieramy. Wszystko inne co robimy – postrzeganie, odczuwanie, analizowanie – spełnia tę podstawową funkcję, chociaż nie doświadczamy siebie w ten sposób. Podczas naszej rozmowy nie myślę świadomie o regulacji ciała, mimo że dzieje się to nieustannie. Świadomie myślę o tym, jak być zrozumiałą i pomocną.

Zwykło się uważać, że emocje są ukryte w różnych obszarach mózgu – i że są wyzwalane przez nasze działania. Pani twierdzi inaczej.

Ta koncepcja jest poparta wieloma dowodami naukowymi. Emocje niczego nie wyzwalają. Nasze działania nie wywołują emocji, a emocje nie wywołują myśli, uczuć ani zachowań. Emocje są przejawem myśli, uczuć i działań.

To znaczy?

Emocja powstaje w taki sam sposób jak myśl czy percepcja – jako przejaw naturalnych zdolności predykcyjnych mózgu. Mózg jest procesorem sygnałów. Odbiera te sygnały z oczu, uszu, skóry, jelit, krwi – i nadaje im znaczenie, ponieważ musi planować działania, aby utrzymać się przy życiu w jak najlepszej kondycji. Ten proces można podsumować dwoma pytaniami: „Co zrobisz dalej?” i „Czego doświadczysz?”.

Kiedy jesteśmy spragnieni, pijemy wodę. Pisze pani, że mózg oszukuje nas, sprawiając, że myślimy, iż pragnienie zostało zaspokojone po kilku łykach, bo w rzeczywistości ciało odczuje skutki dopiero po 20 minutach.

Nasz mózg nie „mówi” nam, co mamy czuć. Nasz umysł jest tym, co robi mózg, przetwarzając sygnały sensoryczne, by nadać im znaczenie. Mówiąc „czuję”, jednocześnie mówimy „mój mózg czuje”. „Nadanie znaczenia” oznacza zapamiętanie przeszłych zdarzeń podobnych do obecnych w celu zaplanowania działania w następnej chwili. Kopie tych planów działań motorycznych to domysły lub przewidywania sensorycznych konsekwencji, zanim pojawią się odpowiednie sygnały. Nie ma więc oszustwa – jest przewidywanie, po którym, jeśli to konieczne, następuje korekta. To bardzo skuteczny sposób zarządzania każdym systemem, także naszym ciałem.

Wyobraźmy sobie, że słyszymy głośny huk. Może to być dźwięk rury wydechowej samochodu. Albo trzaśnięcie drzwiami na wietrze. Ale w niektórych regionach Stanów Zjednoczonych może to być również strzał z broni palnej. To, co zrobimy dalej, aby pozostać przy życiu i zdrowiu, zależy od przyczyny tego dźwięku. Mózg jednak jej nie zna – odbiera jedynie skutek. Musi więc zgadywać. I dokonuje tych domysłów z wyprzedzeniem, zaczynając od przygotowania motorycznego. Co robimy, gdy słyszymy grzmot? Chwytamy parasol. A jeśli to broń palna? Schylamy się i odsuwamy, aby pozostać niewidocznym.

Mózg przygotowuje z wyprzedzeniem możliwe plany motoryczne i przewiduje sensoryczne konsekwencje planowanych ruchów. Napływające sygnały wybierają plan najlepiej dopasowany – i ten zostaje wdrożony. Gdybyśmy czekali, aby się dowiedzieć, co spowodowało dźwięk, moglibyśmy np. zginąć w strzelaninie. Tłumaczę to ludziom, często posługując się przykładami z bejsbolu.

W Polsce popularniejsza jest piłka nożna.

Ale mechanizm jest ten sam. Wyobraźmy sobie mecz. Miotacz w Major League rzuca piłkę z prędkością 130–160 km/h. Pałkarz ma około 400–500 ms na reakcję. To za mało czasu, żeby świadomie zobaczyć piłkę, zaplanować ruch i go wykonać. Mózg pałkarza nieświadomie przygotowuje zamach, przewiduje, gdzie piłka znajdzie się za chwilę. Na podstawie wszystkich zebranych do tej pory informacji automatycznie oblicza trajektorię jej lotu. Przygotowuje akcję, a następnie przewiduje odczucia gracza.

Kalkuluje: „Co zrobię dalej? Co widziałem ostatnim razem, gdy tak się zachowywałem? Jak będą się czuć moje stawy? Co usłyszę, gdy kij uderzy w piłkę?”. Neurony, które przygotowują akcję, automatycznie wysyłają sygnały do neuronów przewidujących zmiany sensoryczne, które nastąpią podczas wykonywania tej akcji. Sygnały te nieustannie docierają do mózgu gracza poprzez oczy, uszy i inne narządy zmysłów. Jeśli odpowiadają przewidywaniom mózgu, reakcja motoryczna zostaje zakończona – zamach odbywa się zgodnie z planem, a gracz prawdopodobnie uderza w piłkę. Jeśli jednak wystąpi rozbieżność, a więc mózg nie przewidział np. podmuchu wiatru, skurczu mięśnia lub bólu ścięgna, może on przyjąć nowe dane i skorygować swoje przewidywania. Ta korekta może jednak zająć tak dużo czasu, że zawodnik nie trafi w piłkę.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że pani teoria doskonale wyjaśnia skłonność do pozostawania w społecznych „bańkach”. Mózg może w nich funkcjonować łatwiej, zachowując poczucie bezpieczeństwa, stabilności i akceptacji społecznej.

Tak właśnie jest. Istnieją cztery główne czynniki, które są metabolicznie kosztowne ▶



Prof. **Lisa Feldman Barrett** – kanadyjsko-amerykańska badaczka zajmująca się emocjami z perspektywy psychologii i neuronauki. Przedstawicielka teorii konstruktywizmu psychologicznego, zakładającej, że emocje nie są biernymi reakcjami, lecz konstruktami mózgu. Profesorka psychologii na Northeastern University. Autorka książek „Jak powstają emocje” i „Mózg nie służy do myślenia”. Na zaproszenie Politechniki Wrocławskiej wygłosiła niedawno wykład w ramach cyklu Interdyscyplinarne Seminarium Naukowe (ISN).

© POLITECHNIKA WROCŁAWSKA

eprasa.pl ffb074335d

▶ dla mózgu. Pierwszym z nich jest ruch ciała – nawet ruch oczu podczas tej rozmowy. Drugim jest nauka czegoś nowego – równie kosztowna energetycznie. Trzecim – utrzymanie prawidłowego funkcjonowania układu odpornościowego. Czwartym – radzenie sobie z ciągłą niepewnością – taką jak brak bezpieczeństwa ekonomicznego. Każde zwierzę – w tym człowiek – żyje z ograniczonym budżetem energetycznym. Czasami więc mózg musi znaleźć sposoby na obniżenie kosztów. Jednym z nich jest minimalizacja niepewności.

Jeśli ja będę dla pani przewidywalna, a pani będzie przewidywalna dla mnie – to oszczędność metaboliczna dla nas obu. Możemy więc otoczyć się mediami i ludźmi, których zachowania łatwo przewidzieć. W ten sposób powstają wspomniane bańki. Jeśli wiem, co powiesz i zrobisz, zużywam mniej energii.

I to wszystko?

Nie sądzę, żeby obniżenie kosztów energetycznych było jedynym powodem, ale jest jednym z ważnych. To moja naukowa spekulacja oparta na znanych mi badaniach – nie mam twardych dowodów na to, że bańki powstają w wyniku prób zmniejszenia obciążenia metabolicznego. Nikt nie przeprowadził badań na ten konkretny temat. Ale sądzę, że historia to potwierdza. Każdy reżim autorytarny poprzedzany jest przez zamęt gospodarczy, osobisty lub polityczny – kosztowny dla ludzkiego układu nerwowego. Dlatego jeśli ktoś chce, żeby ludzie zrezygnowali z wolności, skutecznym sposobem jest pogrążenie ich w chaosie. Przeciążenie metaboliczne prowadzi bowiem do cierpienia. A ludzie są gotowi poświęcić wiele, aby je złagodzić. Czasami nawet własne życie.

Warto również podkreślić, że sama niepewność nie jest z natury zła. Może być jak ćwiczenia. Jak trening przed maratonem.

Czy pandemia Covid-19 była dla nas takim nieoczekiwanym wysiłkiem?

Jeszcze przed pandemią wiele krajów zmagało się z niestabilnością gospodarczą i polityczną. Na przykład zmiana klimatu to forma nieprzewidywalnej niepewności, która ma o wiele poważniejsze konsekwencje, niż większość ludzi zdaje sobie sprawę.

Jakie?

Cóż, panuje niepewność co do przyszłości planety i istot na niej żyjących. Ale zmiany klimatu powodują również subtelne zmiany poziomu dwutlenku węgla w powietrzu, co przekłada się na jego nieznacznie wyższe stężenie we krwi. A nawet niewielkie wahania CO_2 utrudniają mózgowi regulację organizmu. Wiemy to z badań: jeśli chcemy wywołać u kogoś atak paniki – np. w laboratorium – wystarczy, żeby oddychał powietrzem o nieco wyższej zawartości tego gazu (związek między rosnącym stężeniem CO_2 w atmosferze a częstością ataków paniki w populacji nie został jednak bezpośrednio dowiedziony – przyp. red.). To bardzo skuteczny sposób na wywołanie silnej reakcji. I może się to zdarzyć również poza laboratorium.

Wszystko, co zaburza regulację organizmu, zwiększa obciążenie metaboliczne mózgu. Także pandemia czy wojny. To obciążenie rośnie nawet u osób mieszkających daleko od konfliktów. Drobne, płynące z mediów impulsy metaboliczne sumują się w jeden, ale potężny.

Kiedy myśli pani o mózgu, czy widzi tę szarą masę?

Kiedy myślę o mózgu, myślę o umyśle. Umysł jest tym, co robi mózg, przejawem dialogu między mózgiem, ciałem i światem. Widzę więc niezwykle złożony system. Myślimy, że wiele rozumiemy, ale naprawdę pojmujemy tylko niewielki ułamek tego, co naprawdę się dzieje. Mówimy o mózgu jak o wielkiej szarej bryle mięsa, ale to coś więcej. To zbiór komórek, który tworzy znaczenie, które bez niego by nie istniało.

Czy mózg ma płeć?

Prawdopodobnie nie. Ale u kobiet z naturalnym cyklem menstruacyjnym, które nie przeszły menopauzy, wraz z poziomem hormonów zachodzą zmiany w połączeniach mózgowych. Dotyczy to również każdego człowieka w ciągu doby, także mężczyzn, u których poziom testosteronu zmienia się w zależności od pory dnia. Pod pewnymi względami pani mózg prawdopodobnie funkcjonuje więc bardzo podobnie do mózgu mężczyzny w pewnych fazach cyklu i mniej podobnie do mózgu mężczyzny w innych fazach. Oczywiście istnieją również ogromne różnice indywidualne, ale są podstawy, aby sądzić, że hormony krążące we krwi są powiązane z pewnymi aspektami pracy mózgu.

Z danych zebranych przez mój zespół badawczy wynika, że w fazie przedmiesiączkowej zachodzą zmiany w komunikacji neuronów. Niektóre neurony komunikują się łatwiej i szybciej. Oznacza to, że kobiety w sposób naturalny, cykliczny, mogą stać się bardziej podatne na traumę. Wolałabym, żeby tak nie było, i gdybym nie zauważyła tej implikacji w swoich własnych danych, prawdopodobnie bym w to nie uwierzyła.

Z szeroko zakrojonych badań epidemiologicznych w Skandynawii wiemy również, że kobiety przyjmujące pigułki antykoncepcyjne są o ok. 40–70 proc. bardziej narażone na rozwój depresji. Badania te nie są tajne, ale jakoś nie dotarły do świadomości publicznej. Historyczka nauki Naomi Oreskes zauważa, że poziom estrogenu i progesteronu jest powiązany z wahaniami czynnościowymi mózgu. Mężczyźni również doświadczają zmian hormonalnych – poziom testosteronu spada z biegiem życia, ale jego spadek jest wolniejszy. Nie doświadczają też cykli miesięcznych, a kobiety tak. Mamy menopauzę. I wtedy mózgowi trudniej jest regulować pracę organizmu. To samo dotyczy okresu dojrzewania.

Polski dramatopisarz i powieściopisarz Stanisław Ignacy Witkiewicz napisał, że wszystko jest winą hormonów. Ale przykład, który przywołała pani wcześniej – jak mózg interpretuje wystrzały – może świadczyć, że chodzi o coś więcej.

Oczywiście. Mózg ciągle odbiera sygnały, których nie przewidział, lub zauważa brak tych, które przewidział. Na tym właśnie polega uczenie się. A objawia się ono fizycznymi zmianami w mózgu. Przewidywania, które mózg automatycznie formułuje, są ściśle powiązane z wcześniejszymi doświadczeniami, które go ukształtowały. Niektóre z nich pojawiają się za sprawą tego, co robią i mówią inni ludzie, szczególnie gdy jesteśmy dziećmi. Nazywamy to dziedziczeniem kulturowym. Wszystko to kształtuje mózg człowieka w określony sposób.

Co panią najbardziej zaskakuje w ludziach?

O mój Boże, czy mamy jeszcze godzinę? Czasami jestem zdumiona, jak hojni i życzliwi bywają ludzie w najtrudniejszych okolicznościach. A innym razem jestem zdumiona okrucieństwem, jakie widzę. Więc chyba najbardziej zaskakuje mnie – niezmiennie – to, że inna osoba może być dla człowieka kimś jednocześnie najlepszym i najgorszym.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl ffb074335d



Grota gra, wspólnota tańczy

Jaskinia Tito Bustillo w północnej Hiszpanii: jeśli uderzyć w stalaktyt patykiem, odpowie czystym, długim dźwiękiem

Jakiej muzyki słuchali ludzie paleolitu? Trudno to ustalić bez kopalnego zapisu, ale możemy być pewni, że dźwięk był jednym z kluczowych elementów ich doświadczenia.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

W jaskini Tito Bustillo w północnej Hiszpanii ściany pokryte są malowidłami, a stalagmity i stalaktyty tu i ówdzie muśnięto ochrą. Kiedy w nie uderzyć patykiem, odpowiadają czystym, długim dźwiękiem. W ciszy podziemnej komnaty łatwo uznać je za instrument i wyobrazić sobie, jak ludzie sprzed tysięcy lat grają na nich niczym na gongach. To było możliwe, ale czy tak robiono?

Dźwięki i muzyka nie ulegają fosylizacji, więc nie wiemy, jakie melodie wykonywano na kościanych fletach czy łukach grających, ani jak i jakie śpiewano pieśni. Pewne jest, że dźwięk był dla naszych przodków czymś znacznie ważniejszym niż dla nas, żyjących w hałasie. Świat przed tysiącami lat wypełniały tylko naturalne odgłosy, których znajomość decydowała o przeżyciu. Jednocześnie ludzie starali się je imitować, co zawsze miało jakiś cel i sens – czasami praktyczny, czasami głęboko duchowy.

Przez dziesięciolecia badacze próbujący odtwarzać dźwięki z paleolitu uchodzili za naukowych wariatów. Śmiano się, że muzykolog Iégor Reznikoff z Université Paris-Nanterre spędził lata na śpiewaniu we francuskich, pełnych sztuki naskalnej jaskiniach, licząc sekundy między echami, by stwierdzić, że istnieje związek między malowidłami a zjawiskami akustycznymi. Potem Steve Waller z American Rock Art Research Association zarejestrował – przy ścianach z malowidłami kultury magdaleńskiej – natężenia dźwięków sięgające 31 decybeli, podczas gdy inne okazały się akustycznie martwe. Jednak mało kogo przekonała jego interpretacja, według której echo miało imitować tętent zobrazowanych zwierząt.

Dlatego gdy Margarita Díaz-Andreu z uniwersytetu w Barcelonie zauważyła, że stojąc w Sierra de San Serván przy dekorowanych ścianach, słyszy dochodzący z dużej odległości szept innej osoby, postanowiła dowieść, że sztuka była nie tylko widzialna, ale i słyszalna. W 2018 r. została koordynatorką międzynarodowego projektu Artsoundscapes. W jaskiniach i przy galeriach sztuki naskalnej na czterech kontynentach badacze rejestrowali i mierzyli (z wykorzystaniem mikrofonów ambisonicznych i algorytmów) rozchodzenie się i natężenie dźwięków po to, by ustalić, czy mogły stanowić jakiś element ludzkiego doświadczenia.

Sygnał obecności

Trwające siedem lat badania wykazały, że prehistoryczne społeczności wykorzystywały dźwięk na różne sposoby. W większości hiszpańskich jaskiń i schronisk skalnych malowidła znajdowały się w miejscach, w których akustyka wzmacniała przekaz. Jednocześnie w Tito Bustillo niektóre ze skalnych nisz z dekoracjami miały doskonałą akustykę, inne wprost przeciwnie. Podobnie w White River Narrows w Nevadzie, gdzie w przypadku jednych paneli z petroglifami ▶

© EAST NEWS

eprasa.pl ffb074335d

▶ grana muzyka niosła się w kanionie i była słyszana przy sąsiednich naskalnych galeriach, ale w przypadku innych nie było żadnego pogłosu, tylko wyjątkowo korzystna transmisja dźwięku, dzięki czemu miejsca te mogły się lepiej nadawać do opowiadania historii.

Zbyt długo skupialiśmy się na obrazach, podczas gdy sztuka naskalna jest sztuką w krajobrazach, w których znaczenie mają aspekty zarówno wizualne, jak i dźwiękowe, podkreśla prof. Andrzej Rozwadowski z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, który był jednym z uczestników projektu Artsoundscapes. Razem z zespołem Díaz-Andreu analizował sferę dźwiękową na stanowiskach ze sztuką naskalną w dolinie rzeki Czuji w południowym Ałtaju. – *W niektórych akustyka była doskonała, w innych wprost przeciwnie, jakby szukano tam pomagającej w skupieniu ciszy. Brak jednoznacznej korelacji między lepszą akustyką a sztuką naskalną pokazuje, że kultura rządzi się własnymi prawami i kodami* – tłumaczy.

Badacze przestali więc dowodzić, że „gdzie echo, tam rytuał", i zaczęli pytać, jak dźwięk współtworzył sens miejsca – obok topografii, widoków, dostępu do wody czy szlaków migracyjnych.

Badania nad ludami Syberii, Afryki czy obu Ameryk pokazują, że dźwięk bywał traktowany jako nośnik mocy, obecności bytów nieludzkich, duchów, przodków. W Finlandii łowcy-zbieracze malowali na klifach, które odbijały dźwięk. Podczas eksperymentów psychoakustycznych, w których mierzono reakcję współczesnych słuchaczy na tę iluzję słuchową, ludzie mieli wrażenie, że dźwięki wydobywają się z malowideł. W dekorowanych jaskiniach rozchodzące się odgłosy zwierząt czy trzask ogniska wywoływały poczucie bliskości i obecności. Jeremy Hollmann z University of the Witwatersrand w Johannesburgu ustalił, że miejsca, w których Buszmeni tworzyli wizerunki na skałach, są powiązane z energią, duchami, mocą i n/um, która może objawiać się np. jako szum wiatru. To samo zjawisko, jak przypomina prof. Rozwadowski, u rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej zwie się manitu lub pucha, a u ludów turkijsko-mongolskich – tengri. – *W wielu kulturach wierzono, że bogowie przemawiają do ludzi dźwiękami natury, a duchy lubią słuchać muzyki. Śpiew gardłowy, dźwięk wiatru, szum wody były postrzegane jako przejaw ich działania. Na popękanym ostańcu skalnym koło Peterborough w Kanadzie umieszczono setki petroglifów, w tym wizerunki, które wyłaniają się lub wnikają w szczeliny skały, zapewne dlatego, że dochodzi z nich szum wody uważany za manifestację manitu* .

Stany świadomości

Dźwięk nie należał wyłącznie do ludzi; był czymś, co krążyło między bytami. Śpiew gardłowy, rozbrzmiewając w hypogeum Hal Saflieni na Malcie, wprawiał cały neolityczny kompleks podziemny w drgania. Neurobiolodzy z Uniwersytetu Kalifornijskiego wykorzystali EEG do pomiaru jego wpływu na aktywność ludzkiego mózgu i odkryli, że mógł oddziaływać na psychikę i zmieniać świadomość. Zapewne w przeszłości wykorzystywano ten efekt, wzmacniany jeszcze przez rytm i ruch.

Niektórzy początków muzykalności szukają w dwunożności, która spowodowała zmianę ułożenia czaszki i aparatu głosowego; inni właśnie w zdolności do synchronizacji dźwiękowo-ruchowej, której poza nami nie mają inne naczelne. Według muzykologa prof. Piotra Podlipniaka umiejętność ta pojawiła się jeszcze przed rozdzieleniem się linii genetycznej naszej i neandertalskiej. – *Brytyjski archeolog Steven Mithen twierdził, że neandertalczycy byli nawet bardziej muzykalni niż my, bo nie mieli takich zdolności do artykułowania mowy, która u nas zdominowała komunikację. Trudno to udowodnić, ale też uważam, że źródłem zdolności umożliwiających tworzenie muzyki była nie sztuka, tylko potrzeba komunikacji, np. dziecka z matką* – wyjaśnia prof. Podlipniak.

Część muzykologów postuluje, by nie rozdzielać muzyki i tańca, chociażby dlatego, że w wielu językach nie ma nawet dla nich osobnych pojęć. Neurobiolodzy dowiedli, że muzyka uruchamia pozornie nieruchome ciało, aktywując obszary kory motorycznej i poczucie pulsu muzycznego, który mimowolnie każe wystukiwać rytm stopą czy poruszać się razem z innymi. Prof. Rozwadowski przytacza przykład Buszmenów, którzy tańce uzdrawiające łączyli z wielogodzinnym śpiewem aktywującym magiczną moc. Z kolei na Syberii w odmienne stany świadomości wprowadzał szamański taniec przy uderzeniach bębna. – *Muzyka i taniec mogą służyć uzdrawianiu, kontaktom z bogami, rozrywce, jednak najważniejszą ich konsekwencją jest tworzenie wspólnoty doświadczenia* – podkreśla archeolog.



White River Narrows w Nevadzie: echo niosło się w kanionie z petroglifami

To każe inaczej spojrzeć na paleolityczne instrumenty i pejzaże dźwiękowe. Jeśli muzyka była nierozerwalnie związana z ruchem i rytuałem, nie musiała mieć postaci melodii ani „utworów". Bo przecież doświadczenia muzyczne, o czym przypomina prof. Podlipniak, nie wymagają używania pojęć ani wyobrażeń językowych. Poza tym muzyka wykazuje większą powtarzalność wzorców generowanych dźwięków oraz charakteryzuje się interwałami i pulsem muzycznym, czego brakuje mowie. Dźwięk, ruch i trans tworzyły więc system, który spajał grupę, regulował emocje, porządkował relacje z tym, co uznawano za niewidzialne. Co jednak nie oznacza, że właściwości akustyczne siedlisk ludzkich zawsze musiały być związane z praktykowaniem muzyki i rytuałami.

Symbol trudności

Na razie instrumenty to jedyne pewne pozostałości po pradziejowym muzykowaniu. Wśród nich są wielkie muszle, wirujące kostki (czuryngi), cięciwy łuków, bębny czy idiofony. – *Niektórzy twierdzą, że do grania służyły nie tylko stalagmity, ale i krzemienne wióry oryniackie, czego dowodem – jak przekonują – są powstałe podczas eksperymentowania z ich replikami charakterystyczne ślady* – opowiada dr hab. Iwona Sobkowiak-Tabaka, badaczka epoki kamienia. A cytowany przez nią archeolog Fernando Coimbra przypuszcza, że ówcześni ludzie mogli śpiewać, grać lub wybijać rytm na wszystkim, również po to, by wskazywać drogę w ciemnościach. Według jego koncepcji w pradziejach wcale nie musiano używać w jaskiniach lampek, tylko wędrowano w nich „na ucho" – klaszcząc i sprawdzając, czy dźwięk wraca otwartą przestrzenią, czy też ginie w ślepych korytarzach, zapadliskach czy zwężeniach.

© WITOLD SKRYPCZAK/ALAMY/BE&W, CERKNO TOURIST BOARD, BE&W

eprasa.pl ffb074335d





Kość z jaskini Divje Babe I w Słowenii, okrzyknięta najstarszym fletem świata



Hypogeum Hal Saflieni na Malcie: gardłowy śpiew wprawia całe podziemie w drgania

Instrumenty były wielofunkcyjne – gwizdki z paliczków renifera służyły jako zabawki dla dzieci albo do płoszenia kaczek. Rogi, czuryngi i muszle, które naśladują ryki łań, wabiły jelenie, ale mogły też być wykorzystywane w rytuałach odnoszących się do polowań. A znajdowane również na terenie ziem polskich w grobach sprzed 6–7 tys. lat bębny mogły odstraszać duchy, ułatwiać wchodzenie w stany transowe, nadawać rytm tańcom. Z pewnością tak samo było z najbardziej zaawansowanymi pod względem muzycznym fletami. Za najstarszy uchodzi znaleziony w 1995 r. w jaskini Divje Babe I w Słowenii fragment kości udowej młodego niedźwiedzia z czterema regularnymi otworami sprzed 55–60 tys. lat. Szybko okrzyknięto go najstarszym fletem świata i dowodem muzykalności neandertalczyków, jednak niektórzy badacze – o czym przypomina dr hab. Iwona Sobkowiak-Tabaka – są pewni, że otwory powstały w wyniku działania dzikich zwierząt. Obiekt ten stanowi symbol trudności w badaniu pradziejowej muzyki. Nawet jeśli rzeczywiście można z niego wydobyć dźwięk, nie wiemy, czy był instrumentem, a jeśli tak, to kto i jak go używał.

Mniej wątpliwości budzą młodsze o co najmniej 10 tys. lat flety związane już z człowiekiem współczesnym, znalezione w jaskiniach Hohle Fels i Geissenklösterle w Jurze Szwabskiej. Wykonane z pustych kości ptasich (łabędzi, sępów i orłów) oraz kości niedźwiedzi, mają po kilka starannie rozmieszczonych otworów. Możemy coś powiedzieć o możliwych wysokościach dźwięków wydobywanych z tych piszczałek, ale struktura granej na nich muzyki pozostaje tajemnicą. Można szukać analogii we współczesnej muzyce łowców-zbieraczy czy muzyce ludowej – i wielu rekonstruktorów to robi, grając na ich replikach w jaskiniach, ale ich melodie są tylko interpretacją. – *Z pewnością też w pradziejach ludzie nie zbierali się tylko po to, by słuchać koncertów* – uważa prof. Podlipniak. I przekonuje, że w muzykowaniu, śpiewaniu i tańczeniu o wiele ważniejszy był aspekt wspólnotowy niż popis. Jego zdaniem wirtuozi pojawili się dopiero wtedy, gdy nasza muzykalność była już ugruntowana.

Algorytm samotności

Każdy zajmujący się muzyką przeszłości badacz w głębi ducha marzy o urządzeniu, które wydobywałoby paleolityczne dźwięki z załomów skalnych, dzięki czemu można byłoby zweryfikować wszystkie nasze dotychczasowe domysły i ustalenia. Raczej nigdy jednak nie poznamy muzyki epoki kamienia. Nie dowiemy się, jaki charakter, tempo czy strukturę miały utwory grane na kościanych fletach i czy w ogóle były one powtarzalne. Jednak archeoakustyka, która łączy archeologię, muzykologię, fizykę, etnografię, biologię ewolucyjną i antropologię kulturową, bada nie muzykę samą w sobie, lecz relacje między dźwiękiem, przestrzenią i ludzkim doświadczeniem.

Nie próbuje „odtwarzać" pradziejowej muzyki, lecz pokazuje, że dźwięk był elementem świata równie realnym jak skała, ogień czy zwierzęta. Utwierdza w przekonaniu, że porządkował przestrzeń, synchronizował ruch, budował wspólnotę i relacje z tym, co uznawano za nieludzkie. Był obecny w rytuałach, tańcu, polowaniu, opowieści. Muzyka nie istniała jako odrębna dziedzina życia, lecz przenikała je w całości. Była obecna, zanim pojawił się człowiek współczesny.

Być może dlatego współczesna łatwość wytwarzania muzyki przez algorytmy budzi tak silny niepokój. Nie dlatego, że dźwięk przestaje być „ludzki", lecz dlatego, że zostaje oderwany od ciała, miejsca i relacji. Bez doświadczenia wspólnoty, ruchu i obecności.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

eprasa.pl ffb074335d

Naukowcy od lat badają korelacje między genetyką a skłonnościami do autodestrukcji. Czy testy DNA wskażą nam kiedyś przyszłych samobójców?

Śmiertelna predyspozycja



KAMIL NADOLSKI

Ponad 700 tys. samobójstw odnotowuje się – według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) – co roku na świecie. W Polsce to niespełna 5 tys. W 2024 r. było to dokładnie 4845 zgonów, co jest poprawą w stosunku do lat poprzednich. Wciąż jednak mniej osób ginie w wypadkach drogowych. Pytanie o źródła myśli i zachowań samobójczych jest jednym z najtrudniejszych we współczesnej psychiatrii i w naukach biomedycznych. Do tej pory naukowcy łączyli ryzyko odebrania sobie życia z czynnikami psychologicznymi i środowiskowymi, takimi jak depresja, traumy czy stres, jednak coraz więcej badań wskazuje na inny silny związek.

Wielu z nas zna historie rodzin, w których samobójstwa powtarzały się w kolejnych pokoleniach, choćby tę dotyczącą pisarza Ernesta Hemingwaya. Jego ojciec, siostra, brat, a także wnuczka, aktorka i modelka Margaux Hemingway, odebrali sobie życie. Choć takie przypadki wydawały się jedynie tragicznymi zbiegami okoliczności, zaawansowane analizy genomiczne stawiają hipotezę, że ryzyko jest po części dziedziczone.

W ostatnich latach badania nad biologicznymi podstawami samobójstwa wkroczyły w nową fazę dzięki analizom całogenomowym (GWAS). W genomie dużej grupy osób szuka się powiązań między specyficznymi wariantami genetycznymi. Można w ten sposób porównywać DNA tysięcy osób, które podjęły próbę samobójczą, z DNA osób bez takich doświadczeń.

Największe tego typu badanie w historii przeprowadził w 2023 r. międzynarodowy zespół naukowców, któremu przewodziła Anna Docherty z University of Utah. Przeanalizował DNA 43 871 osób po próbie samobójczej i 915 025 osób w grupie kontrolnej. Odkrył, że w genomie istnieje co najmniej 12 fragmentów, które mogą się wiązać ze zwiększonym ryzykiem takich zachowań, m.in. w obrębie genu DRD2 oraz SOX5, odpowiadających m.in. za motywację i odczuwanie nagrody oraz rozwój mózgu. Okazało się, że te same warianty mogą wpływać również na impulsywność i regulację emocji, co częściowo wyjaśnia związek z zachowaniami samobójczymi.

W 2021 r. badacze z International Suicide Genetics Consortium porównali DNA ponad 550 tys. osób, w tym ok. 30 tys. tych, które wcześniej podjęły próbę odebrania sobie życia. Odkryli, że pewien fragment materiału genetycznego w chromosomie 7 może mieć związek ze skłonnością do takich zachowań. Co więcej, zauważyli, że genetyczne ryzyko samobójstwa często towarzyszy innym problemom: bezsenności, przewlekłemu bólowi czy skłonności do ryzykownych decyzji.

W 2022 r. zespół Fahada Mamdaniego z University of Toronto opublikował wyniki badań porównujących profile ekspresji genów u osób z depresją, które popełniły samobójstwo, z pacjentami cierpiącymi na depresję, ale bez takich tendencji. Wykazano różnice w aktywności 14 genów, m.in. PER3 (związany z regulacją rytmu dobowego) oraz SOX9 (kontrola rozwoju neuronów). Wyniki sugerują, że niektóre zmiany biologiczne widoczne są we krwi i mogłyby posłużyć jako biomarkery ryzyka.

Sekwencjonuje się też genom osób, które już odebrały sobie życie. Zespół Seonggyuna Hana z University of Utah School of Medicine przyjrzał się genomowi 300 samobójców i odkrył fragment DNA związany z podwyższonym ryzykiem targnięcia się na własne życie oraz dziesięć genów, które u tych osób działały wyraźnie inaczej niż u pozostałych. Co ciekawe, część z tych genów odpowiada nie tylko za funkcjonowanie mózgu. „Biologiczne

eprasa.pl ffb074335d

uwarunkowania samobójstwa są bardziej złożone, niż wcześniej sądzono, i mogą obejmować nie tylko psychikę i neurony, ale też mechanizmy obronne organizmu. Oznacza to konieczność spojrzenia na problem w szerszej perspektywie, łączącej zdrowie psychiczne z ogólną kondycją biologiczną człowieka" – pisze Han w „Molecular Psychiatry".

Ostatnio zaczęto też badać ideację samobójczą, czyli samo pojawianie się myśli samobójczych, niezależnie od prób. W 2023 r. zespół Allison E. Ashley-Koch z Duke University Medical Center opublikował dużą analizę, w której wykorzystano dane genetyczne ponad 600 tys. amerykańskich weteranów. Odkryto cztery fragmenty genomu, które statystycznie częściej występowały u osób z ideacją, niekoniecznie pokrywając się z markerami związanymi z faktycznymi próbami samobójczymi. Co więcej, warianty genetyczne danego regionu wykazywały silną genetyczną korelację z zespołem stresu pourazowego oraz z zaburzeniami lękowymi, co sugeruje, że część ryzyka myśli samobójczych może mieć związek z innymi zaburzeniami psychicznymi.

Wszystkie te odkrycia łączy wniosek: nie istnieje „gen samobójstwa". Raczej mamy do czynienia z siecią wariantów i mechanizmów biologicznych, które wchodzą w interakcję z czynnikami psychicznymi i środowiskowymi. Badacze zaczynają odsłaniać warstwy tego skomplikowanego obrazu, ułatwiając identyfikację grup pacjentów wymagających szczególnej opieki.

Rezultaty badań budzą nadzieje na stworzenie nowych narzędzi diagnostycznych pomocnych lekarzom w identyfikacji osób szczególnie zagrożonych. Biomarkery DNA lub ekspresji genów mogłyby stać się częścią paneli przesiewowych. Jakie jeszcze mogą mieć zastosowanie?

– *Najbardziej obiecująca dziedzina to farmakogenetyka, czyli dobór leków do indywidualnego profilu pacjenta. Wiemy na przykład, że osoby z krótkim wariantem genu transportera serotoniny gorzej reagują na leki z grupy SSRI. To już dziś ma praktyczne znaczenie w psychiatrii. Kolejny obszar to monitorowanie osób w stanie wysokiego ryzyka, np. młodzieży z objawami quasipsychotycznymi. Wreszcie badania genetyczne pozwalają zrozumieć podatność na uzależnienia i mogą w przyszłości pomóc lepiej identyfikować pacjentów narażonych na cięższy przebieg choroby* – tłumaczy prof. Jerzy Samochowiec, kierownik Kliniki Psychiatrii Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie i wiceprezes Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

Obiecującym kierunkiem jest również integracja danych biologicznych z istniejącymi skalami ryzyka. Pacjent z depresją, u którego wykryto określone warianty genetyczne i niepokojące profile ekspresji genów, otrzymałby bardziej intensywną opiekę. Można do tego wykorzystać sztuczną inteligencję. Modele uczenia maszynowego pozwalają łączyć dane kliniczne, psychologiczne, środowiskowe i biologiczne w spersonalizowane profile ryzyka. W 2022 r. zespół Matthew Nocka z Harvard University opublikował pracę pokazującą, że algorytmy analizujące dokumentację medyczną są w stanie przewidywać próby samobójcze z dokładnością wyższą niż tradycyjne narzędzia kliniczne. Dodanie markerów genetycznych mogłoby jeszcze zwiększyć ich trafność.

Nowe odkrycia wywołują pytania dotyczące etyki oraz polityki zdrowotnej: czy w przyszłości lekarze będą w stanie przewidywać, kto znajduje się w grupie największego zagrożenia? A jeśli tak, co powinni zrobić z taką wiedzą?

Choć wyniki badań genomowych i ekspresyjnych otwierają fascynujące perspektywy, problemem pozostaje siła predykcyjna wykrywanych markerów. Nawet najlepiej zaprojektowane testy umożliwiają obecnie jedynie wskazanie pewnej statystycznej skłonności, a nie jednoznacznej prognozy.

– *Pojedyncze markery genetyczne mają bardzo mały wpływ na ryzyko zachorowania, a pierwsze głośne odkrycia sprzed lat nie znalazły potwierdzenia w większych badaniach replikacyjnych. Dopiero dziś, gdy badania obejmują setki tysięcy osób, zaczynamy widzieć pewne regularności, ale nadal musimy pamiętać, że schizofrenia czy depresja są zaburzeniami wieloczynnikowymi. Sam marker to zdecydowanie za mało. Ryzyko ujawnia się dopiero w połączeniu z czynnikami środowiskowymi i obserwowanymi zmianami zachowania. Brak różnorodności populacyjnej i zbyt małe próby mogą więc łatwo zafałszować wyniki* – mówi prof. Samochowiec.

Większość dotychczasowych analiz prowadzono na populacjach europejskiego i północnoamerykańskiego pochodzenia, co ogranicza możliwość globalnego stosowania testów ryzyka. – *Jeśli chcemy, by wyniki były naprawdę użyteczne, musimy uwzględnić ogromne zróżnicowanie etniczne i kulturowe* – kwituje Raymond Walters z Broad Institute of MIT and Harvard, współautor badań nad genetyką prób samobójczych.

Istotne są też ograniczenia etyczne. Informacja o genetycznym ryzyku niesie przecież ryzyko stygmatyzacji, zwłaszcza gdyby dane udostępniano ubezpieczycielom czy pracodawcom. Wynik testu wskazujący na wysokie ryzyko samobójstwa może mieć poważne konsekwencje psychologiczne i społeczne. – *Musimy uważać, żeby nie doprowadzić do sytuacji, kiedy informacja genetyczna stanie się piętnem, a pacjenci będą postrzegani jako osoby stwarzające zagrożenie dla samych siebie* – ostrzega Danielle Posthuma, genetyczka z Vrije Universiteit Amsterdam.

Rodzi się też pytanie o skutki psychiczne samej diagnozy. Czy informacja o „genetycznym ryzyku" zwiększy motywację pacjenta do poszukiwania pomocy, czy przeciwnie – spotęguje poczucie nieuchronności i bezradności? Doświadczenia z badań nad genetyką choroby Alzheimera pokazują, że takie informacje mogą wywoływać lęk, depresję lub rezygnację z życia.

Eksperci są zgodni: ewentualne zastosowania kliniczne markerów genetycznych powinny zostać poprzedzone debatą etyczną, a także opracowaniem ram prawnych i procedur wsparcia psychologicznego. Geny mogą wskazać kierunek, ale ostatecznie to lekarze, pacjenci i decydenci muszą wiedzieć, jak z tej wiedzy korzystać. Mają jeszcze czas na refleksję, bo rozwój genetyki w psychiatrii to proces stopniowy.

– *Nie spodziewałbym się w najbliższych latach prostego testu DNA, który pozwoliłby przewidywać zachowania samobójcze. Bardziej prawdopodobne jest, że genetyka stanie się jednym z elementów większych modeli predykcyjnych, łączących dane kliniczne, psychologiczne, środowiskowe czy biologiczne (np. biomarkery krwi). W psychiatrii pracujemy już nad tego typu rozwiązaniami. W naszej klinice mamy patent dotyczący wykrywania pierwszych epizodów psychozy właśnie dzięki takim biomarkerom, ale zawsze w połączeniu z pogłębioną oceną psychologiczną* – podsumowuje prof. Jerzy Samochowiec. ■

eprasa.pl ffb074335d

Cesarska krew

Pierwszą koronowaną królową Polski została tysiąc lat temu Niemka Rycheza. Dała Piastom koligacje i prestiż, ale została niedoceniona, a nawet znienawidzona.

ANNA BRZEZIŃSKA

Rycheza Lotaryńska, żona Mieszka II, jest jedną z najbardziej wyrazistych małżonek Piastów i pierwszą, którą bez wątpienia koronowano. Jej małżeństwo z synem Bolesława Chrobrego stanowiło dowód rosnącego znaczenia młodej dynastii, wniosła bowiem w posagu koligacje, jakich przed nią nie miała żadna piastowska narzeczona. Ojciec Rychezy, palatyn lotaryński Ezzo Erenfried, wprawdzie nie pochodził ze starożytnego ani bardzo znamienitego rodu, lecz zdołał poślubić Matyldę, córkę cesarza Ottona II. Było to znaczące wydarzenie, gdyż w rodzinie Ludolfingów córki z rzadka wychodziły za mąż. By cesarska krew nie wzmacniała arystokratycznych rodów, zazwyczaj przeznaczano je do klasztorów, gdzie stały na straży rodowej pamięci i modlitwami zabiegały o doczesne i wieczne powodzenie swych ojców i braci.

Nierówne małżeństwo Matyldy i Ezzona musiało zaskoczyć im współczesnych. Jak zapisał kronikarz Thietmar z Merseburga, wielu miało je cesarskiej córce za złe. Później kronikarz z opactwa Brauweiler, rodowej fundacji Ezzonidów, ubrał je w opowieść o boskiej interwencji. Brat Matyldy, cesarz Otton III, jakoby obiecał Ezzonowi, że jeśli ten trzykrotnie pokona go w grze (jedni historycy mówią o szachach, inni o grze w kości), spełni każde jego życzenie.



Portret Rychezy w kaplicy św. Jana w katedrze w Kolonii, gdzie ją pochowano

eprasa.pl ffb074335d

Ezzon ze wsparciem Opatrzności wygrał, a następnie poprosił o rękę Matyldy.

Możliwe jednak, że Matyldę oddano Ezzonowi z powodów bardziej pragmatycznych – by zjednać sobie znaczącego palatyna, który sprawował władzę nad Akwizgranem. A było to dla ideologii cesarstwa miejsce kluczowe, gdyż właśnie tam cesarze zasiadali na tronie Karola Wielkiego, symbolicznie zaświadczając o ciągłości imperialnej władzy. W cieniu wielowiekowej, sięgającej czasów Franków tradycji, na ziemiach od dawna schrystianizowanych i od pokoleń ujmowanych w sieć klasztorów, Rycheza przyszła na świat w latach 90. X w., prawdopodobnie jako najstarsza z siedmiu córek. Wszystkie jej siostry oddano na służbę Bogu (dwie były opatkami), podobnie jak jednego z trzech braci, który ostatecznie został arcybiskupem Kolonii.

Niewykluczone, że matrymonialne perspektywy sióstr Rychezy ograniczył spór, jaki ich ojciec Ezzo toczył z nowym cesarzem Henrykiem II aż do 1011 r. Wydaje się też, że to cesarz zaaranżował związek Rychezy z synem Bolesława Chrobrego. Jeśli tak było, małżeństwo zawarte najprawdopodobniej pomiędzy 1013 a 1015 r. miało przypieczętować istotny dla cesarza pokój na wschodniej granicy. Niektórzy historycy spekulują jednak, że małżeństwo Rychezy było wymierzone przeciwko cesarzowi, a jego oponenci szukali sojuszników poza granicami kraju, na dworze Bolesława Chrobrego.

Dla Mieszka II był to związek niezwykle prestiżowy i wzmacniał jego pozycję jako jedynego dziedzica ojca, wbrew wcześniejszej piastowskiej tradycji. W każdym wypadku związek ten, zgodnie z obyczajem epoki, został zawarty z powodów politycznych.

Historyk Przemysław Wiszewski nieco cynicznie zauważył, że w najwcześniejszej polskiej kronice autorstwa tzw. Galla Anonima jako największe osiągnięcie Mieszka II przedstawiono małżeństwo z siostrzenicą cesarza Ottona III i spłodzenie z nią syna Kazimierza. Pierworodny i jedyny syn Rychezy przyszedł na świat w 1016 r. Jak informuje kronika Galla Anonima, nadano mu imiona Kazimierz Karol. Wybór drugiego imienia podkreślał cesarskie pochodzenie dziedzica polskiego tronu, poprzez matkę spokrewnionego z Ludolfingami. Z tą samą intencją córkę Rychezy nazwano imieniem Gertrudy, wielkiej cesarskiej świętej czczonej w opactwie w Nivelles, gdzie opatką była siostra Rychezy. Nie znamy natomiast imienia kolejnej córki, późniejszej żony węgierskiego króla Gezy, możliwe jednak, że również nosiła znaczące imię.

Zapewne rodzinne tradycje Rychezy oraz rosnące aspiracje młodej piastowskiej dynastii zaważyły na starannym wykształceniu jej dzieci. Kazimierz uchodził za człowieka uczonego, *homo litteratus*, wedle rocznika świętokrzyskiego w 1026 r. został oddany na naukę. Z kolei o wykształceniu Gertrudy zaświadcza należący do niej tzw. Psałterz Egberta. Użytkowanie takiego modlitewnika wymagało wiedzy i kultury modlitewnej, które ówczesne niemieckie arystokratki nabywały w klasztorach. Wielu historyków uważa, że przywiozła go do Polski Rycheza, potem zaś podarowała córce, gdy ta wyruszała na wschód, by wyjść za mąż za kijowskiego księcia Izjasława. Z czasem psałterz został – przez córkę Rychezy lub z jej inspiracji – uzupełniony o modlitwy, w których powtarzają się słowa: „Ja, Gertruda".

Te hipotetyczne przecież losy kodeksu Gertrudy są świetnym przykładem roli, jaką często przypisuje się królowej Rychezie w przeszczepianiu na polski dwór i w kraju, gdzie chrześcijaństwo nie zdążyło się jeszcze dobrze zakorzenić, nowych wzorców kulturowych. Z jej otoczeniem usiłowano powiązać np. zaginiony najstarszy polski rocznik (lub roczniki). Łączono z nią również politykę fundacyjną Mieszka II czy przeniesienie do Polski kultu św. Mikołaja. Brakuje jednak na to jednoznacznych dowodów.

Rycheza niewątpliwie przybyła na dwór Bolesława Chrobrego w oprawie odzwierciedlającej jej status i pochodzenie, wyposażona w pewne nawyki, z orszakiem, z duchownymi, księgami, wyposażeniem liturgicznym, strojami i klejnotami – ale nie jesteśmy w stanie tego wszystkiego uchwycić w źródłach, choć intuicyjnie przypisujemy jej rolę pośredniczki pomiędzy Polską a Nadrenią. Małgorzata Delimata-Proch, autorka najnowszego studium historiograficznego o królowej Rychezie, skonstatowała wręcz, że wobec skąpości i niejednoznaczności źródeł należy zaprzestać łączenia wczesnych zabytków architektury czy piśmiennictwa z konkretnymi władcami.

Nie wiemy również, jak układało się życie Rychezy na piastowskim dworze. Istnieją przesłanki, by sądzić, że nie była zachwycona swoimi słowiańskimi poddanymi, małżeństwo zaś z Mieszkiem II – choć szybko narodził się niezbędny dla przetrwania dynastii następca – nie ułożyło się harmonijnie. Kronikarz z Brauweiler twierdził, że po narodzinach syna królowa rozstała się z mężem z powodu nienawiści i intryg jego nałożnicy.

Brzydziły ją barbarzyńskie obyczaje Słowian, więc potajemnie i w przebraniu uciekła z Polski, na dodatek w bagażu podróżnym wywożąc pierwsze insygnia koronacyjne Piastów. Wykradzione korony jakoby przekazała cesarzowi Konradowi II, który pozwolił jej zachować aż do śmierci królewski tytuł. Ale oczywiście nie jest pewne, czy o utratę pierwszych polskich insygniów koronacyjnych należy obwiniać właśnie Rychezę. Koronacja Mieszka II rzeczywiście wywołała na cesarskim dworze oburzenie i była poczytywana za uzurpację, ale wedle innego przekazu insygnia przekazał cesarzowi Bezprym, inny z synów Bolesława Chrobrego.

Zupełnie inaczej przedstawia losy Rychezy wczesna polska tradycja. Wedle Galla Anonima królowa aż do śmierci Mieszka II mieszkała w Polsce, potem zaś przejęła rządy opiekuńcze w imieniu swojego małoletniego syna Kazimierza. Wychowywała go w sposób odpowiadający jego godności i jak na kobietę rządziła godnie, zaznaczył kronikarz, lecz zdrajcy z zawiści wypędzili ją z Polski, zostawiając na tronie jej syna. Nie sposób tej relacji w pełni zaufać, ponieważ w chwili śmierci ojca w 1034 r. Kazimierz, nazwany później Odnowicielem, miał 18 lat, a więc osiągnął wiek męski i z pewnością nie był chłopcem czepiającym się spódnicy matki, choćby i pochodziła ona z cesarskiego rodu. Na dodatek jeszcze inaczej przedstawia losy królewskiej wdowy rocznikarz magdeburski, który twierdził, że po śmierci Mieszka II zarówno jego żonę, jak i syna wypędzono z kraju i długo przebywali oni w Saksonii. ▶

© DP

eprasa.pl ffb074335d



Wyobrażenie królowej pędzla Wojciecha Gersona, 1891 r.

Na bazie tych sprzecznych przekazów historycy kreślili różne scenariusze wyjazdu Rychezy z Polski. Pewne jest, że ją opuściła, ale nie wiemy kiedy. Jeszcze trudniej rozstrzygać, czy wyjechała z własnej inicjatywy, czy pod przymusem, czy na decyzji o wyjeździe zaważyły względy osobiste, czy też polityczny zamęt trudnych lat 30. XI w. Spiski braci Mieszka II, Bezpryma i Ottona, domagających się udziału we władzy, bunt możnych i wreszcie atak księcia ruskiego Jarosława Mądrego zmusiły bowiem jej męża Mieszka II do ucieczki z kraju. Zamęt pogłębiła reakcja pogańska. Mieszko II, wezwany na dwór cesarski, musiał się wyrzec korony królewskiej i przystać na podział królestwa. Przed śmiercią zdołał je zjednoczyć, lecz jego odbudowa przypadła już na panowanie Kazimierza, syna Rychezy.

Wyjazd z Polski – w którymkolwiek momencie nastąpił – rozpoczął kolejny, może najbardziej fascynujący okres w życiu Rychezy. Żyła długo. Miała spędzić w ojczystym kraju jeszcze ok. 30 lat, hojnie uposażając rozmaite kościelne instytucje. Nigdy jednak nie wstąpiła do klasztoru, choć czyniło tak wiele szlachetnie urodzonych wdów. Pobożność nie przeszkadzała jej w zaznaczaniu królewskiego stanu, który wynosił ją ponad niemiecką arystokrację. Mediewista Grzegorz Pac wysunął hipotezę, że w związku ze swą królewską godnością używała również pieczęci, choć przed nią nie czyniła tego żadna inna arystokratka w Rzeszy z wyjątkiem cesarzowych. W dokumentach nadań konsekwentnie używała tytułu królowa lub królowa Polski, choć już w dokumencie cesarza Henryka III (później uznanym za falsyfikat, ale powstałym na bazie oryginalnego tekstu) jest nazywana byłą królową Polski, co może stanowić echo utraty królewskiego statusu przez jej małżonka.

Nie mamy żadnych dowodów, by Rycheza podtrzymywała wówczas relacje z Polską, gdzie panował jej syn. Przebywała głównie w dobrach rodzinnych w Nadrenii i Turyngii. Bracia oddali jej w użytkowanie część posiadłości w Brauweiler, gdzie jej rodzice ufundowali klasztor mający się stać centrum rodowej pamięci, w której kluczowe znaczenie przypadło cesarskiemu pochodzeniu jej matki Matyldy. Jak wykazał Michał Tomaszek w opracowaniu „Klasztor i jego dobroczyńcy. Średniowieczna narracja o opactwie Brauweiler i rodzie królowej Rychezy", ojciec Rychezy uposażył Brauweiler dość skromnie, ale jego dzieci pozostały związane z klasztorem i wzbogacały go o kolejne nadania. Samej Rychezie mnisi zawdzięczali wzniesienie zabudowań klasztornych i kościoła pod wezwaniem świętych Mikołaja i Medarda, który został konsekrowany w 1061 r.

Wedle kronikarza z Brauweiler w 1047 r. na wieść o śmierci swego brata Ottona zrozpaczona Rycheza złożyła na ołtarzu wszystkie ozdoby i klejnoty, po czym przywdziała zakonny welon i obiecała zachować wierność wobec swoich bliskich. Niemniej właśnie spadek po Ottonie umożliwił jej prowadzenie ambitnej polityki fundacyjnej – w trosce o duszę brata oraz własną. Nie ma żadnych śladów, by starała się zapewnić podobne modlitewne wsparcie swojemu mężowi i jego krewnym. Zupełnie jakby ceniła tytuł polskiej królowej, ale nie wspominała z sentymentem dynastii, której ten tytuł zawdzięczała. Mnisi z Brauweiler zachowali dla potomnych obraz królowej Rychezy kultywującej wyłącznie dziedzictwo rodziców i niechętnej Polsce. Trzeba jednak pamiętać, że koncentrowali się oni na pamięci o swoich dobroczyńcach, nie zaś odległych Piastach, o których zapewne nie wiedzieli zbyt wiele i którzy nie dali im powodów do wdzięczności.

Brak zainteresowania polskim dziedzictwem u królowej zdaje się sugerować również Gall Anonim. Według niego Rycheza usiłowała odwodzić swojego syna Kazimierza od powrotu do Polski, przekonując, że zamieszkują ją ludzie wiarołomni i nadal niezupełnie nawróceni na chrześcijaństwo. Wprawdzie zdaniem kronikarza Kazimierz wrócił do ojczyzny na czele hufca 500 rycerzy, lecz była to decyzja

© EAST NEWS

eprasa.pl ffb074335d

podjęta wbrew radom matki. Kronikarz nie wspomina również, by Rycheza pośredniczyła pomiędzy synem a cesarzem, choć zaznacza, że Kazimierz zdobył wśród Niemców wielką sławę i rozgłos rycerski, a sam cesarz pragnął go zatrzymać. Niepewne jest również, czy udzieliła – jak chcą niektórzy historycy – Kazimierzowi pomocy w odbudowie młodego polskiego Kościoła. Natomiast jej znamienite koligacje bez wątpienia miały dla Kazimierza znaczenie i możliwe, że krewni matki udzielili mu pomocy.

Rycheza jako wdowa konsekwentnie budowała swoją tożsamość wokół cesarskiego pochodzenia i statusu królowej. Podobnie jak jej rodzeństwo wysoko ceniła dziedzictwo swojej matki. Po śmierci pragnęła spocząć u boku Matyldy, choć są przesłanki, by sądzić, że ostatecznie Brauweiler wydało się jej zbyt skromne. Możliwe, że przed śmiercią zmieniła zdanie, a w jej planach pojawiła się Kolonia. Jej brat Hermann jako arcybiskup Kolonii ufundował nad brzegiem Renu kościół Najświętszej Maryi Panny ad Gradus, gdzie ostatecznie spoczęła po śmierci w 1063 r. Mnisi z Brauweiler twierdzili jednak, że stało się to wbrew woli królowej, choć nie byli w tym całkowicie bezinteresowni. Zgodnie z wolą zmarłej instytucja kościelna, która udzieli jej ostatniego schronienia, miała dostać posiadłości w Klotten nad Mozelą. Spór o Klotten pomiędzy klasztorem z Brauweilen i arcybiskupstwem kolońskim toczył się jeszcze długo po śmierci Rychezy.

Jeszcze dłużej miały się toczyć w Polsce spory o ocenę królowej. W kronice Galla Anonima opisano ją dość przychylnie, podkreślając jej cesarskie korzenie i sprawne – mimo że była kobietą – rządy. Jednak kolejne pokolenia spoglądały na nią coraz mniej życzliwie. Już pod piórem kronikarza Wincentego zwanego Kadłubkiem z przełomu XII i XIII w. stała się archetypiczną złą Niemką, która przedkładała dobro swoich rodaków nad Polaków i była tak porywcza, że ją wypędzono. Stopniowo zalety jej cesarskiego pochodzenia usuwano w cień, tworząc etniczny stereotyp złej niemieckiej władczyni, gardzącej Polakami, ich obyczajami i mową. Podkreślano, że aspirowała do władzy, a zatem wykraczała poza tradycyjne i akceptowane kobiece role, i obarczano ją winą za doprowadzenie do pierwszego potężnego kryzysu monarchii Piastów. W czasach rozkwitu demokracji szlacheckiej właśnie Rychezie przyszło otwierać katalog historycznych postaci, które przywoływali szlacheccy polemiści, by dowieść, że cudzoziemskie i kobiece rządy nigdy niczego dobrego Polakom nie przyniosły.

ANNA BRZEZIŃSKA



KUP TERAZ

Więcej o dynastii Piastów przeczytasz w Pomocniku Historycznym POLITYKI **„PIASTOWIE. 1000 LAT KORONACJI BOLESŁAWA CHROBREGO”**, dostępnym na **sklep.polityka.pl**

REKLAMA



Za książki o najnowszej historii Polski wydane w 2025 roku

• prace naukowe
• popularnonaukowe
• źródła • pamiętniki
• debiuty w pracach naukowych i popularnonaukowych

Zapraszamy wydawnictwa, instytucje naukowe i autorów do zgłaszania książek na adres: **nh@polityka.pl**

Prosimy o przesyłanie po 2 egzemplarze każdej zgłoszonej pozycji na adres redakcji:
Tygodnik POLITYKA, ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa,
z dopiskiem Nagrody Historyczne Polityki.

Regulamin na **www.polityka.pl/nagrodyhistoryczne**

Na zgłoszenia czekamy do 30 stycznia 2026 r.

Mecenas Nagród Historycznych POLITYKI:

Dantex

zaks
sprzyjamy wyobraźni

ABUR
Systemy automatyki

eprasa.p ffb074335d

Zwycięska ósemka

Od sowieckich dysydentów, przez wielkie powstanie chłopskie, po losy ostatnich afrykańskich niewolników. To tematy książek, które zdobyły prestiżowe zagraniczne nagrody historyczne w 2025 r.

TOMASZ TARGAŃSKI

Stany Zjednoczone Pulitzer Prize

Wybitne książki historyczne mówią coś nowego o postaciach, o których wydawałoby się nie da się już powiedzieć nic więcej. Właśnie dlatego jury Nagrody Pulitzera wyróżniło w ubiegłym roku pracę Eddy L. Fields-Black **„Combee: Harriet Tubman, the Combahee River Raid, and Black Freedom During the Civil War”** (pol. Combee: Harriet Tubman, rajd rzeką Combahee i czarna wolność podczas wojny domowej). Jej bohaterka Harriet Tubman, legendarna abolicjonistka i bojowniczka o prawa człowieka, cieszy się w Ameryce statusem ikony walki o równouprawnienie. Wielu biografów rozpisywało się o jej zaangażowaniu w działalność tzw. kolei podziemnej (ang. *Underground Railroad*), która uratowała tysiące niewolników z plantacji Południa, dając im nowe życie na Północy. Mało kto jednak zwrócił uwagę, że podczas wojny secesyjnej zatrudniona przez armię Unii Tubman wyruszyła w samo serce niewolniczego Południa – do Beaufort w Karolinie Południowej – aby zbierać tam informacje wywiadowcze dla wojska. Edda L. Fields-Black pieczołowicie zrekonstruowała jej rolę w przygotowaniu śmiałego ataku w górę rzeki Combahee na położone wzdłuż jej brzegów plantacje ryżu, nazywane spichlerzem Konfederacji. Rola słynnej abolicjonistki nie skończyła się jednak na tym. 2 czerwca 1863 r. Tubman wraz z dwoma pułkami czarnoskórych żołnierzy Unii wsiadła na pokład trzech wojskowych kanonierek i wzięła udział w walkach, podczas których wyzwolono z niewoli ponad 700 osób.

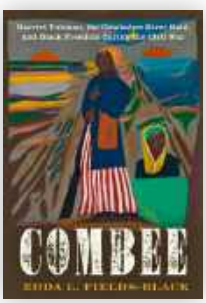

Drugą nagrodzoną ex aequo książką jest praca Kathleen DuVal **„Native Nations: A Millennium in North America”** (pol. Rdzenne narody: tysiąclecie w Ameryce Północnej), opisana na łamach POLITYKI w 2024 r., kiedy zdobyła Cundill History Prize. Pulitzera w kategorii biografii zdobyła książka Jasona Robertsa **„Every Living Thing: The Great and Deadly Race to Know All Life”** (pol. Wszystko co żywe. Wielka i niebezpieczna pogoń, by poznać życie). Jej bohaterami są dwaj giganci XVIII-wiecznej nauki: pobożny szwedzki lekarz Karol Linneusz, który stworzył podstawy klasyfikacji organizmów żywych, oraz Georges-Louis de Buffon, francuski arystokrata i filozof przez lata pełniący funkcję intendenta ogrodów królewskich w Paryżu. Obu różniły nie tylko pochodzenie, temperament czy obyczajowość – mieli również skrajnie odmienne zdanie na temat tego, jak działa przyroda. Podczas gdy Szwed postrzegał ją według statycznych, ściśle uporządkowanych kategorii, Francuz był zdania, że bardziej przypomina ona dynamiczny wir, gdzie wszystko się ze sobą miesza. Tak się złożyło, że niemal w tym samym czasie obaj podjęli się zadania niemożliwego: opisania całego życia na Ziemi. Właśnie o tym pragnieniu – i ostatecznej porażce obu – opowiada Roberts. Kreśli przy tym niezwykle żywe obrazy ludzi, którzy nie tylko dali nam takie pojęcia, jak ssak czy *Homo sapiens*, ale również sformułowali pierwsze – wybrakowane, ale jednak – koncepcje ewolucji czy genetyki.

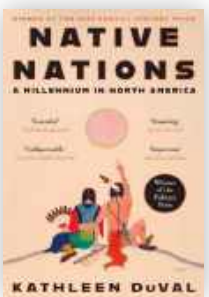



Wayne S. Vucinich Book Prize

Przyznawaną przez Stowarzyszenie Studiów Slawistycznych, Wschodnioeuropejskich i Euroazjatyckich (ASEEES) nagrodę, poświęconą badaniom nad szeroko pojętą Europą Wschodnią i obszarem byłego Związku Sowieckiego, otrzymało ex aequo dwoje autorów. Benjamin Nathans za książkę **„To the Success of Our Hopeless Cause: The Many Lives of the Soviet Dissident Movement”** (pol. Za sukces naszej beznadziejnej sprawy: żywoty sowieckich dysydentów) oraz Masha Salazkina za **„Romancing Yesenia: How a Mexican Melodrama Shaped Global Popular Culture”** (pol. Romans z Yesenią: jak meksykański melodramat ukształtował globalną popkulturę). Praca Nathansa, historyka z University of Pennsylvania, jest obszerną, liczącą ponad 700 stron historią ruchu dysydenckiego w ZSRR. Autor podkreśla,

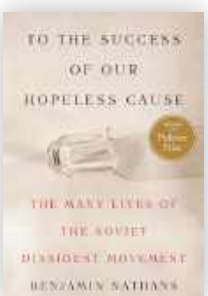



eprasa.pl ffb074335d

że początki ruchu nie przypadkiem przypadły na lata 60. W tym samym czasie w USA aktywiści walczyli o równouprawnienie Afroamerykanów (a w istocie o przestrzeganie gwarantowanych przez konstytucję praw). I właśnie ten sam postulat – przestrzeganie swobód obywatelskich formalnie gwarantowanych przez radzieckie prawo – przyświecał ludziom, jak Aleksandr Jesienin-Wolpin, Władimir Bukowski czy Ludmiła Aleksiejewa. Jak pisze Nathans, ich strategia była „tyleż prosta, co szalona", ponieważ mieli odwagę w zniewolonym kraju zachowywać się jak ludzie wolni. Wykorzystując dzienniki, wspomnienia, listy i dokumenty KGB, autor kreśli obraz ruchu niepodobnego do współczesnych mu liberalnych ruchów na Zachodzie. Ich sprzeciw wobec systemu brał się z dylematów etycznych, nie zaś jawnej represji (te następowały później). Skupieni na kwestiach „wewnętrznej wolności" opozycjoniści tworzyli formację par excellence intelektualną – nie polityczną. Po upadku komunizmu nie stworzyli partii politycznej. Nigdy nie zyskali większego poparcia społecznego, ponieważ nie zabiegali o nie.

Druga z wyróżnionych książek, „Romancing Yesenia", opisuje fenomen meksykańskiego melodramatu z 1971 r., który w ZSRR zyskał status filmu kultowego. Autorka stara się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego sztampowa fabuła i mieszczańskie dramaty XIX-wiecznego Meksyku tak mocno przemówiły do sowieckiej publiczności.

Warto wspomnieć, że jury Wayne S. Vucinich Prize wyróżniło też Agnieszkę Pasiekę, antropolożkę z Uniwersytetu w Montrealu, za pracę „Living Right: Far-Right Youth Activists in Contemporary Europe" (pol. Na prawicy: skrajnie prawicowe młodzieżówki we współczesnej Europie). Korzystając z badań terenowych i wywiadów, badaczka kreśli w niej etnograficzny portret prawicowych organizacji z Polski, Węgier czy Włoch.

Reginald Zelnik Book Prize in History

To nagroda ASEEES przyznawana za książkę poświęconą Europie Wschodniej. W 2025 r. zwyciężyły dwie książki, z których jedną jest omówiona powyżej praca Benjamina Nathansa. Druga to **„Tchaikovsky's Empire: A New Life of Russia's Greatest Composer"** (pol. Imperium Czajkowskiego: nowa biografia największego rosyjskiego kompozytora). Jej autor Simon Morrison, historyk specjalizujący się w dziejach muzyki XX w., kilka lat temu napisał świetnie przyjętą biografię wokalistki Fleetwood Mac Stevie Nicks. Opierając się na nowych, niewykorzystanych dotąd rosyjskich źródłach, przekreśla on obraz melancholijnego i udręczonego swoim homoseksualizmem kompozytora. Jego miejsce zajmuje inny Czajkowski: pełen życia, jowialny i obdarzony poczuciem humoru rodem z Monty Pythona. Morrison przypomina, że biografia każdego wielkiego człowieka to misterna konstrukcja, która ożywa (paradoksalnie) w chwili śmierci swojego podmiotu. Stara się też wytłumaczyć, jak to się stało, że w XX w. muzyka Czajkowskiego towarzyszyła kolejnym rosyjskim reżimom jako akompaniament ich imperialnej polityki.

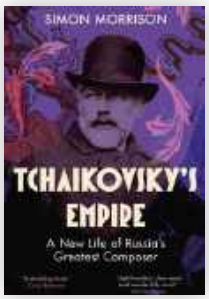

Kanada Cundill History Prize

Profesor Lyndal Roper, historyczka z Uniwersytetu Oksfordzkiego, jest jedną z najbardziej szanowanych badaczek okresu reformacji w Niemczech. Jej nagrodzona przez jury Cundill Prize praca **„Summer of Fire and Blood: The German Peasants' War"** (pol. Lato ognia i krwi: wojna chłopska w Niemczech) należy do tych książek, które łączą naukowy rygor i dogłębne wykorzystanie źródeł z potoczystym stylem. W efekcie powstała doskonale opracowana, narracyjna historia jednego z największych chłopskich zrywów w dziejach nowożytnej Europy. Autorka obala w niej wiele mitów na temat słynnego powstania. Podważa m.in. utrwaloną tezę, jakoby zagrożeni widmem głodu chłopi sięgnęli po broń z czystej desperacji, broniąc się przed ekonomiczną presją panów. Roper wskazuje na zadziwiający paradoks: rewolta nie wybuchła na terenach na wschód od Łaby, gdzie szlachta przymuszała poddanych do powrotu do renty feudalnej, ale właśnie w południowych Niemczech, gdzie wieś czerpała największe korzyści z uczestnictwa w gospodarce rynkowej. Kontekstem buntu mogła być zatem nie desperacja, lecz rosnąca niezależność oraz poczucie, że jest ona zagrożona. Do tego dochodzi kontekst religijny. Iskra powstania pojawiła się tam, gdzie największym posiadaczem ziemskim był Kościół – mocno atakowany przez zainspirowanych pismami Lutra pastorów, którzy chętnie dołączyli do chłopów. Gorąca atmosfera pierwszych lat reformacji umożliwiła przekształcenie ekonomicznego buntu w milenarystyczny ruch, którego celem było ni mniej, ni więcej tylko stworzenie lepszego, bardziej sprawiedliwego świata. Sprawne połączenie religijnych, ideologicznych i ekonomicznych kontekstów stanowi o wartości książki, która ukaże się w tym roku w Polsce.



Wielka Brytania Wolfson History Prize

Najbardziej prestiżową nagrodę historyczną na Wyspach Brytyjskich otrzymała Hannah Durkin, historyczka z Uniwersytetu w Nottingham. Książka **„Survivors: The Lost Stories of the Last Captives of the Atlantic Slave Trade"** (pol. Ocaleni: utracone historie ostatnich ofiar handlu niewolnikami) jest drobiazgową rekonstrukcją losów 110 schwytanych w niewolę pasażerów szkunera „Clotilda", który w 1860 r. dobił do wybrzeży USA. „Clotilda" była ostatnim z tysięcy okrętów, które w ciągu kilku wieków przewiozły do Ameryki miliony Afrykanów. Durkin poszła tropem tych, którzy wbrew swojej woli znaleźli się wtedy w ładowni statku i zostali sprzedani na plantacje rozsiane po całym południu Stanów Zjednoczonych. Dzięki szerokiej kwerendzie w archiwach oraz prasie autorka pokazuje, jak ostatni niewolnicy zyskali wolność, zakładali rodziny, prowadzili gospodarstwa, głosowali w wyborach, a ich potomkowie angażowali się w ruch praw obywatelskich.

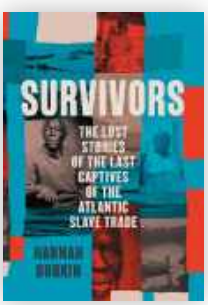

eprasa.pl ffb074335d

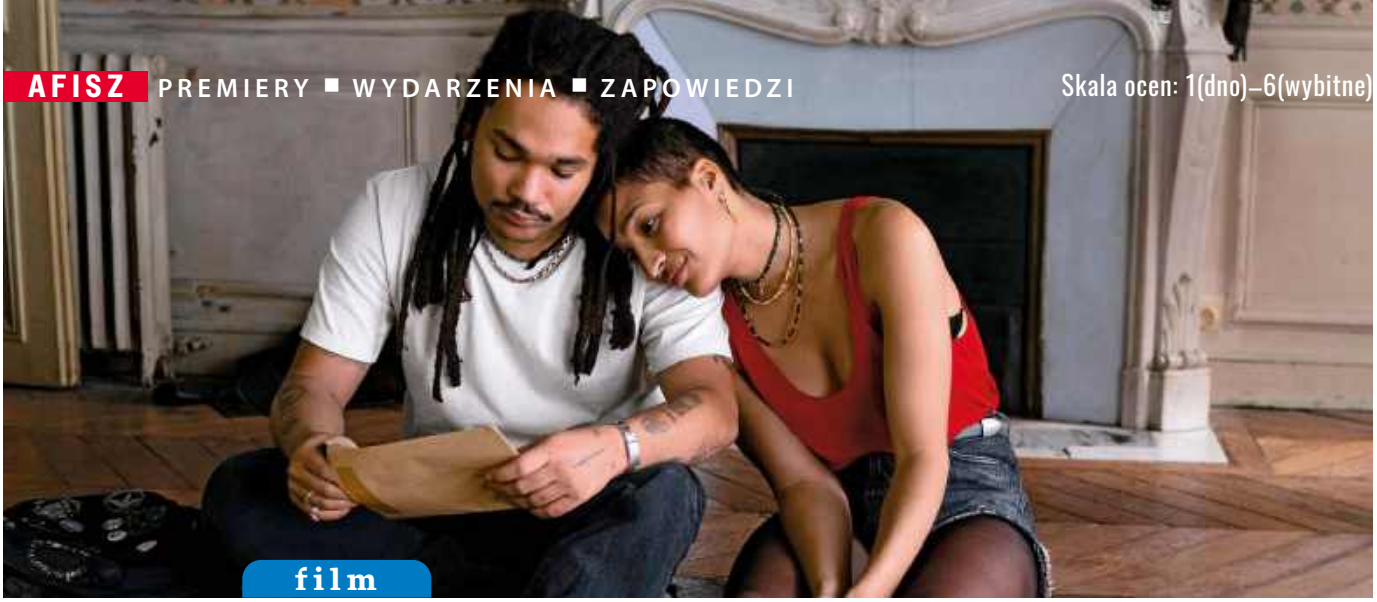

film

Zagubieni w kosmosie 6/6

Father Mother Sister Brother, reż. Jim Jarmusch, prod. USA, 110 min, w kinach od 16 stycznia

Podczas gdy kino rozrywkowe ściga się, by zagęszczać akcję, pobudzać emocje, Jim Jarmusch od czterech dekad pozostaje wierny swojej filozofii. W jego świecie to, co ważne i przykuwające uwagę, nie zależy od tempa wydarzeń, rozstrzyga się w samotnych wędrówkach, w milczących spojrzeniach, w codziennych rytuałach pozbawionych, zdawałoby się, dramaturgii. Im bardziej kontemplacyjne robi filmy Jarmusch, tym wyraźniej zastyga w nich czas, a perspektywa rozszerza się do wymiaru kosmicznego. „Father Mother Sister Brother" to prawdopodobnie najdojrzalszy manifest minimalizmu, modelowy przykład slow cinema. Spowolniona, trzyczęściowa konstrukcja sprowadza się do pozornie błahych obserwacji wymuszonych spotkań rodziców oraz ich dorosłych dzieci. Dwa pierwsze, osadzone na amerykańskiej prowincji i w Dublinie, stanowią laboratoryjną wiwisekcję nieporozumień, uników, niezręcznej gry pozorów – strategii opartych na samoobronie, egoizmie, emocjach zredukowanych do pustych gestów. Trzecia (Paryż) jest ich zaprzeczeniem, pokazuje szczęśliwą na pierwszy rzut oka relację rodzeństwa (**Indya Moore** i **Luka Sabbat**) wspominającego kochających się rodziców, którzy zginęli w katastrofie lotniczej.

Suma tych wątków nie daje łatwego rozwiązania, bo rozważając, czym jest ojcostwo, matczyna troska, szacunek i miłość dzieci do rodziców, Jarmusch ustawia te wartości wobec przemijania wszelkiego życia na Ziemi. Plansze pomiędzy epizodami przypominają wizualizacje cząstek elementarnych, a cytowany w filmie kosmiczny dowcip mówi o spotykających się dwóch planetach, z których jedna kaszle, bo zarażona jest wirusem humanizmu. Nie tracąc z pola widzenia uczuć, Jarmusch rozwiewa złudzenia, że najważniejsze jest to, co wydaje się, że wiemy o sobie nawzajem, a strażnikiem tej pamięci jest materialne i duchowe dziedzictwo pozostające, gdy już wszystkie fakty odchodzą w niepamięć. Przekazywane z pokolenia na pokolenie dziedzictwo ostatecznie niczemu nie służy. Młodzi nie bardzo wiedzą, co z nim zrobić, w symbolicznej filmowej scenie zamykają je na zawsze w czeluściach martwego garażu.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

scena

Uniwersalna wina 3/6

Wajdi Mouawad, **Europa**, reż. Krzysztof Warlikowski, Nowy Teatr w Warszawie

Po latach realizowania tekstowych kolaży Krzysztof Warlikowski wrócił do dramatu: „Europa" to inscenizacja świeżej sztuki Wajdiego Mouawada, który bywał dramaturgiem przy wcześniejszych spektaklach reżysera, a jest tworzącym we Francji Libańczykiem (jego „Pogorzelisko" zekranizował Denis Villeneuve), dyrektorem paryskiego Théâtre de la Colline, gościnnym wykładowcą Collège de France. Stawka sztuki jest wysoka: dawna klątwa, w dzisiejszym rozumieniu – trauma, sieje spustoszenie w kolejnych pokoleniach winnych i ofiar, jak przerwać ten łańcuch przemocy? Rozwiązaniem ma być wyznanie winy i przenosząca pamięć opowieść. Nie jest to odpowiedź oryginalna – pytanie, czy też niezbyt naiwna. Fabularnie także nie jest zbyt dobrze. Na ponad dwie godziny trafiamy w przestrzeń łączącą elementy szkolnej klasy (w fikcyjnym państwie Hafeztan), gdzie 75 lat wcześniej miała miejsce masakra dzieci, oraz sądu, w którym toczy się proces oskarżonego o zabójstwo wnuka dawnej uczestniczki tamtej masakry. Kobieta jest nazywana Europą (**Andrzej Chyra**), jej wyznanie, w obliczu porzuconych w dzieciństwie córek (Magdalena Popławska, Małgorzata Hajewska-Krzysztofik, Maja Ostaszewska), nagrywa Assia (Magdalena Cielecka), tropicielka zbrodni z ramienia ONZ. Aktorzy dają z siebie wszystko, ale tekst Mouawada, powierzchowny, jednocześnie brutalny (opisy bestialstw) i asekurancki, działa przeciw nim i całemu spektaklowi.



ANETA KYZIOŁ

eprasa.pl ffb074335d



serial

Sto lat za smokami 5/6

Rycerz Siedmiu Królestw, twórca serii: Ira Parker, 6 odc., HBO Max, premiera 19 stycznia

HBO rozwija uniwersum „Gry o tron". Latem wystartuje trzeci sezon „Rodu smoka" (wreszcie z długo zapowiadaną bitwą), a nowy rok rozpocznie nowa seria (już przedłużona na kolejny sezon), której akcja dzieje się sto lat przed „Grą" i sto po „Rodzie". Literacką podstawą jest tym razem tom „Błędny rycerz" z cyklu „Opowieści z Siedmiu Królestw" („Tales of Dunk and Egg") George'a R.R. Martina, współtwórcy serialu. Tytułowym rycerzem jest Ser Dunkan Wysoki (**Peter Claffey**) – za tym poważnie brzmiącym tytułem skrywa się młody Dunk, wędrowny rycerz bez majątku i pochodzenia, za to z czystym sercem, słusznym wzrostem i rycerskim kodeksem, który – w przeciwieństwie do wielu w Westeros – traktuje poważnie. Zamierza to udowodnić na wielkim turnieju, dać się zapamiętać możnym i odmienić swój los. A na początek spotyka łysego i zaskakująco pyskatego malca, który przedstawia się jako Jajo (**Dexter Sol Ansell**) i samozwańczo obwołuje jego giermkiem. Całość jest – świetnie zagraną i sfilmowaną – mieszanką komedii i dramatu, z ostrymi ripostami i realistycznie pokazaną przemocą. Nie ma tu magii (wyłączając może przepowiednie i wspomnienia o smokach), na Żelaznym Tronie zasiadają Targaryenowie i cechy tego rodu oraz wielka polityka się tu pojawiają. Jednak opowieść jest prostsza, jej trzonem jest przygoda i droga, a w centrum stoi bohater pozbawiony cynizmu. A nawet dwóch. I trudno im nie kibicować. AK



serial

Mroki Świnoujścia 4/6

Klangor 2, scen. Kacper Wysocki i Kirk Kjeldsen, 8 odc., Canal+

Swoje uniwersum rozwija także Canal+ – w zbudowanym w pierwszym sezonie (2021 r.) mrocznym światku zimnego nie tylko z powodu pory roku Świnoujścia, z więzieniem, posterunkiem policji, podróżami promem i bliskością Niemiec, toczy się nowa opowieść. Znów w centrum jest tu rodzicielstwo, ale śledztwo w sprawie zaginięcia córki (**Mary Pawłowska**) prowadzi tym razem matka (Małgorzata Gorol), a pamiętny ojciec z pierwszej odsłony (Arkadiusz Jakubik), w charakterystycznej żółtej kurtce, pojawia się na zasadzie cameo. Pierwszy sezon był objawieniem, drugi opowiada wciągającą historię – w roli reżysera wraca Łukasz Kośmicki – w której mężczyźni (nie bez wsparcia) krzywdzą, a kobiety próbują siebie (i dzieci) wyrwać z zaklętego kręgu domowej przemocy. Różnymi, często dyskusyjnymi sposobami i z równie rozmaitym skutkiem, co dodaje tej opowieści obyczajowego realizmu. A dla fanów bardziej filmowych klimatów ten sezon ma, też wzorem poprzedniego, rozbudowany wątek więzienno-mafijny. Jednak „Klangor 2" bywa nierówny. Świetnym kreacjom Gorol, Jacka Belera i Piotra Trojana czy dającemu do myślenia, nieoczywistemu zakończeniu towarzyszą słabsze momenty. Rozmowy policjantów na posterunku przypominają półamatorskie docusoapy, słabo wypada, także pod względem aktorskim, wątek odpowiedzialnych za zaginięcie Wiki. Generalnie jednak „Klangor" to wciąż rozrywka z wyższej półki. Czekamy na kolejne opowieści z uniwersum Świnoujścia. AK

Szczęki i rakiety 5/6

David Foster Wallace, **Niewyczerpany żart**, reż. Kamil Białaszek, Teatr Narodowy w Warszawie



scena

Autor najgłośniejszego teatralnego debiutu ostatnich lat, czyli brawurowego spektaklu-koncertu „Nowy Pan Tadeusz, tylko że rapowy" (Teatr Polski w Poznaniu, Teatr TV), Kamil Białaszek, porwał się na adaptację tysiącstronicowej postmodernistycznej prozy. Akcję „Niewyczerpanego żartu" Wallace'a umieścił we wnętrzu szczęki pełnej spróchniałych zębów, w których zamiast plomb świecą ekrany. Ponury obraz współczesnej cywilizacji kapitalizmu, konsumpcji, presji na wyniki i jej drugiej strony – epidemii uzależnień – zamienia w porywający spektakl: męczący nadmiarem (czterogodzinny) i absurdalnie zabawny. Przede wszystkim zaś kipiący energią: młodsza część zespołu Teatru Narodowego dostała szansę wyjścia z cienia starszych kolegów i wykorzystała ją z nawiązką. Akcja toczy się trzema torami: w ośrodku odwykowym, w akademii tenisowej i w środowisku szpiegów, którzy próbują powstrzymać rozprzestrzenianie się Rozrywki (filmu, którego oglądanie zabawia widzów na śmierć). Całość na pewnym poziomie jest rodzinną telenowelą, na innym – trawestacją „Hamleta": od tytułu po wątek ducha Ojca, który nawiedza głównego bohatera, Hala. Gra go **Hugo Tarres**, czyli Hamlet z niedawnego spektaklu Jana Englerta. Białaszek nie aktualizuje na siłę powieści z 1996 r., podobnie jak Paul Thomas Anderson nie uwspółcześniał w świetnej, ubiegłorocznej „Jednej bitwie po drugiej" powieści Pynchona z 1990 r. Mimo to spektakl, tak jak film, wydaje się trafiać ze swoim szaleństwem w sedno współczesności. AK

© VAGUE NOTION/ CAROLE BETHUEL, MAGDA HUECKEL/NOWY TEATR, STEFFAN HILL/GROKI STUDIO / HBO, JAROSŁAW SOSIŃSKI/CANAL+, KAROLINA JÓŹWIAK

eprasa.pl ffb074335d



Ustrzelić księżyc z dachu 5/6

Paweł Sołtys, **Monolok**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, s. 120

Dzisiejsze opowieści „rwą się jak lignina, zdawkowe są" – mówi bohater i narrator nowej książki Pawła Sołtysa. Ten monolog fryzjera z Grochowa jest miejską balladą, ukłonem w stronę opowieści Grzesiuka, Wiecha, Marka Nowakowskiego, piosenek Stanisława Staszewskiego. Opowieścią krwawą i śmieszną, i smutną, i chwytającą za gardło. A przede wszystkim świetnie napisaną, w której „latarnie przymykały sodowe oko". Czego tu nie ma – krawat Roberta Kennedy'ego sprzedany przez grochowskich paserów, Pałac Kultury zrobiony przez garbusa z zapałek, trzy wiedźmy jak z baśni Andersena, Róża Szewa z Sieradza, ojciec pana młodego, który na weselu strzela do księżyca z dachu, Magik, któremu „z nożem pod żebrem ciężko się talię tasuje i można kartę zgonu zamiast



królika z kapelusza wyciągnąć". Fryzjer męski w swoich opowieściach wskrzesza wszystko, czego już nie ma, ludzi i miejsca. Ale jest w tym coś więcej niż nostalgia za przeszłością: „Ja już dawno postanowiłem, że moi zmarli żyją, tylko nie udaje nam się ostatnio spotkać". To opowieść o tym, jak przeszłość przenika się z teraźniejszością tak, że nie wiemy, czy to umarli nam się śnią, czy to my się im śnimy. Fryzjer zresztą, wychowany w bidulu, ma swoje smutki i złe sny o wojnie, ale ma też swoją filozofię życia. We wszystko, co robi, wkładał serce: „Jak strzygłem, to jakbym strzygł Holoubka przed premierą, jak opowiadałem, to tak, żeby się śmiali i płakali". „Monolok" ma w sobie lekkość i szwung żywej opowieści, która bierze w nawias śmierć. Więc chcemy, żeby trwała i trwała.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Wszystko naraz 3/6

Mieczysław Gorzka, **Rok zmian**, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2025, s. 604

Nowa powieść Mieczysława Gorzki to thriller ciężkiego kalibru – niestety, raczej ze względu na objętość i kumulację turpizmu niż jakość. W „Roku zmian" przecinają się ścieżki trzech bohaterów: architekta, którego życie prywatne i zawodowe właśnie się rozpadło, gliniarza po przejściach, do którego drzwi puka niespodziewanie nigdy wcześniej niewidziana córka, oraz psychologa (swoją drogą, najbliższego przyjaciela policjanta) o osobowości i zainteresowaniach Normana Batesa z „Psychozy". Niesprzyjające okoliczności w każdym z nich przebudzą skrywaną głęboko skłonność do przemocy i zła. Gorzka to autor bardzo sprawny, ale tym razem pisarski instynkt zwiódł go na manowce. Od początku wiadomo, kto i dlaczego zabija, w fabule rozpisanej na 600 stron i – jak sugeruje tytuł – na 12 miesięcy trudno utrzymać napięcie, zwłaszcza że równoległe wątki do pewnego momentu kleją się raczej słabo, a sceny makabryczne (jest ich sporo) w pewnym momencie zaczynają nużyć. Jest tu kilka bardzo dobrych pomysłów, nie wyłączając intrygującego, niejednoznacznego finału, lecz równie wiele przesadzonych lub wtórnych. A przede wszystkim „Rok zmian" pozostawia wrażenie, jakby autor chciał zmieścić w jego treści zbyt wiele elementów. Umiar z pewnością by tej powieści posłużył.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Nie odzierać ze złudzeń 4/6

Florence Noiville, **Milan Kundera: Pisać, cóż za dziwny pomysł!**, przeł. Oskar Hedemann, Grupa Wydawnicza Foksal, Warszawa 2025, s. 302

Obsesyjnie chroniący swoją prywatność Milan Kundera robił wszystko, by inni uwierzyli, że jego prawdziwe życie zawiera się w literaturze. Jan Novák, autor kontrowersyjnej, nieprzetłumaczonej dotąd na polski czeskiej części biografii pisarza, uważa, że to tylko cyniczna strategia mająca uniemożliwić konfrontację z kompromitującymi faktami, których niedoszły noblista się wstydził. W nielicznych wywiadach udzielonych już na emigracji Kundera sam zresztą wyrażał się o grzechach swojej młodości w ostry sposób („Nie chciałbym nigdy spotkać tego kretyna, którym wtedy byłem"). Francuska krytyczka literacka „Le Monde" i powieściopisarka Florence Noiville, a jednocześnie wieloletnia przyjaciółka Kundery i jego żony Very pracę Nováka nazywa ociekającą nienawiścią. W swojej, napisanej z czułością, całościowej biografii Kundery wystawia mu pomnik, o jakim chyba nawet on sam nie myślał. Prześwietlając jego życiorys, konsekwentnie unika grzebania się w brudach, zawiesza moralną ocenę, gdy napomyka o jego dziwnych podbojach erotycznych, a jeśli komentuje np. sprawę rzekomego donosu z lat 50., przez który znajomy koleżanki Kundery spędził wiele lat w więzieniu, zamienia się w żarliwego adwokata pisarza. Uważa, że biografia to trucizna. Ciekawsze wydaje się jej śledzenie, jak autor znika za swoim dziełem. Podążając za wskazówkami Kundery, powiela więc narzuconą przez niego mitologię – tworzy wyrafinowaną strukturę, w której biograficzne tony mieszają się z esejem filozoficznym, a wielka historia jest tylko jednym z instrumentów służących do zgłębiania „nieznośnej lekkości bytu".

JANUSZ WRÓBLEWSKI

© LESZEK ZYCH, ADAM FIELDS PRODUCTIONS/FLOWER FILMS (1)/GAYLORD FILM, WARRICK PAGE/MAX, JOANNA SIWIEC/BARTEK BARCZYK, MP (7)

eprasa.pl ffb074335d

komiksy miesiąca

Magia i rzeczywistość



Adaptacja jednej z najważniejszych książek fantasy to zadanie karkołomne, filmowcy przekonali się o tym nie raz. Brytyjski rysownik i scenarzysta **Fred Fordham** znalazł jednak sposób, by oddać sprawiedliwość **„Czarnoksiężnikowi z Archipelagu” (przeł. Agnieszka Sylwanowicz, Prószyński i S-ka, 5/6)**. Opowiadając historię Krogulca, młodego maga, który musi się zmierzyć z konsekwencjami własnych działań, dochował wierności nie tylko literze powieści Ursuli K. Le Guin, lecz także jej duchowi. Przedłożył metafizykę nad akcję i refleksję nad spektakl, także w pięknych, stonowanych projektach graficznych zachował pokorę wobec prozy wielkiej autorki. Komiks nie zastąpi lektury oryginału, lecz w tym wypadku może ją wzbogacić.

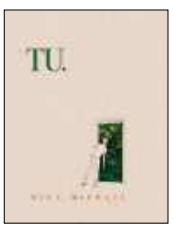

Wielkie miasto miejscem magicznym nie jest, a już na pewno nie w albumie **„Tu.” Willa McPhaila (przeł. Łukasz Witczak, Mandioca, 5/6)**. Nick, ambitny rysownik, większość czasu spędza, przesiadując w hipsterskich kawiarniach, niezdolny do nawiązania prawdziwej relacji z drugą osobą. Small talk go przeraża, a próby zrobienia dobrego wrażenia na kobietach kończą się porażkami. Wszystko się zmienia, gdy poznaje Wren, pełną energii lekarkę, która zdoła przebić się przez lęki Nicka. Debiut McPhaila, rysownika znanego m.in. z łamów „The New Yorkera”, jest sarkastyczny, uszczypliwy, także mroczny – zwłaszcza w drugiej połowie, gdy w życie bohaterów wkrada się prawdziwy dramat – lecz bywa również pełen empatii. Odnajdą się w nim nie tylko czytelnicy tak jak Nick zagubieni w chaosie rzeczywistości.

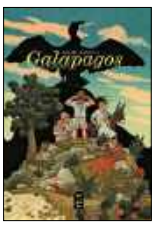

W **„Galapagos” (przeł. Olga Niziołek, Los Kraba, 4/6)** belgijski artysta **Michaël Olbrechts** sięga po historię utopijnego projektu Friedricha Rittera, który pod koniec lat 20. XX w. wyjechał z żoną na Floreanę, by żyć w ascezie z dala od cywilizacji. Jednak zainteresowanie, jakie wzbudziła jego filozofia, przyciągnęło na wyspę kolejnych przybyszy i nieuniknione kłopoty. Mocno oparty na historycznych wydarzeniach album jest nie tylko rekonstrukcją wydarzeń, lecz także całkiem udaną próbą zrozumienia skomplikowanych motywacji Rittera. Warto czytać go jako uzupełnienie innych relacji na temat dziejów „Adama i Ewy z Floreany”: książki „Zbrodnia w raju” Johna Treherne’a oraz filmu „Eden” w reżyserii Rona Howarda.

JAKUB DEMIAŃCZUK

muzyka

Riffy i szepty 4/6

Dry Cleaning, **Secret Love**, 4AD



Szeptem do mnie mów – słyszeliśmy w polskiej piosence. Florence Shaw mówi momentami na pograniczu szeptu na tle zgiełkliwej muzyki i aż dziw bierze, że to wśród tych krzyczących wokalistek szuka się najmocniejszych kobiecych postaw dzisiejszej sceny rockowej. Dry Cleaning lubią konfrontować żywioł muzyki gitarowej z opanowaniem deklamowanych tekstów. Te brzmią jak spuszczone ze smyczy, szczere i zjadliwe wewnętrzne monologi, które nagle nagłośniono z dużą mocą – Shaw wciela się w projektanta statków wycieczkowych uzasadniającego obłęd swojej pracy albo w influencerkę, która ma dla nas litanię porad czyniących życie jeszcze gorszym. To zjawisko osobliwe, a momentami fascynujące. Na „Secret Love” zaskoczenie nie jest już tak duże jak na dwóch pierwszych płytach londyńskiej grupy, ale za to stoicyzm wydaje się tu jeszcze bardziej wyzywający, a monotonię wzmaga udział Cate Le Bon jako producentki i nieformalnej piątej osoby w zespole. Ta uznana solowa artystka tu zajmuje się głównie programowaniem dodatkowej linii perkusji. Nie ma w tym jednak przeładowania, jest sztuka walki bez walki i pokaz siły bez potu.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap



Donnie Darko, reż. Richard Kelly, w kinach od 9 stycznia

Tajemnicza postać w kostiumie koszmarnego królika przepowiada sfrustrowanemu nastolatkowi rychły koniec świata. Reżyserski debiut Richarda Kelly’ego był udaną próbą opowiedzenia o lękach przełomu wieków w formie surrealistycznego dramatu, a tytułowa rola otworzyła Jake’owi Gyllenhaalowi drogę do wielkiej kariery. Na kinową premierę filmu polscy widzowie musieli czekać jednak aż ćwierć wieku. JD



The Pitt 2, twórca serii: R. Scott Gemmill, 15 odc., HBO Max

Miks „Ostrego dyżuru” i „24 godzin”, jeden z hitów minionego roku, wraca i znów doktor Robby (Noah Wyle) i jego ekipa z pittsburskiego SOR-u leczą Amerykę i przypominają o szacunku wobec drugiego człowieka. Z nowości: powrót dr. Langdona z odwyku, awaria systemu komputerowego oraz perspektywa długiego urlopu Robby’ego, napawająca wszystkich niepokojem... o niego. AK



Han Kang, **Wegetarianka**, reż. Paweł Miśkiewicz, Teatr im. Słowackiego w Krakowie

Sceniczna adaptacja powieści koreańskiej noblistki to poruszająca historia o stopniowym, cichym odchodzeniu od człowieczeństwa, wypisaniu się z życia, o reakcji na traumę i milczącym buncie wobec przemocowych tradycji i patriarchatu. I o tym, jak ten bunt rezonuje w najbliższych, zmienia otoczenie. Opowiadana językiem teatru, wideo, muzyki i tańca. AK

eprasa.pl ffb074335d

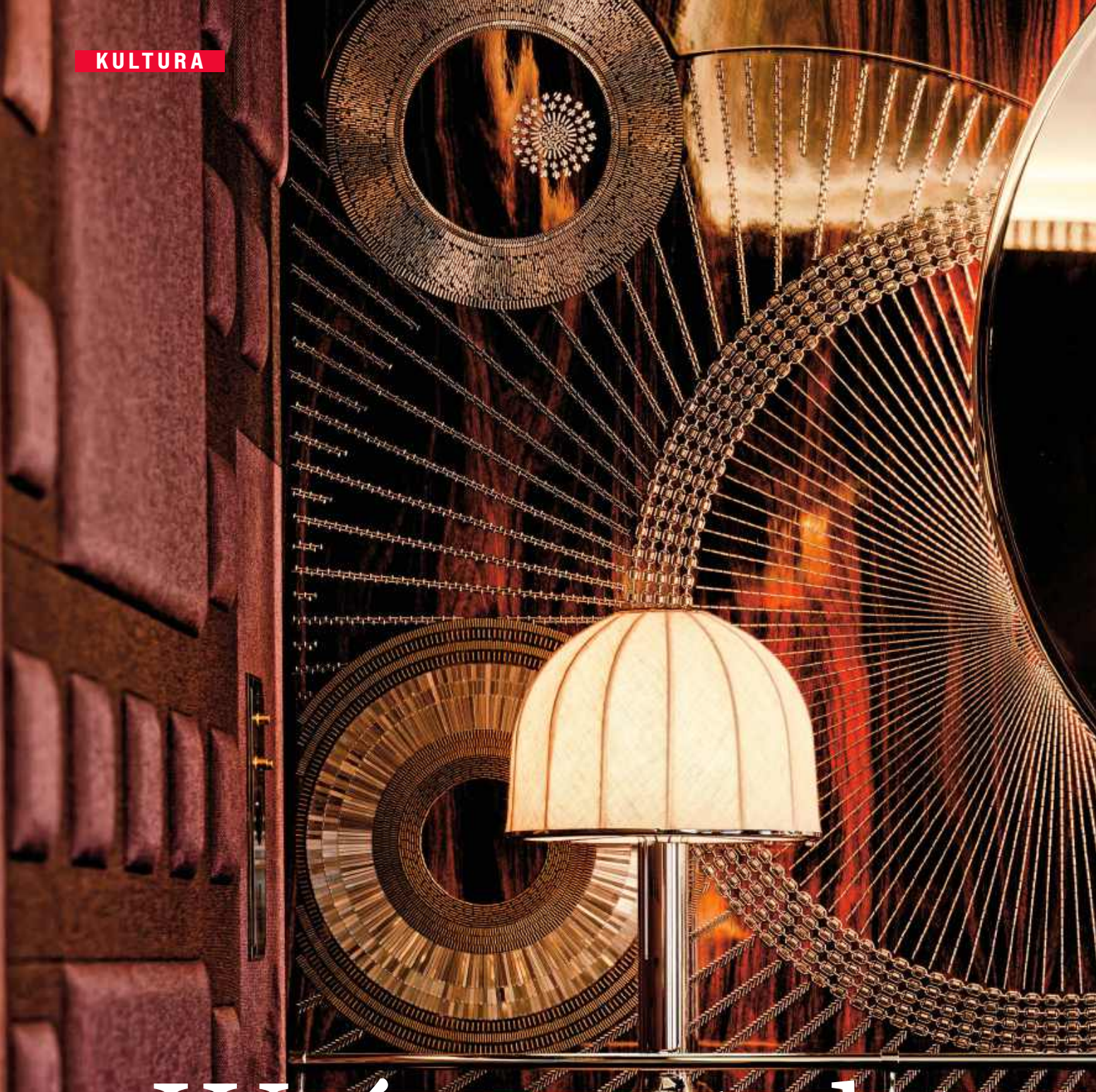

Wzór na sto lat

PIOTR SARZYŃSKI

Art déco najpierw podbiło świat, później poszło w zapomnienie, ale o tym, że dziś znów uwodzi, przekonać się można w Paryżu.

Kolejki chętnych do odwiedzenia Musée des Arts Décoratifs z powodzeniem mogą konkurować z tłumami szturmującymi nieodległy Luwr, a rezerwacje na bilety należy robić z parotygodniowym wyprzedzeniem. Bo też trzeba przyznać, że rzadko zdarza się okazja, by w jednym miejscu móc obejrzeć tak wiele przedmiotów (organizatorzy deklarują, że jest ich około tysiąca), do których pasuje określenie „piękne", co na wystawie „1925–2025. Cent ans d'Art déco" (Sto lat art déco).

Chodzi tu o przedmioty wszelkiego rodzaju, bo art déco było stylem, który wlewał się do życia szeroką falą, i chyba pierwszym, który zdominował niemal wszystkie obszary projektowania. Począwszy od mebli, szkła i porcelany, dywanów, biżuterii, przez modę, sprzęt gospodarstwa domowego i plakaty (wyśmienite dzieła Cassandre'a) po kolejowe wagony i architekturę. Z tzw. sztuk pięknych najlepiej umościł się w rzeźbie i płaskorzeźbie, najsłabiej – w malarstwie. I tu niemiła informacja dla patriotów: na paryskiej wystawie nie ma ani jednej pracy Tamary Łempickiej, choć z taką dumą przypominamy przy każdej okazji, że zwie się ją światową królową tego stylu. Jest za to kilka obrazów reprezentujących kubizm, który kuratorzy wystawy uznali za ważną inspirację.

Osobliwe były losy art déco. Styl wykluwał się powoli, począwszy od pierwszej dekady XX w. Powszechnie sądzi się, że w opozycji do królującej wówczas w Europie secesji. Ornamenty zawiłe i wijące się swobodnie zastępował prostymi, symetrycznymi, geometrycznymi. Ale to nie była – co pokazuje paryska wystawa – gwałtowna rewolucja, raczej już powolna, naturalna ewolucja. Jedną z pierwszych sal wystawy poświęcono początkom stylu i widać tam świetnie, jak obficie czerpał on u swego zarania z motywów dekoracyjnych poprzedniczek, wiedeńskiej art nouveau oraz brytyjskiej Arts & Crafts, i jak powoli owe zawijasy prostowały się i zrzucały z siebie bogactwo zbędnych dekoracji.

Aż przyszedł pamiętny 1925 r., a wraz z nim paryska Międzynarodowa Wystawa Sztuki Dekoracyjnej i Wzornictwa. W porównaniu ze współczesnymi edycjami Expo wydawać się może skromna, ale wówczas było to przedsięwzięcie spektakularne. Na powierzchni 23 ha prezentowało się 18 krajów w specjalnie na tę okazję zaprojektowanych i zbudowanych pawilonach, w których pomieszczono tysiące eksponatów. Przez pół roku wystawę odwiedziło 16 mln osób, a Polacy wrócili z Paryża z 205 nagrodami (w tym 35 Grand Prix) i pod względem wyróżnień ustąpiliśmy jedynie Francji. A ta przygotowała wręcz oszałamiający pokaz rzemiosła i sztuki spod znaku art déco, umacniając w ten sposób pozycję tego stylu na kolejne 15 lat.

Samą nazwę art déco wymyślił 26-letni brytyjski historyk sztuki Bevis Hillier dopiero w 1966 r. Zwrot świetnie się przyjął i dziś nikt już nawet nie pamięta, że wcześniej ów kierunek nazywano „modernistic" lub „Style 1925". I choć to nie Francuzi wymyślili ów termin, to od mniej więcej półwiecza bardzo dbają, by pamięć o art déco ściśle łączyć z ich krajem i narodowymi osiągnięciami.

Tu jednak niezbędne staje się pewne wyjaśnienie. Faktycznie, wypada uznawać Francję za kraj narodzin i za światową stolicę art déco. Za kolebkę stylu na wskroś eleganckiego, luksusowego, demonstracyjnie podkreślającego własny przepych, bazującego na drogich materiałach (srebro, heban, laka, kość słoniowa, półszlachetne kamienie), charakteryzującego się mistrzostwem wykonania. Stylu, który mieszał różne historyczne wpływy, chętnie sięgającego po motywy staroegipskie, azteckie, wywodzące się ze starożytnej Mezopotamii, uwielbiającego kolory głębokie i nasycone – jak złoty, szkarłatny, purpurowy, szafirowy, szmaragdowy, czarny i biały.



Model wagonu i dekoracje (na sąsiedniej stronie) **nowego Orient Expressu projektu architekta Maxime'a d'Angeaca**

Ale art déco przecież także ewoluowało. Zmieniała się estetyka, tak jak w międzywojniu zmieniał się gwałtownie świat dookoła. A Francji wyrastał poważny przeciwnik w rywalizacji o gusta, mody, trendy: USA. Tam, szczególnie w latach 30., coraz bardziej ceniono prostotę i oszczędność. Zaczęto stosować tańsze materiały, częściej myślano o funkcjonalności, a nie tylko o walorach dekoracyjnych. Gdy słynny francuski projektant mebli i wnętrz Jean-Michel Frank projektował apartamenty przy nowojorskiej Fifth Avenue dla milionera Nelsona Rockefellera, to może nadal było „na bogato", ale już raczej w doborze materiałów niż w zabawie z ornamentami, które ustąpiły miejsca eleganckim uproszczonym liniom i bryłom.

Stany Zjednoczone zaakceptowały art déco, ale rozwijały go po swojemu. Wprowadzały różne nowości, np. modę na tzw. styl okrętowy (okrągłe okna, metalowe balustrady, białe gładkie elewacje), eksperymentowały z możliwościami, jakie dawały nowe materiały (np. bakelit), ponad wzory geometryczne i te różne stylizowane słoneczka i zwierzęta, wybierając raczej kształty aerodynamiczne, opływowe, horyzontalne, bliższe ideom nowoczesności, postępu, prędkości, zmiany. A perfekcyjną rzemieślniczą dłubaninę dla przyjemności bogaczy zastępowała tam szerzej dostępna produkcja masowa. ▶

© ORIENT EXPRESS (2)

eprasa.pl ffb074335d



Od lewej: **krzesło i stolik na gazety projektu Clémenta Rousseau, 1921 r. Parawan przeciwpożarowy wykonany przez Vana den Akera, ok. 1923 r.**

▶Kuratorzy paryskiej wystawy skoncentrowali się jednak wyłącznie na tym, co powstawało nad Sekwaną i w jej okolicach. A to oznacza, że wielu zjawisk i produktów, niezwykle ważnych dla historii tego stylu, po prostu nie uwzględnili. Zatem muzealne art déco jawi się zwiedzającym przede wszystkim jako styl, rzec by można, salonowo-elegancki, oddzielony od ludzkich mas szczelną przegrodą. Jest pięknie, momentami przepięknie, wszędzie słychać „ochy" i „achy", ale uważny zwiedzający może słusznie stawiać sobie pytanie: czy ów fenomen był aż tak ważny, skoro dotyczył tylko elit?

A przecież elit wyłącznie nie dotyczył. Szczególnie w amerykańskim wydaniu stał się zjawiskiem jeśli nie masowym, to na pewno dostępnym dla średnich warstw społeczeństwa. I byłoby to jasne, gdyby w ekspozycji znalazły się choćby powszechnie użytkowane, niezwykłe kamionkowe serwisy i wazony Brytyjki Susie Cooper. Albo słynny radioodbiornik „Patriot Midget" zaprojektowany przez Amerykanina Normana Bel Geddesa. Czy choćby kilka z niezliczonych, powstałych po drugiej stronie Atlantyku budzików, zegarków, odkurzaczy i innych przedmiotów codziennego użytku, tak zgrabnie nawiązujących do właściwości stylu i ukazujących jego recepcję nie tylko przez pryzmat obrzydliwie bogatych elit.

A skoro o deficytach mowa, to wydaje się, że wystawie nie zaszkodziłaby rezygnacja z kilku szczodrze włączonych do ekspozycji mebelków, plakatów czy ceramiki. W ich miejsce pokazać by można choćby związki art déco z architekturą. Francuzi mieliby okazję pochwalić się swoim monumentalnym Palais de Chaillot, a przy okazji powędrować po świecie i przypomnieć kultowe obiekty stojące głównie w Stanach Zjednoczonych (Empire State Building i Chrysler Building w Nowym Jorku czy Art Deco Historic District w Miami Beach), ale też te warte uwagi, a rozsiane po świecie: od Helsinek (Dworzec Główny), poprzez Hawanę (Kapitol), aż po Szanghaj. Nie mówiąc o absolutnym ewenemencie, czyli nowozelandzkim mieście Napier. W 1931 r. zostało zrujnowane w wyniku trzęsienia ziemi, a już dwa lata później odbudowane – w całości w stylu art déco!

Francuskie art déco stało się trampoliną dla wielu firm i projektantów. To dzięki wyczuciu jego ducha rozpoczęła się zawrotna kariera wyrobów Cartier, a słynny model zegarka Tank produkowany jest nieprzerwanie od 1917 r. do dziś. Świetnie przeskoczył z secesji na art déco Henri Lalique ze swą biżuterią, lampami i wazonami. Nowa stylistyka bardzo umocniła pozycję takich marek, jak Van Cleef & Arpels czy Boucheron. I o wyrobach każdej z nich przypomina paryska wystawa.

W ogóle głównym kluczem narracyjnym ekspozycji wydaje się opowieść o poszczególnych, najsłynniejszych projektantach. Jest oczywiście nieco chronologii, nieco prezentacji tematycznych, ale dominują nazwiska. A trzem z nich poświęcono duże osobne przestrzenie. Pierwszy, bodaj najbardziej z nich znany, to Émile-Jacques Ruhlmann. Jego spuściznę można uznać za kwintesencję art déco w wersji luksusowej. To głównie meble z efektem „wow": biurka, szafki, sekretery, tworzone z niemal biżuteryjnym sznytem z użyciem tak „powszechnych" materiałów, jak heban, srebro, skóra rekina.

Drugim projektantem jest, wspomniany już z powodu współpracy z Rockefellerem, Jean-Michel Frank. Specjalizował się w aranżowaniu w duchu art déco całych wnętrz, a jego klientami byli m.in. Louis Aragon czy Jean-Pierre Guerlain. I wreszcie Eileen Gray. Pochodziła wprawdzie z arystokratycznej brytyjskiej rodziny, ale niemal całe swoje długie życie (zmarła w wieku 98 lat) mieszkała we Francji. Osobliwy i bardzo efektowny element jej spuścizny stanowią imponujące elegancją pokojowe parawany, ale to nie one zapewniły nieśmiertelność temu dorobkowi, lecz fakt, że Gray stanowiła idealny pomost między art déco a modernizmem, mającym zawładnąć wzornictwem kolejnych dziesięcioleci.

eprasa.pl ffb074335d



Stolik projektu Clémenta Mère, 1922 r.



Plakat reklamowy amerykańskiej firmy odzieżowej Van Heusen, 1928 r. Po prawej: **suknia z paryskiego domu mody Vionnet, 1921 r.**



Nawiasem mówiąc, także Frank nawigował w stronę prostoty, a jego stół z 1930 r., zaprojektowany dla pisarza Françoisa Mauriaca, czy pochodząca z tego samego okresu szafa wyglądają jak najlepsze współczesne skandynawskie wzornictwo spod znaku minimalizmu.



Broszka Cartiera, 1924 r. Poniżej: **zegar Cartiera, 1927 r.**

Długo można by się spierać o żywotność idei art déco. Jego oryginalne produkty, podobnie jak ich współczesne kopie cieszą się od paru dekad niesłabnącym zainteresowaniem klientów. Gdzieniegdzie powraca moda na inspirowaną epoką architekturę i wyroby codziennego użytku. Z perspektywy czasu modernizm okazał się zbyt ubogi, by stale fascynować, podczas gdy art déco, szczególnie w „amerykańskiej" wersji, doskonale łączyło funkcjonalność i prostotę z pewnym jednak estetycznym wyrafinowaniem.

Trwałość formuły art déco twórcy paryskiej wystawy też pokazują w perspektywie luksusowo-estetycznej. Jako przykład wykorzystali... słynny pociąg Orient Express, a konkretnie fakt, że dobiegają końca prace nad nowym wcieleniem owego słynnego środka transportu kursującego między Londynem a Stambułem. W hol muzeum wciśnięto więc kabinę pochodzącą z dawnego pociągu i trzy modele z tego obecnie tworzonego, który trafić ma na tory w 2027 r.: wagon kabinowy, barowy i restauracyjny. Wszystkie piękne, doskonałe, luksusowe i... dostępne wyłącznie dla wybranych. Aż dziwi ten francuski upór, by utrwalać obraz stylu przeznaczonego wyłącznie dla najbogatszych. Wydawałoby się, że rewolucja francuska powinna tu pozostawić głębszy ślad.

PIOTR SARZYŃSKI



1925–2025. Cent ans d'Art déco,
Musée des Arts Décoratifs, Paryż, wystawa czynna do 26 kwietnia.

© LES ARTS DÉCORATIFS/CHRISTOPHE DELLIÈRE (3), COLLECTION CARTIER/VINCENT WULVERYCK, LES ARTS DÉCORATIFS/JEAN THOLANCE, MP

eprasa.pl ffb074335d



Atakuję system

Jak mam robić grzeczne filmy? Kino nie jest po to, żeby uspokajać – mówi meksykański reżyser Michel Franco, autor filmu „Dreams”.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Można pomyśleć, że nierówna relacja miłosna bogatej Amerykanki i meksykańskiego imigranta w „Dreams” to alegoria napiętych stosunków między tymi krajami.**

MICHEL FRANCO: – Bohaterów łączy mieszanka fascynacji, pożądania i chęć dominacji. Niebezpieczna zależność. Tak też w skrócie wygląda toksyczna relacja USA i Meksyku: poczucie bliskości, a z drugiej strony wzajemne uzależnienie. Kiedy Ameryka patrzy na Meksyk, widzi coś, czego pragnie, lecz jednocześnie boi się dopuścić do głosu.

A co widzi Meksyk?

Wszechobecną kontrolę. Mecenaska sztuki grana przez Jessikę Chastain ofiarnie stara się pomagać meksykańskiemu tancerzowi, ale jest bezwzględna, wykorzystuje uprzywilejowaną pozycję, by nim manipulować. Pierwotnie mężczyzna miał pracować w firmie na etacie – czegoś mi w tym układzie brakowało, a kiedy pomyślałem o balecie i Isaacu Hernándezie, pojawił się ciekawy kontekst. Otwierający dyskusję o filantropii, sponsorach sztuki, pokazujący, jak utalentowani bywają obcy, którzy często wnoszą odmienny punkt widzenia i swoje wartości kulturowe. Niestety rzadko miewają bezpieczną przestrzeń, żeby się realizować – i to też jest częścią tej historii.

Michel Franco (ur. 1979 r.) – meksykański reżyser, scenarzysta, producent. W swoich bezkompromisowych filmach (m.in. „Opiekun”, „Nowy porządek”, „Sundown”, „Pamięć”), wielokrotnie nagradzanych w Cannes, podejmuje kontrowersyjne tematy, takie jak amnezja, bariery klasowe, eutanazja, niesprawiedliwości społeczne. Mimo niestandardowej metody pracy nierzadko grają u niego gwiazdy: Tim Roth, Charlotte Gainsbourg, a w dwóch ostatnich filmach Jessica Chastain.



Pan ją sam wymyślił czy ta historia się naprawdę wydarzyła?

„Dreams” jest inspirowany faktami, ale też moimi zapiskami i biografią urodzonego w Guadalajarze Hernándeza, jedynego meksykańskiego tancerza, który zrobił zawrotną karierę w Stanach, zdobywając niedawno m.in. tytuł pierwszego baletmistrza w prestiżowym American Ballet Theatre. Dzięki niemu balet stał się szalenie popularny w Meksyku. Isaac zagrał też w jakimś serialu, ale jako aktor filmowy praktycznie był nowicjuszem. Zobaczyłem go na scenie, jak tańczył w „Jeziorze łabędzim”. Poszliśmy na drinka. Powiedziałem mu: „Słuchaj, niczego od ciebie nie chcę. Tylko cię informuję, że robię film z Jessicą. Jeśli cię to interesuje, możesz zagrać główną rolę”. Odpowiedział w stylu: „Mówisz, że mogę grać z Jess bez żadnego doświadczenia aktorskiego? Okej”.

Sporo pan ryzykował.

Uwielbiam ryzykować. Nieraz już pracowałem z amatorami i zawodowcami. To zawsze działało.

„Dreams” jest dramatem miłosnym w stylu kina noir. Uczucie łączące parę kochanków to rana, która nigdy się nie goi. Obie strony coś ukrywają. USA i Meksyk też ukrywają?

Każde państwo chce kontrolować narrację o sobie i chętnie narzuca ją innym. Meksykanie postrzegają siebie jako dumny naród z ciekawą historią, bogatą kulturą, jednocześnie nie umieją rozwiązywać problemów systemowo. USA

eprasa.pl ffb074335d

chcą uchodzić za liberalną, otwartą demokrację, tymczasem budują mur – realny i symboliczny. Zawsze, gdy istnieje nierówność władzy, pojawia się teatr. W filmie bohaterowie też wkładają maski, odgrywają role.

Mówi się, że pańskie filmy są lustrem dla naszych niespokojnych czasów. Diagnozuje pan w nich pęknięcia współczesnego świata. Skupmy się na tym najbardziej fundamentalnym – nierównościach społecznych.

Dorastanie w Meksyku oznaczało dla mnie życie w ciągłym poczuciu niesprawiedliwości i to było dla mnie trudne do zaakceptowania. Klasa wyższa żyje tam w swojej bańce, ignorując problemy biedoty. Wiadomo, że erupcja napięć klasowych, ekstremalnych dysproporcji ekonomicznych, grozi chaosem. W skrajnym przypadku może doprowadzić do sytuacji opisanej w „Nowym porządku". Rewolta nie jest tam żadnym zrywem ideologicznym. Protestujący tworzą zdesperowaną masę, którą łączy poczucie, że teraźniejszość stała się nie do zniesienia. Meksyk zawsze przypominał tykającą bombę. Albo szybkowar, w którym ciśnienie gwałtownie rośnie. Jeśli nie ma wentyla dla narastającej frustracji, w końcu następuje eksplozja. U podłoża tego wrzenia leży bieda. Ponad połowa meksykańskiej populacji – 64 mln ludzi – żyje w różnym stopniu ubóstwa, a wielu nie jest w stanie zaspokoić nawet najbardziej podstawowych potrzeb. W mojej ojczyźnie świetnie za to funkcjonuje elita, odseparowana, ignorująca istnienie slumsów.

Podobnie wygląda to w „Dreams", tyle że koszmarem dla meksykańskiej biedoty okazują się pozornie mili amerykańscy liberałowie.

Łatwo jest pokazać uprzedzenia tam, gdzie się ich spodziewamy. Trudniej, gdy mówimy o ludziach bezkonfliktowych. Wybór San Francisco – liberalnej twierdzy, rzekomo pełnej empatii – jako miejsca akcji „Dreams" nie jest przypadkowy. Mieszkańcy San Francisco uważają się za dobrych, uczciwych, współczujących. Jednak gdy ich wartości są wystawione na próbę, zawodzą. Empatia ma swoje granice – ostrzega ojciec bohaterki, mając na myśli, że można imigrantom pomagać, lecz nie należy uprawiać z nimi seksu. Jeśli nie ma równości, nie ma nadziei. Pod elegancką fasadą utrwala się rasizm i opresję.

Jak ocenia pan zmianę retoryki dotyczącą uchodźców i imigrantów za prezydentury Donalda Trumpa?

Relacja między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem zawsze była trudna. Większy, bogatszy kraj dominował nad drugim. Imigranci z Ameryki Łacińskiej i Meksyku byli stygmatyzowani, obwiniani o złe intencje, niedoceniani. Bano się ich, traktowano instrumentalnie. Ich wartość polegała na przydatności do pracy i korzyściach ekonomicznych, jakie można z niej uzyskać. Trump już otwarcie nazywa niechcianych przybyszów przestępcami, śmieciami, których należy się szybko pozbyć. Paradoks polega na tym, że Stany zostały zbudowane na wyzysku mniejszości.

Rozbudowa muru granicznego, zaostrzanie kontroli, deportacje przybliżają Amerykę do rozwiązania problemów?

Amerykanie potrzebują Latynosów jako taniej siły roboczej. Relacja ta nie jest jednokierunkowa, ale dopóki USA nie uznają pełni praw i potrzeb ▶

© BESTFILM, JOHN MACDOUGALL/AFP/EAST NEWS

REKLAMA



eprasa.pl ffb074335d

▶ Meksykanów, poprawa nie nastąpi. Trzeba też pamiętać, że Meksykanie sami źle traktują imigrantów z innych krajów latynoamerykańskich. To łańcuch niekończącej się pogardy, wykluczenia i przemocy.

Meksykowi grozi kryzys?

Meksyk stoi przed takim zagrożeniem od 50 lat. To kraj, który nieustannie balansuje między chaosem a nadzieją. Ludzie są zmęczeni korupcją, przemocą, brakiem równości. W „Nowym porządku" przesadziłem z apokaliptyczną wizją, ale tylko o pół kroku. Problem jest taki, że rewolucje zwykle kończą się tym samym, od czego uciekają. To tragiczna ironia historii.

Jest pan znany z radykalnej metody pracy. Lubi pan kręcić w porządku chronologicznym, z minimalną ekipą, opiera się pan na improwizacji. Skąd ta awersja do tradycyjnych reguł filmowania?

Z braku wykształcenia. Nie poszedłem do szkoły filmowej, ponieważ miałem duży problem z autorytetami. Nie potrafiłem się im podporządkować. Za bardzo cenię swobodę – błogosławieństwo niewiedzy. Uważam, że filmy powinny być osobiste. Chronologiczne filmowanie pozwala lepiej kontrolować autorską narrację oraz na bieżąco korygować błędy. Kocham twórczą niezależność i dlatego pracuję na możliwie najmniejszych budżetach, aby jej nie stracić.

Pisze pan scenariusze w szybkim tempie (sześć stron dziennie), a kręcenie uznaje za męczarnię. Czy pana kino to autoterapia, a tematy – seksualność obłożnie chorych, dysfunkcyjne rodziny, śmierć – są odzwierciedleniem osobistych lęków i doświadczeń?

Nie chodzę na terapię, więc zapewne wiele moich lęków czy traum przenoszę na ekran. Weźmy „Sundown". Reżyserując ten film, zbliżałem się do czterdziestki, chorowałem na depresję. Przechodziłem coś w rodzaju kryzysu wieku średniego, co skłoniło mnie do częstszego zadawania sobie pytań o sens i miejsce w życiu. Wtedy też po raz pierwszy tak intensywnie poczułem lęk przed śmiercią. To wszystko przedostawało się na ekran.

Coraz bardziej polityczny charakter pana filmów to też kwestia wieku?

Żyjemy w czasach, kiedy sztuka mówi coraz ciszej. Boimy się komentarzy w internecie, polaryzacji, cancel culture. A ja uważam, że kino powinno czasem ukłuć. Nawet boleśnie. Kiedy widzę, że nierówności rosną, że społeczeństwa się rozpadają, że ludzie żyją w bańkach informacyjnych, to jak mam robić grzeczne filmy? Kino nie jest po to, żeby uspokajać.

I dlatego, pochodząc z zamożnej rodziny, należąc do elity, krytykuje pan klasę, z której sam się wywodzi?



Para filmowych kochanków: Jessica Chastain jako mecenaska sztuki i meksykański tancerz Isaac Hernández w roli młodego baletmistrza

Dokładnie. Urodziłem się w rodzinie, która zapewniła mi komfort. I właśnie dlatego czuję obowiązek, żeby go nie nadużywać. Przypomina mi się zdanie Buñuela: „Burżuj najlepiej widzi własną hipokryzję". Ja nie krytykuję bogatych. Atakuję system, który pozwala im żyć w oderwaniu od rzeczywistości. W Meksyku bogactwo izoluje bardziej niż w Europie. To jak przebywanie na oddzielnej planecie. Ja próbuję między tymi planetami krążyć.

Z Jessicą Chastain pracujecie razem coraz częściej. Dlaczego akurat z nią?

Bo jest nieustraszona. Jessica nie wstydzi się emocji, nie boi się odsłonić, lubi wyzwania. Większość aktorek przywiązuje wielką wagę do medialnego wizerunku – ona woli prawdę. Poza tym jest bardzo konkretna. Jeśli scena ma być intymna, ona natychmiast pyta: „Po co to robimy? Jakie ma to znaczenie dla fabuły? Jak chronimy partnerów?". Z nią mogę iść dalej, głębiej, bez kompromisów, bo wiem, że wszystko jest absolutnie pod kontrolą. A jakość filmów? Im bardziej aktor mi ufa, tym bardziej mogę być bezwzględny wobec historii. Jessica daje mi ten luksus.

A co ona dostaje od pana?

Szczerość. Nie obiecuję jej niczego. Mówię: „Zrobimy film, który może ludzi wkurzyć, może ludzi podzielić, może przepaść w box office. Ale będzie uczciwy". Ona to ceni. Chyba też podoba jej się to, że nie próbuję z niej zrobić ikony. W moich filmach jest człowiekiem, nie gwiazdą.

Jak długo zamierza pan odrzucać propozycje płynące z Hollywood i czy nie żałuje pan swoich decyzji?

Hollywood to system, który pozornie kocha różnorodność, a naprawdę się jej boi. Jeśli chcesz tam wyreżyserować film, który nie daje łatwych odpowiedzi, szybko usłyszysz, że to zbyt ryzykowne. Co zamyka dyskusję. Ja wolę dyskomfort niż spokój. Wolę dzieło, którego nie zrozumie połowa ludzi, niż takie, które spodoba się wszystkim, a nie mówi nic.

Pana kino jest brutalne, konfrontacyjne. Nie odnosi pan czasem wrażenia, że widzowie zaczynają być zmęczeni ciemnością?

Oczywiście. Ale to nie powód, by wprowadzać jasność tam, gdzie jej nie ma. Świat jest chaotyczny, pełen przemocy, niesprawiedliwości, ale też miłości i czułości. Ja staram się uchwycić całość – nie tylko tę część, która lepiej wygląda na Instagramie. Nie jestem pesymistą. Jestem realistą, który nie udaje, że rzeczy są prostsze, niż są.

Jakie ma pan plany po „Dreams"?

Szukam jeszcze większej szczerości. Chcę robić kino, które ryzykuje. Może bardziej osobiste. Może bardziej polityczne. Nie wiem. Jeśli film mnie nie niepokoi, nie kręcę go. Powtórzę – sztuka powinna być jak zimny prysznic. Otrzeźwiać. Jeśli nie czuję lęku przed własnym filmem, to znaczy, że zrobiłem coś zbyt bezpiecznego. A bezpieczeństwo to fake.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

© BESTFILM

eprasa.pl ffb074335d

ORLEN

wielka orkiestra świątecznej pomocy

KAŻDA KAWA POMAGA



2026

34

FINAŁ

wielka orkiestra świątecznej pomocy

Akcja dotyczy kaw sprzedanych w styczniu 2026 r.

Trzymajmy się razem!

Po raz 33. wręczono Paszporty POLITYKI. Gala odbyła się w Studiu TVP im. Kory Olgi Sipowicz na Woronicza, co można uznać za symboliczny „powrót do źródeł” – wszak dawniej uroczystość była zwyczajowo transmitowana przez telewizję publiczną.

MIROSŁAW PĘCZAK



Tegoroczni laureaci Paszportów POLITYKI (ich sylwetki na s. 90) z redaktorem naczelnym Jerzym Baczyńskim i prowadzącymi galę Gabi Drzewiecką z TVP i Bartkiem Chacińskim, wicenaczelnym POLITYKI. W środku: **dyrektor generalny TVP Tomasz Sygut i ministra kultury Marta Cienkowska.**

Od komentarza na temat powrotu transmisji gali Paszportów w telewizji publicznej rozpoczął prowadzący imprezę (wraz z dziennikarką TVP Gabi Drzewiecką) wicenaczelny i szef działu kultury POLITYKI Bartek Chaciński. Wspomniał, że rozstanie TVP z naszym tygodnikiem trwało aż 10 lat i zażartował: „Przez co nas tak długo tu nie było? Przez te oczy zielone!”. Faktycznie, chyba nikomu nie trzeba przypominać, że współpraca z instytucją zarządzaną przez Jacka Kurskiego, partyjnego propagandystę i fana disco polo, nie była możliwa. Zaproszony na scenę dyrektor generalny TVP Tomasz Sygut zauważył, że gdyby zniknęły opiniotwórcze, „misyjne” media starające się wspierać twórców kultury, „wtedy zostałby już tylko jeden twórca – AI”. Wątek sztucznej inteligencji będzie później wracał w wielu wypowiedziach.

Imprezę rozpoczął występ zespołu Hoshii Kuby Więcka, laureata Paszportów z zeszłego roku, z gościnnym udziałem Darii ze Śląska. Świetnie wykonana muzyka nie tylko wprowadziła w odpowiedni nastrój, ale też uzmysłowiła, że istnieje coś takiego jak koloryt estetyczny zarówno samej gali, jak i twórczości wyróżnionej przez werdykty kapituły nagrody i jurorów spoza redakcji, którzy typują nominowanych artystów. Można

eprasa.pl ffb074335d



Krytyczka literacka POLITYKI Justyna Sobolewska, ubiegłoroczny laureat Jul Łyskawa i nagrodzony w kategorii książka Stanisław Łubieński



Prezes ZAiKS-u Miłosz Bembinow i redaktor naczelny POLITYKI Jerzy Baczyński ze zdobywcą tytułu Kreatora Kultury Tomaszem Lipińskim

mówić o swoistym kanonie POLITYKI: nie chodzi wyłącznie o desperacką obronę wzorca kultury inteligenckiej, ale o docenienie tych przedsięwzięć artystycznych, które przy całej swojej oryginalności oddają „ducha czasów" i odważnie konfrontują się z aktualną rzeczywistością, a przy tym podważają sztampowy podział na kulturę masową i elitarną.

Nie inaczej było teraz. Paszport dla reżyserki i scenarzystki Emi Buchwald uzasadniono m.in. ciekawym zderzeniem w jej filmach „poetyckiej formy z prozą życia", co szczególnie ciekawie wypadło w pełnometrażowym debiucie laureatki „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" (film dostał nagrodę dziennikarzy na ostatnim festiwalu w Gdyni).

Nagrodę w kategorii muzyki poważnej, którą wręczyli nasza redakcyjna koleżanka Dorota Szwarcman oraz wiceprezes ds. korporacyjnych Orlenu Witold Literacki, otrzymała kompozytorka Aleksandra Słyż, artystka, której działania mogą być pokazowym przykładem przekraczania granic tzw. poziomów kultury (wysoka, niska). Słyż prezentuje się na szacownych festiwalach, takich jak Warszawska Jesień, ale i na elektronicznym Unsoundzie. Można ją uznać za reprezentantkę współczesnego minimalizmu, a jednocześnie ma za sobą współpracę z Alex Freiheit z postpunkowego duetu Siksa (również nagrodzonego Paszportem POLITYKI za dokonania w 2020 r.).

Przy okazji wręczenia Paszportu w kategorii scena wybitnej reżyserce i scenografce Katarzynie Minkowskiej krytyczka teatralna POLITYKI Aneta Kyzioł przypomniała, że choć dziś wielki renesans przeżywa Teatr Telewizji, rozwijają się różne przedsięwzięcia w dziedzinie tańca i sztuk performatywnych, to jednocześnie traci swoją siedzibę Centrum w Ruchu, a wielce zasłużonej dla teatru eksperymentalnego i animacji kultury Komunie Warszawa grozi eksmisja.

W kategorii kultura cyfrowa Paszport otrzymał Tomasz Kisilewicz z 11 bit studios. Paszport wręczyli mu Edwin Bendyk i Beata Stelmach, prezeska zarządu Totalizatora Sportowego. Odbierając nagrodę za grę „The Alters", podkreślił, że gra jest de facto dziełem zbiorowym. Już wcześniej powtarzał publicznie: „Tak jak Jan Dolski (bohater gry) nie poradziłby sobie sam na nieprzyjaznej planecie, tak gra nie powstałaby bez całego zespołu niesamowitych, kreatywnych ludzi o różnych specjalizacjach i talentach". Swoją drogą inni tegoroczni laureaci także wyrażali podziękowania dla współpracowników, mówili o wsparciu ze strony przyjaciół czy rodziny i ta otwarcie manifestowana skromność robiła naprawdę duże wrażenie, zaprzeczając stereotypowi egotycznego, niepogodzonego ze światem artysty.

Paszport w dziedzinie sztuk wizualnych odebrała Ant Łakomsk, autorka obrazów niezwykle osobistych, a zarazem dialogujących intensywnie z twórczością z odległych czasów i miejsc (np. z dawną sztuką japońską). Zaś współwręczająca Paszport (razem z naszym kolegą Piotrem Sarzyńskim) laureatka nagrody z zeszłego roku hafciarka Monika Drożyńska wystąpiła na scenie z torbą z wyhaftowanym napisem „Praca artystyczna to praca". Można by to hasło potraktować jako motto całej gali, nie tylko dlatego, że nagrodzeni artyści prezentowali się bardziej jak skromni rzemieślnicy sztuki niż jej wynioślі kapłani, ale też dlatego, że pojawił się wątek trudnej sytuacji finansowej artystów i zawiedzionych nadziei związanych z obiecanymi dotacjami z KPO. W kuluarowych rozmowach ministra Marta Cienkowska starała się tłumaczyć, że ministerstwo niczemu nie jest tu winne, bo było tylko wykonawcą decyzji podjętych gdzie indziej.

Omawiając kategorię książka, krytyczka literacka POLITYKI Justyna Sobolewska zauważyła, że miniony rok „był rokiem powieści", przywołując przy tej okazji książki m.in. Zyty Rudzkiej i Szczepana Twardocha. W nominacjach do Paszportów typową powieścią była „Krzywda" Pawła Rzewuskiego, intrygujące dzieło łączące sienkiewiczowską sarmacką gawędę z horrorem. „Wyrok" Ishbel Szatrawskiej przypomina raczej long short story, a książka Stanisława Łubieńskiego, zdobywcy Paszportu, „Drugie życie Czarnego Kota" jest poza gatunkami, co nie przeszkadza w dostarczaniu niezwykłych satysfakcji czytelniczych. Topograficzne opisy Warszawy i jej bliskich okolic sąsiadują z rozbudowanym komentarzem historycznym, ale są też ▶

eprasa.pl ffb074335d



Galę uświetnił występ zespołu Hoshii Kuby Więcka, laureata Paszportów z zeszłego roku, z gościnnym udziałem Darii ze Śląska

▶ fragmenty poświęcone zapuszczonym osiedlom i przyrodzie oraz osobistym traumom. Odbierając nagrodę, Łubieński, znawca i miłośnik ptaków, zaserwował publiczności porywającą mowę o świergotku syberyjskim oraz zaapelował o wspieranie organizacji zajmujących się ochroną przyrody.

Być może Paszport w kategorii muzyka popularna dla duetu Sw@da i Niczos dla wielu był zaskoczeniem. Wiktor Szczygieł i Nika Jurczuk zdobyli pewien rozgłos, startując w zeszłorocznych eliminacjach do Konkursu Eurowizji, ale płyta „#InDaWoods", zawierająca przebój „Lusterka", długo przebijała się do szerszej publiczności, a nawet do uwagi krytyków. Tymczasem okazało się, że wymyślony przez Sw@dę i Niczos „Podlasie Bounce" jako szczególny styl muzyki etno-tanecznej, wyrażany przez piosenki śpiewane w „podlaskim mikrojęzyku", ma potencjał towaru eksportowego, czyli może zrealizować jedną z bazowych idei naszej nagrody. Warto w tym miejscu przytoczyć wypowiedziane ze sceny słowa Wiktora Szczygła: „Okazuje się, że korzenie – te podlaskie – są bardzo splątane i tożsamościowo, i narodowościowo, ale mamy nadzieję, że z tego splątania wynikają fajne rzeczy, ciekawe. Myślimy, że jak sami nie będziemy Podlasia opowiadać, to ktoś nam tę narrację może wymyślić. Dlatego się mocno naszego Podlasie Bounce Crew trzymamy. Szanowni państwo, zróbcie hałas!".

Tytuł Kreatora Kultury, wspólną nagrodę POLITYKI i Stowarzyszenia Autorów ZAiKS (wręczali ją Jerzy Baczyński i prezes ZAiKS-u Miłosz Bembinow), otrzymał w tym roku Tomasz Lipiński, weteran rodzimej sceny punkowej i nowofalowej, założyciel legendarnych zespołów Brygada Kryzys i Tilt, autor emblematycznych dla epoki polskiego boomu rockowego piosenek. W laudacji uzasadniającej przyznanie wyróżnienia Jerzy Baczyński powiedział, że tytuł Kreatora Kultury Tomasz Lipiński otrzymuje za „piosenki i płyty wychowujące całe pokolenie artystów, za kluczową rolę w działaniach Brygady Kryzys i Tiltu, legendarnych zespołów polskiego punka i nowej fali, za współtworzenie naszego kanonu muzyki buntowniczej, antysystemowej, ale i wieczną nadzieję, że jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie". Nic dodać, nic ująć.

W zeszłym roku Tomasz Lipiński skończył 70 lat. Jednak rozmawiając z nim podczas gali Paszportów, wyczuwało się spory ładunek entuzjazmu i nadziei. No i satysfakcję z wydania pierwszego tomu autobiograficznej, wspomnieniowej książki. Objawiło się to także w autoironicznej wypowiedzi ze sceny, że co prawda pozostaje „bez emerytury, ale z Kreatorem Kultury".

Po uhonorowaniu Lipińskiego redaktor Baczyński pozostał na scenie, by wręczyć Nagrodę Czytelników. Laureatem tego szczególnego Paszportu został w tym roku młody pianista Yehuda Prokopowicz. Zrobił wielkie wrażenie na ostatnim konkursie chopinowskim, zwłaszcza wykonaniem mazurków, a wiele przed nim. Na scenie czuje się bardzo swobodnie i chyba słusznie, bo przecież już jest gwiazdą.

Po oficjalnym zakończeniu transmitowanej przez telewizję gali emocje przeniosły się w kuluary. Komentowano werdykty, debatowano nad ogólną sytuacją polskiej kultury, no i znów okazało się, że Paszporty to nie tylko sama procedura wyróżniania twórców, ale też wydarzenie społeczne i pokoleniowe. My pamiętamy, że zaczynaliśmy w nieistniejącym już budynku redakcji na Miedzianej, w skromnej sali konferencyjnej, gdzie nie dało się pomieścić przybyłych dziennikarzy innych mediów i ekip telewizyjnych. Potem był Teatr Mały, Polski, Roma, Teatr Wielki, no a współcześnie Studio ATM i teraz nowe studio TVP. Jeden z przyjaciół wyznał mi, że w sumie cieszy się, że coraz mniej znajomych rozpoznaje wśród zaproszonych gości i nominowanych artystów – to znaczy, że nagroda zmienia się, żyje.

Jerzy Baczyński na zakończenie gali, reasumując wszystko, co mówiono o niedocenianiu artystów, zagrożeniach ze strony AI i trudno przewidywalnej sytuacji politycznej, zaapelował do wszystkich, dla których kultura pozostaje ważna: „Trzymajmy się razem!".

MIROSŁAW PĘCZAK

FOTOGRAFIE: TEODOR KLEPCZYŃSKI, LESZEK ZYCH

eprasa.pl ffb074335d

Paszporty Polityki 2025

Dziękujemy Partnerom Paszportów POLITYKI 2025

Sylwetki laureatów: polityka.pl/paszporty

Współorganizator Gali

Partnerzy Główni

Partner Oficjalny

Partner Medialny

Partnerzy Kategorii

Książka

Sztuki wizualne

Film

Scena

Muzyka popularna

Muzyka poważna

Partner Paszportów POLITYKI

Partner Gali

eprasa.pl ffb074335d

Duchy czasu

Wiele duchów kryje 33. edycja Paszportów POLITYKI. W filmie Emi Buchwald pojawiają się już w tytule – ale ważniejsze jest to, że przed tym, czego się boimy, chroni nas sama obecność najbliższych. Po warszawskim mieszkaniu na Dobrej paraduje dusiołek, współczesna wersja postaci ze słowiańskiej demonologii. W opowieści „Ghsting", ilustrowanej niezwykłą, plastyczną muzyką Aleksandry Słyż, nawiedza gości sprzątaczka hotelowa, wcześniej traktowana przez gości jak duch, ale pilnie zapamiętująca ich historie i wracająca niczym zmora ze wschodnioeuropejskiego horroru. Nasze nagrody dają co roku okazję do spojrzenia na młodą polską kulturę w poprzek dziedzinowych i gatunkowych silosów, do przekłucia baniek. W tym roku ten zabieg przynosi mnóstwo skojarzeń ze światem zjawisk paranormalnych. Ilustracją dla rocznikowego albumu mogłyby być prace Ant Łakomsk, lepione z „półzapomnianych wspomnień", z postaciami przypominającymi zjawy.

Tomasz Kisilewicz w „The Alters" wprost każe bohaterowi spojrzeć na swoją historię i wydobyć z osi czasu własnego życia inne, alternatywne wersje samego siebie. Bo można współpracować z duchami przeszłości. Katarzyna Minkowska z bohaterki „Cudzoziemki" w swojej teatralnej interpretacji robi ducha. Stanisław Łubieński w książce poświęconej miastu z jego drobnymi historiami i przyrodniczym tłem pisze m.in. o tym, jak „zwyczajne, nieheroiczne opowieści żyją krótko w pamięci świadków i wraz z ich śmiercią obracają się w proch". Sw@da i Niczos wywołują duchy mieszających się przez stulecia słowiańskich tradycji w rytmie nowoczesnej muzyki tanecznej. Spodobałoby się to z pewnością Marii Janion, której stulecie urodzin będziemy obchodzić w tym roku. Wielka badaczka polskiej wyobraźni pisała – za Mickiewiczem – o historii Słowian nie jako znaczonej budowlami i pismami, jak u ludów zachodniej Europy, tylko „złożonej w duchu". Nasi laureaci to twórcy światowego formatu, lecz świadomi i czerpiący ze swojego miejsca na tym świecie. Ale i z zaświatów.

BARTEK CHACIŃSKI

FILM



Nominowani:
Emi Buchwald
Kordian Kądziela
Eryk Kulm

Paszport POLITYKI otrzymała

Emi Buchwald

Za pewność w kreowaniu intymnej atmosfery i odważne spojrzenie w kierunku metafizyki, za czuły i nieoczywisty portret młodego pokolenia uwikłanego w skomplikowane relacje rodzinne w filmie „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej".

Emi Buchwald (ur. 1991 r.) – reżyserka i scenarzystka. Urodziła się w Skierniewicach, wychowała w Dąbrowicach. Absolwentka Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej PWSFTViT w Łodzi. Zaczynała od form krótkometrażowych, w tym od dokumentów, nagradzanych na festiwalach. Poetycka forma kontrastuje w jej filmach z prozą życia. Subtelnie i z humorem potrafi rozbrajać dramatyczne sytuacje. Debiut pełnometrażowy Buchwald „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" koncentruje się na bliskości i czułości relacji rodzinnych. Jego siłą jest niemal dokumentalna uważność, otwarta na metafizykę. Film opowiada o czwórce rodzeństwa mieszkającego w Warszawie, które łączą toksyczne więzi, uzależnienie, stany lękowe, odrzucenie i potrzeba znalezienia bezpiecznego miejsca. Na 50. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni uznano go za objawienie. Zdobył m.in. Złoty Pazur przyznawany za „odwagę formy i treści", nagrodę za najlepszą reżyserię i drugoplanową rolę kobiecą. Dziennikarze obwołali go najlepszym filmem festiwalu. Zwracano uwagę na czułość i empatię, zachwycające aktorstwo, naturalnie brzmiące dialogi.

eprasa.pl ffb0[illegible]335d

SCENA



Nominowani:
Mikita Iłyńczyk
Katarzyna Minkowska
Ramona Nagabczyńska

Paszport POLITYKI otrzymała

Katarzyna Minkowska

Za teatr nowoczesny formalnie, realizowany z rozmachem i wciągający, z ducha psychoterapeutyczny, ale niepozbawiony poczucia humoru i dystansu.

Katarzyna Minkowska (ur. 1992 r.) – reżyserka, współautorka scenariuszy i scenografii do swoich spektakli. „Biorąc pod uwagę jej dorobek i pozycję w polskim teatrze, trudno uwierzyć, że zadebiutowała raptem kilka lat temu" – pisaliśmy przed rokiem, gdy była nominowana do Paszportu POLITYKI po raz pierwszy. Od tego czasu jeszcze wzmocniła swój wpływ. Tworzy teatr nowoczesny formalnie, z realizacyjnym rozmachem, podejmujący temat rodzinnych relacji, przepracowywania traum, straty i żałoby. Do już głośnych spektakli, jak „Cudzoziemka" (Teatr Polski w Poznaniu), „Mój rok relaksu i odpoczynku" (Teatr Dramatyczny w Warszawie) czy doceniony Gdyńską Nagrodą Dramaturgiczną „Kiedy stopnieje śnieg" z TR Warszawa, dołożyła między innymi familijne przedstawienie „Człowiek jaki jest, każdy widzi", które można oglądać także w Teatrze Telewizji, „Sceny z życia małżeńskiego" według Bergmana (krakowski Stary Teatr) oraz reżyserię... pożegnalnych koncertów Quebonafide na Stadionie Narodowym.

KSIĄŻKA



Nominowani:
Stanisław Łubieński
Paweł Rzewuski
Ishbel Szatrawska

Paszport POLITYKI otrzymał

Stanisław Łubieński

Za znakomitą literacko opowieść o wędrówkach w czasie i przestrzeni w książce „Drugie życie Czarnego Kota". Za przygodową i poruszającą historię o spotkaniach i pożegnaniach, ale przede wszystkim o trwaniu tego, co jest wokół nas.

Stanisław Łubieński (ur. 1983 r.) – kulturoznawca, ukrainista, z zamiłowania przyrodnik. W 2017 r. po raz pierwszy nominowany do Paszportu za książkę „Dwanaście srok za ogon" (wyd. Czarne), otrzymał też za nią Nagrodę NIKE czytelników. Autor reportażu historycznego „Pirat stepowy" o życiu Nestora Machno, przetłumaczonego na chorwacki i ukraiński. Współpracował z „Gazetą Wyborczą", „Tygodnikiem Powszechnym" i Dwutygodnikiem. Współautor cyklu filmów „Warszawski Tygiel Kulturalny" o życiu imigrantów w Warszawie. Od dziecka interesuje się przyrodą. Prowadzi blog „Dzika Ochota" i organizuje spacery przyrodnicze po Warszawie. Gospodarz audycji „Księstwo ptaków" w radiowej Trójce i prezes zarządu Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków. W „Drugim życiu Czarnego Kota" esej historyczny, felieton i opowieść przyrodnicza łączą się, tworząc niezwykłą, osobistą historię. Łubieński wędruje po centrum i obrzeżach Warszawy, ale w pewnym momencie jego spacery stają się coraz krótsze, a książka o trwaniu przyrody i spotkaniach staje się także książką o pożegnaniach.

SZTUKI WIZUALNE



Nominowani:
Agata Ingarden
Ant Łakomsk
Patryk Różycki

Paszport POLITYKI otrzymała

Ant Łakomsk

Za sztukę, która ciekawie łączy intelektualne poszukiwania z podszytymi tajemnicą emocjami. Za udaną próbę stworzenia malarstwa osobnego, wyróżniającego się nie spektakularnością, ale intymnym dialogiem z odbiorcą.

Ant Łakomsk (ur. 2001 r.) – absolwentka malarstwa na warszawskiej ASP, przebojem wdarła się do współczesnej polskiej sztuki. W mijającym roku uwagę krytyków i publiczności przykuła jej jesienna wystawa w Turnus Gallery zatytułowana „Camille". Tytuł nawiązywał do postaci zmarłego przed rokiem francuskiego artysty Marca Camille'a Chaimowicza, którego wizją sztuki artystka jest zafascynowana i wchodzi z nią w dialog. Zaprezentowane na tej wystawie obrazy koncentrują się wokół tematu czytania książek, nadając tej czynności (u Łakomsk uprawiają ją wyłącznie kobiety) charakter bardzo osobisty, wręcz intymny, nieco tajemniczy i melancholijny. W czasach powszechnego pośpiechu, powierzchownego odbioru świata, wulgarnej dosłowności i radykalizowania się środków komunikowania malarstwo Łakomsk – dotykające lęków i życia w niepewności, jak je opisują krytycy – wprowadza wartościowe wyciszenie, potrzebę kontemplacji, zwraca uwagę na niuanse i półtony. Ant Łakomsk była też finalistką konkursów Young Art Prize (Wrocław, 2024 r.) oraz Bielska Jesień (2025 r.).

© SHUTTERSTOCK, LESZEK ZYCH (4)

eprasa.pl ffb074335d

MUZYKA POWAŻNA



Nominowani:
Yehuda Prokopowicz
Natalia Rubiś
Aleksandra Słyż

Paszport POLITYKI otrzymała

Aleksandra Słyż

Za niezwykłą umiejętność angażowania słuchaczy, za kreowanie wyjątkowego brzmienia i za pokazanie, jak blisko dziś od kompozycji do reżyserii dźwięku.

Aleksandra Słyż (ur. 1995 r.) – kompozytorka pochodząca z Ełku, gdzie rozpoczęła edukację muzyczną, początkowo na wiolonczeli. Studiowała reżyserię dźwięku na poznańskim Uniwersytecie Adama Mickiewicza i kompozycję w poznańskiej Akademii Muzycznej, a potem także w Royal College of Music w Sztokholmie. Od początku interesowała ją zarówno sama elektronika, jak i łączenie jej z instrumentami. Jej kompozycje były wykonywane na takich festiwalach, jak Warszawska Jesień, Ad Libitum, Sacrum Profanum, Unsound, Sanatorium Dźwięku, a za granicą Between Festival (Sztokholm), CTM Festival (Berlin), Idealistic Festival (Kopenhaga), ORF Musikprotokoll (Graz). Jej dzieła to gra z czasem, ale też z zależnościami między dźwiękiem i ruchem. Na debiutanckim albumie „Human Glory" (2020 r., Pointless Geometry) znalazły się utwory stworzone za pomocą czujników ruchu. Na drugim albumie „A Vibrant Touch" (2022 r., Warm Winters Ltd.) dźwiękom elektronicznym towarzyszą instrumenty. Z czasem sięgnęła po stronę wizualną, tworząc wspólnie z dwójką tancerzy utwór „SYNESTE7JA.1" oraz „Under/Water". W ostatnim roku dała się zauważyć m.in. dzięki monodramowi „Ghsting" z Alex Freiheit (który wyszedł również na płycie) oraz Muzyce na orkiestrę instrumentów futurystycznych (tzw. *intonarumori*, zbudowane przez Luigiego Russolo), stworzonej dla Sanatorium Dźwięku.

MUZYKA POPULARNA



Nominowani:
Marcel Baliński
Sw@da x Niczos
WaluśKraksaKryzys

Paszport POLITYKI otrzymali

Sw@da i Niczos

Za wyobraźnię i oryginalność, podążanie ku masowej publiczności własną drogą i stworzenie nowoczesnej wizji muzycznej czerpiącej z tradycji.

Sw@da x Niczos – duet, który tworzą Nika Jurczuk, wokalistka, raperka i skrzypaczka, oraz producent muzyczny Wiktor Szczygieł. Ta pierwsza, urodzona w Bielsku Podlaskim, na studia – z fizyki, a potem informatyki – przyjechała do Warszawy, by potem wrócić na Podlasie, do Białegostoku. Ten drugi, także Podlasiak, pochodzi z polsko-kolumbijskiej rodziny. Sw@da w 2019 r. otrzymał wyróżnienie na Festiwalu Muzyki Folkowej Polskiego Radia „Nowa Tradycja", a później nominację do Fryderyka za nagrany z Karoliną Cichą album „Sad" (2022 r.). Niczos zgłębiała tradycję muzyczną regionu, uczyła się gry na skrzypcach i białego śpiewu, od 2021 r. działała w formacji Hajda Banda, wykonującej muzykę z obu stron Puszczy Białowieskiej: zachodniobiałoruską, poleską i podlaską. Interesowała się też pudlaską movą, czyli miejscowym mikrojęzykiem. Płyta założonego ze Sw@dą duetu „#InDaWoods", opublikowana późną jesienią 2024 r., połączyła wszystkie najważniejsze dla nich wątki: współczesną muzykę taneczną spoza obszaru anglosaskiego, rozwijającą się w symbiozie z lokalnymi tradycjami, z tekstami po podlasku, oryginalnymi, choć jednak inspirowanymi ludowością. Utwór „Lusterka" zgłosili do krajowych eliminacji Konkursu Piosenki Eurowizji – dostał się do finału, gdzie przegrał tylko z piosenką Justyny Steczkowskiej, zbierając prawie 24 proc. głosów widzów.

© LESZEK ZYCH (2)

eprasa.pl ffb074335d

Materiał Partnera Głównego Paszportów POLITYKI 2025

((·)) zaiks.lab

innowacje dla twórców i zbiorowego zarządu

Jak chronić twórczość w dobie sztucznej inteligencji?

Jak rozwijać zbiorowy zarząd w świecie dynamicznych zmian technologicznych?

ZAiKS Lab to inicjatywa badawczo-rozwojowa, która wspiera zbiorowy zarząd prawami autorskimi poprzez rozwój nowoczesnych narzędzi, wiedzy i praktyk na styku **((muzyki))**, **((technologii))** i **((prawa))**.

To przestrzeń współpracy twórców, inżynierów, prawników i start-upów, w której powstają realne rozwiązania dla autorów – od prototypów narzędzi, przez szkolenia i pilotaże, po badania i działania edukacyjne.

Działamy z myślą ((o odpowiedzialnej innowacji i przyszłości twórców))

Zobacz więcej na: **zaikslab.tech**

KULTURA CYFROWA



Nominowani:
11 bit studios
Centrum Archiwistyki Społecznej
Questline

Paszport POLITYKI w kategorii Kultura cyfrowa otrzymał

Tomasz Kisilewicz z 11 bit studios

Za stawianie ważnych i nowatorskich w formie pytań o istotę tożsamości, a także rolę i znaczenie przypadku, bo w czasach gwałtownych zmian świadomość tego, skąd, dlaczego i dokąd zmierzamy, jest szczególnie istotna. Za grę wideo „The Alters".

11 bit studios – warszawskie studio produkujące gry wideo, powstałe w 2009 r. i dwukrotnie już nominowane do Paszportów POLITYKI: za dodatek do gry „This War of Mine" (sama gra trafiła pięć lat temu na listę lektur szkolnych) w 2016 r., a dwa lata później za grę „Frostpunk". „The Alters" opowiada historię Jana Dolskiego – rozbitka na obcej planecie, który, aby przetrwać i odnaleźć drogę do domu, zmuszony jest stworzyć alternatywne wersje samego siebie. To gra o tym, jak nasze różne decyzje kształtują przebieg naszego życia – o konsekwencjach i o tym, jak potrafimy sobie z nimi radzić. W nieoczywisty sposób łączy ze sobą gatunki, aby opowiedzieć emocjonalną historię o bardzo ludzkim wymiarze. Reżyser „The Alters" **Tomasz Kisilewicz** był architektem, pracował w Korei Południowej, ale wrócił do Polski, zobaczywszy grę „This War of Mine", by dołączyć do ludzi, który stworzyli tak wyjątkowy tytuł. Z 11 bit studios związany jest od 2017 r. Pomagał współtworzyć „Frostpunk" i dodatki fabularne do „This War of Mine", od 2018 r. w roli głównego grafika (ang. *lead artist*). W 2020 r. rozpoczął pracę nad „The Alters". Choć oczywiście jak każda gra jest to dzieło zbiorowe: „Tak jak Jan Dolski nie poradziłby sobie sam na nieprzyjaznej planecie, tak gra nie powstałaby bez całego zespołu niesamowitych, kreatywnych ludzi o różnych specjalizacjach i talentach".

PASZPORT CZYTELNIKÓW



Nagrodę otrzymał

Yehuda Prokopowicz

Za umiejętność połączenia lekkości istnienia z uśmiechniętą melancholią utkaną w mazurkach Chopina.
(zwycięską laudację przesłała Bożena Kotowicz z Krakowa)

Yehuda Prokopowicz (ur. 2005 r.) – pianista, jeden z najmłodszych członków polskiej ekipy na tegorocznym Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim, który okazał się jej czarnym koniem. I choć do finału nie wszedł (zabrakło mu punktu), jury doceniło jego piękne mazurki, za które otrzymał Nagrodę Polskiego Radia. Urodził się w Netanii i mieszkał w Izraelu przez pierwsze osiem lat życia. Tam jego najstarsza siostra Veronika, również pianistka, zaczęła uczyć grać swoje rodzeństwo. Naukę kontynuował po przeprowadzce z rodziną do Krakowa, najpierw u prof. Stefana Wojtasa, a na studiach w Akademii Muzycznej im. Krzysztofa Pendereckiego u dr. Krzysztofa Książka. Jest laureatem ponad 30 konkursów, w tym III nagrody i nagrody specjalnej na XXVIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w Szafarni (2021 r.) czy Nagrody Chopinowskiej i V nagrody na konkursie Arthur Rubinstein in memoriam w Bydgoszczy (2024 r.). W latach 2018–24 z Erykiem Koszelą współtworzył ProKosz Piano Duo; młodzi pianiści również wygrali szereg konkursów kameralnych, m.in. w Warszawie, Zamościu, Krakowie (2022 r.) i Rzymie (2023 r.). Na estradzie sprawia wrażenie, jakby trema była mu całkowicie obca. Dba o wizerunek, jest elegancki, szczególnie lubi kapelusze. Oczywiście nie na koncertach.

© LESZEK ZYCH (3)

eprasa.pl ffb074335d

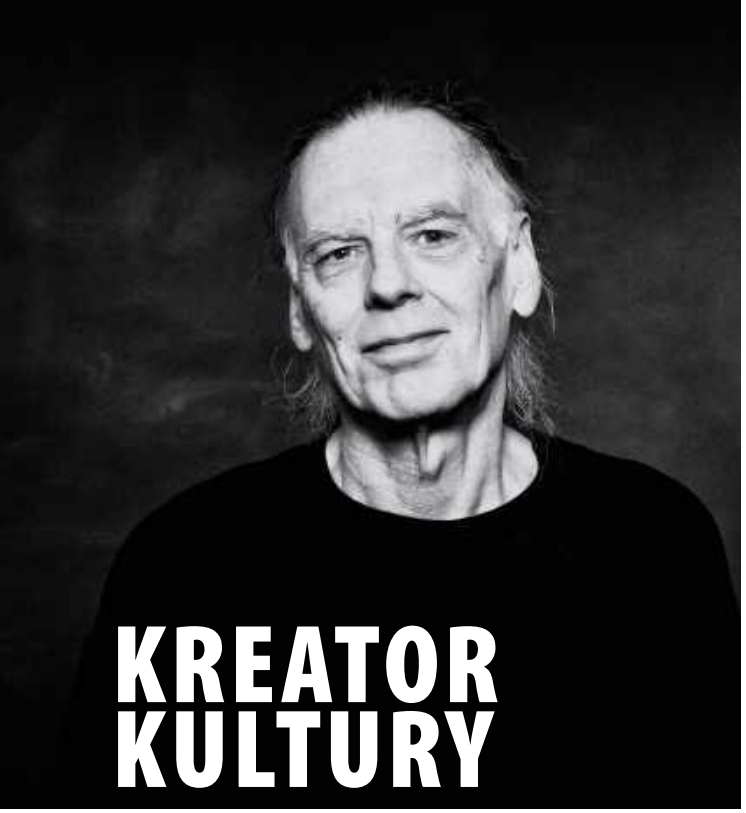

KREATOR KULTURY

Specjalną nagrodę za całokształt twórczości otrzymał

Tomasz Lipiński

Za piosenki i płyty wychowujące całe kolejne pokolenia artystów, za kluczową rolę w działaniach Brygady Kryzys i Tiltu, legendarnych zespołów polskiego punka i nowej fali, za współtworzenie naszego kanonu muzyki buntowniczej i antysystemowej, ale i wieczną nadzieję, że „jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie".

Tomasz Lipiński (ur. 1955 r.) – wokalista i gitarzysta rockowy, autor tekstów, kompozytor, współzałożyciel grup Tilt, Brygada Kryzys i Fotoness. Kluczowa postać generacji, która sprowadziła na polski grunt muzykę punkrockową. Studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, ale rzucił studia dla kariery muzycznej. Na scenie w Sopocie w 1978 r. debiutował jako wokalista i gitarzysta, wykonując jedną z pierwszych swoich piosenek „Dowód osobisty". „Z prostym tekstem, ograniczonym do tego, co w tamtym czasie figurowało w naszych dowodach: seria, numer, urzędowe pouczenie, że »dowód osobisty jest dokumentem stwierdzającym tożsamość osoby«" – opowiadał w rozmowie z POLITYKĄ w 2020 r.

Ta prostota i opowieść o jednostce, jej tożsamości i wolności w opozycji do bezosobowego systemu miała pozostać charakterystyczna dla jego tekstów przez lata.

Grupę Tilt założył rok później, a w 1981 r. połączył siły z Robertem Brylewskim z rozpadającego się Kryzysu, by wspólnie – jako liderski tandem – poprowadzić legendarną Brygadę Kryzys. „Znaliśmy się trochę już wcześniej, ale bliższe spotkanie nastąpiło w Hybrydach podczas występu zespołu Poland, w którym śpiewał Kazik Staszewski" – opisuje w wydanej niedawno wspomnieniowej książce „Jeszcze będzie przepięknie". „Zniechęceni monotonią i nudą płynącą ze sceny, poszliśmy gdzieś na bok zapalić spliffa. Wtedy zadałem Robertowi pytanie, którego do dziś nie może mi wybaczyć jego mama: Czy jesteś pewien, że ta szkoła naprawdę jest ci potrzebna w życiu?".

Wydana rok później „czarna" Brygada Kryzys, czyli legendarny debiut płytowy formacji, uznawana jest za jedną z najlepszych polskich płyt rockowych wszech czasów. I jedną z najlepiej oddających ducha czasów – pogrążonej w stanie wojennym Polski. Lipiński odpowiadał za teksty i wizualną stronę działań zespołu. Jego sukcesy opisuje w swojej autobiografii: „Dotychczas zawsze to ja byłem synem „»tego Eryka Lipińskiego«, ale odtąd coraz częściej zdarzało się, że to on słyszał: »O, to pan jest ojcem Tomka?«". Zespół działał krótko, choć dwukrotnie się reaktywował. A przez lata 80. Lipiński dalej prowadził swój Tilt – z dużymi sukcesami i pamiętanymi dziś przebojami, wśród których były „Oj, jaki dziwny, dziwny, dziwny", „Rzeka miłości, morze radości, ocean szczęścia", czy wreszcie „Jeszcze będzie przepięknie", do dziś przypominany najczęściej, także w kontekstach politycznych i na manifestacjach. Założył także na krótko ciekawą stylistycznie, nowofalową supergrupę Fotoness, z Marcinem Ciempielem i Jarosławem Szlagowskim.

Lipiński był też autorem muzyki filmowej, czasami aktorem, pisywał felietony do „Tylko Rocka" i prowadził jako redaktor naczelny magazyn „Aktivist". Od lat występuje po prostu pod swoim nazwiskiem. Pozostaje jedną z kluczowych postaci środowiska, często zabiera głos w sprawach dotyczących cyfrowego modelu dystrybucji i sytuacji na rynku muzycznym. „Historia świata pokazuje, że rebelia budzi się w nas wtedy, kiedy zagrożone są nasze elementarne potrzeby albo kiedy mamy dość znoszenia niechcianej, złej sytuacji i jest nas dużo" – mówił w rozmowie z POLITYKĄ Lipiński. A ilekroć w grę wchodzą buntownicze nastroje i kiedy temperatura na ulicach rośnie, wracają też piosenki Tiltu i Brygady Kryzys.

Współorganizator Gali

Partnerzy Główni

Partner Oficjalny

Warszawa

Partnerzy Kategorii

Książka

Sztuki wizualne

Film

Scena

Muzyka popularna

Muzyka poważna

Partner Medialny

eprasa.pl ffb074335d



Dogmatyczny szczękościsk

Dziewczyna ubrana była swobodnie, ale ze smakiem: długi czarny płaszcz związany w talii, szare spodnie i zamszowe botki w ciekawym zgniłozielonym odcieniu. Ciemne włosy upięła z tyłu głowy. Siedziała na małej walizce w bajecznym kolorze południowych mórz, leżącej na brudnej posadzce peronu. Prawą dłoń wygodnie ułożyła na kolanie, trzymała w niej smartfon. Drugą malowniczo podpierała brodę. Pochylona, zapadała się w ekran. Twarz słabo widoczna, Face ID by jej nie rozpoznał. Wydawała się zaczytana. Obok stał papierowy kubek z kawowej sieciówki. Wokół nikogo. Na odległym planie widać było jedynie wagon z logo PKP Intercity.

Urzekło mnie to zdjęcie. Nadałabym mu tytuł „Portret nieznanej dziewczyny z początku drugiej ćwierci XXI wieku". Czy wszyscy nie jesteśmy trochę jak ona? Samotni pośród wielkiej wędrówki ludów, eksploatowani przez późny kapitalizm, osaczani obrazami wojny, z trudem próbujemy łapać chwile wytchnienia. Szczęście jest dla nas wtedy, kiedy możemy przysiąść z kawą w przerwie niekończącej się podróży i na szmaragdowej walizce znaleźć wytchnienie od niepokoju i niepewności. Co mogła czytać? Pasowałaby „Droga przez łąkę" Zofii Król – eseje o gapieniu się przez okno i wchodzeniu do wnętrza krajobrazu, by wędrować tam bez końca dla samej przyjemności patrzenia i ruchu. Mogłaby o tym właśnie marzyć.

Przepisami o ochronie wizerunku można by uzasadnić zakaz publikacji większości zdjęć Cartiera-Bressona i wielu innych.

Gdyby popracować nad tym zdjęciem – lepiej dobrać parametry światła, poprawić geometrię kompozycji i zmieścić w kadrze, powiedzmy, jeszcze gołębia w locie – byłoby idealną realizacją teorii decydującego momentu Henriego Cartiera-Bressona. Francuski fotograf określił w niej, jakie warunki musi spełniać dobre zdjęcie reporterskie. Decydujący moment to chwila krótka jak błysk flesza, kiedy naszym oczom ukazuje się sytuacja naładowana emocjami i znaczeniem wykraczającym poza dosłowność. Trzeba mieć dobre oko, szybki refleks i perfekcyjną technikę, by utrwalić taką chwilę z zachowaniem najwyższego kunsztu. Swoją teorię Cartier-Bresson chętnie ilustrował zdjęciem „Za dworcem Saint-Lazare" z 1932 r., na którym uchwycił mężczyznę przeskakującego kałużę.

Nowsze o niemal sto lat zdjęcie dziewczyny z walizką zostało zrobione telefonem. Autor nie jest fotografem, jest profesorem literatury, nawykłym do wychwytywania zgęszczonych znaczeń raczej w tekstach niż w życiu. Symboliczny naddatek sensu, jaki krył w sobie widok zaczytanej, uderzył go, zanim uświadomił sobie, co widzi. Na tym polega decydujący moment: widzisz coś, czujesz, że to jest właśnie „to", i w tej samej sekundzie zwalniasz migawkę. Zdjęciem podzielił się ze znajomymi na Facebooku. Doborowa „bańka" zawodowych czytaczy i myślicieli powinna je docenić, ale tak się nie stało.

Pierwszy komentarz przybrał formę ostrego w tonie zapytania, czy autor uzyskał zgodę bohaterki na upublicznienie wizerunku. Nie uzyskał, bo nie pomyślał, żeby poprosić. I wtedy się zaczęło. Inba – endemicznie internetowy gatunek awantury o dynamice toczącej się kuli śnieżnej – rozkręciła się szybciej, niż facet ze zdjęcia Bressona przeskoczył kałużę. Natychmiast pojawił się znany użytkownikom Facebooka typ dyżurnego poputczika z kieszonkową gilotyną, który zawsze zwietrzy smród linczu i ochoczo przyłączy się do bijących. Pozytywne komentarze odnoszące się do zdjęcia, ale niepodejmujące kwestii zgody, unieszkodliwiane były nokautującym oskarżeniem o popieranie łamania prawa i krzywdę dziewczyny. Dziwię się, że nikt nie wzniósł się na moralne wyżyny porównania tej sytuacji z gwałtem. Taka demagogia to w internecie śmieszno-straszna codzienność.

Czy udostępnienie zdjęcia skrzywdziło dziewczynę nie tylko w teorii? Nie sądzę. Jeśli pociągiem, na który czekała, nie zamierzała uciekać przed gangsterami, a przypadkowy portrecista nie miał tych gangsterów w znajomych, można ostrożnie założyć, że nic złego się jej nie stało. Mogłaby nawet być zadowolona. Lubimy tak wyglądać na zdjęciach: szczupło, stylowo i „ładnie". Ponadto okoliczności, w jakich została uchwycona, nie hańbią i nie upokarzają. Kontekst publikacji również. Najważniejszym celem przepisów o ochronie wizerunku jest przeciwdziałanie przestępstwom z wykorzystaniem „wrażliwych" wizualiów, a nie karanie za wszystko jak leci. Czy naprawdę trzeba walić ludzi prawem między oczy w przypadku każdej bez wyjątku publikacji? A jeśli kogoś ciśnie i nie potrafi się powstrzymać, to niech przynajmniej robi to tak, żeby coś polepszyć, a nie kogoś zniszczyć. Dogmatyczny szczękościsk przynosi korzyści wyłącznie dentystom.

Przepisami o ochronie wizerunku, gdyby odczytywać je tak jak w tej historii, można by uzasadnić zakaz publikacji większości prac fotograficznych Vivian Maier, Sebastião Salgado, Chrisa Niedenthala i oczywiście Bressona, a także wielu innych. Z takiego świata, jeśli by się ziścił, będziemy uciekać z krzykiem – pociągiem, ze szmaragdową walizeczką.

(Zdjęcie zostało usunięte).

RENATA LIS

eprasa.pl ffb074335d

Materiał Partnera Głównego
Paszportów POLITYKI 2025

TOTALIZATOR SPORTOWY | 70 LAT



TWOJE MARZENIA
NASZA MISJA
WSPÓLNE WYGRANE

Powołany do życia w 1955 roku Totalizator Sportowy, wspólnie ze światem polskiego sportu i kultury, świętuje swoje 70-lecie. Dzięki dopłatom do gier LOTTO gracze w Polsce współfinansują budowę i remonty obiektów sportowych, wspierają młode talenty oraz rozwój kultury i ochronę dziedzictwa narodowego.

eprasa.pl ffb074335d

FELIETON

Koziołek



Rycerze bez Okrągłego Stołu

Wybiera się pani na przyjęcie? – zagadnąłem sąsiadkę z kwiatami w jednej i torebką prezentową w drugiej ręce.

– Na urodziny kuzynki – odpowiedziała bez entuzjazmu. – Lubię ją, ale nie lubię ich mieszkania, bo nie mają porządnego stołu i jak jest więcej ludzi, to nie jedzą razem, tylko na raty.

– Ale ma pani wymagania! Chyba najważniejsze, żeby się spotkać i poświętować. Na kanapie, w fotelu, a choćby i stojąc.

– Nie ten jest gościem, kogo wpuszcza się za próg. Inkasenta gazowego albo agentkę od ubezpieczeń też pan posadzi przy stole, żeby papiery wypisali. Ale naprawdę stół jest po to, żeby postawić na nim jedzenie i spożyć je razem. No, idę, bo nie chcę jeść zupy w fotelu przy jamniku.

Nawet nieco zużyta inteligencja naturalna wystarczy do połączenia dwóch nienajważniejszych zdarzeń, jakie miały miejsce pod koniec minionego roku. Pierwszym było polecenie pana prezydenta, aby zdemontować Okrągły Stół i przenieść słynny mebel do Muzeum Historii Polski. Drugie to – nie pierwsza i nie ostatnia – wymiana uszczypliwości między prezydentem i ministrem spraw zagranicznych. Tym razem zaczął minister, stwierdzając, że obaj mają za sobą „quasirycerskie epizody". Na co prezydent zareplikował również ironicznie, gratulując ministrowi dobrego samopoczucia, skoro na równi traktuje walkę na pięści w lesie i działalność reportera wojennego w Afganistanie. „– Racja, że quasi – pomyślałem. – Bez Okrągłego Stołu można być już tylko prawie rycerzem".

Zdemontowany stół przechodzi do historii. Nie będzie już potrzebny? Graal odnaleziony? Nowa Polska gotowa?

Średniowieczny prototyp właśnie zdemontowanego mebla nie był oryginalny. Wzór stanowiły dwa wcześniejsze. Przy pierwszym spożył ostatnią wieczerzę Jezus z uczniami. Drugi wykonał Józef z Arymatei, aby stawiać na nim Graala – mistyczne naczynie, które najpierw służyło Jezusowi podczas wspomnianej wieczerzy, a później Józefowi do zebrania krwi wypływającej z boku Chrystusa na krzyżu. Wedle tych wzorów czarodziej Merlin zaprojektował stół dla króla Artura i jego rycerzy. Funkcja i losy mebla z Camelot nie są pewne. Początkowy cel był pragmatyczny. Król Artur zamówił okrągły stół, aby jego uraźliwi goście nie pokłócili się o miejsce. Dopiero później stał się symbolem Rycerzy Okrągłego Stołu. Poza wymierzaniem sprawiedliwości i obroną prześladowanych ich życiowym celem było odnalezienie Świętego Graala.

Choć to literacka fantazja elity społecznej o sobie samej, nie sposób odmówić tym opowieściom psychologicznego i politycznego realizmu. Najlepsi rycerze ulegają tam pysze, gniewowi, pożądaniu. Nieznane są losy stołu po śmierci Artura. Zresztą nie bardzo miał już kto przy nim zasiadać, gdyż rycerze od dawna walczyli między sobą, sukcesywnie się zabijając.

Dowodów nie mam, że polski Okrągły Stół zrodziła wyobraźnia karmiona opowieściami rycerskimi. Ale wiem, że stare mity nie umierają, tylko przebierają się w nowe kształty, aby ponownie wyrazić niezmiennie naiwne tęsknoty człowieka do spełnionego ideału. Na przykład, żeby wybrani politycy poświęcili się dziełu odnalezienia politycznego Graala, czyli Polski dobrej dla każdego.

6 lutego 1989 r. pięćdziesięciu ośmiu usiadło przy Okrągłym Stole w Pałacu Namiestnikowskim, aby uzgodnić zasady politycznego współżycia po rewolucji Solidarności. Uzupełniało ich ponad siedmiuset zasiadających w zespołach specjalistycznych. Może były to jedyne dwa miesiące w polskiej historii, kiedy polityczni wrogowie siedzieli razem, wymyślając Polskę, w której byłoby pełnoprawne miejsce dla zwyciężonych i wygranych. Zawdzięczamy im pokojową zmianę systemu politycznego i ekonomicznego oraz pierwsze wolne wybory 4 i 18 czerwca tego samego roku. Nie ma co idealizować uczestników. Żadna ze stron nie znała swojej rzeczywistej siły ani nastrojów społecznych, które objawiły się dopiero w czerwcowych wyborach, przegranych druzgocąco przez komunistów.

Dalej było tak samo jak w legendach rycerskich – niekończąca się wojna o władzę i wpływy. Jednak przez chwilę geometria połączyła gości w polityczny krąg, w którym prawa ręka musi złapać lewą, a lewa prawą. I wszyscy mieli przed oczami środek, gdzie dzień po dniu powinien był wyłaniać się kształt niepodległego, demokratycznego, sprawiedliwego państwa. Roboty nie skończyli, a mimo to zdemontowany stół przechodzi do historii i legendy, dołączając do trzech pozostałych. Czyli nie będzie już potrzebny? Graal odnaleziony? Nowa Polska gotowa?

Podejrzewam, że prawdziwy powód pozbycia się go może być inny. Przy stole króla Artura jedno miejsce pozostawało nieobsadzone jako pamiątka – różnie mówią – po Judaszu lub po Jezusie. Zwane było „miejscem niebezpiecznym", gdyż ktokolwiek na nim usiadł, natychmiast umierał. Po co kusić los? A nuż w nagłym uniesieniu pan prezydent, premier lub prezes wezwaliby polskich rycerzy demokracji, aby razem podjęli chwalebne dzieło poszukiwania Polski idealnej. Ulec takiej pokusie oznacza polityczną śmierć. Przy naszym Okrągłym Stole każde miejsce jest niebezpieczne.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl ffb074335d

FELIETON

Witkowski



Całe życie z kamratami

Nikt mi nie wmówi, że Polacy nie są gościnni. Przecież akceptujemy naszych gości bez względu na wszystko. Mogą łazić w ubłoconych butach po dywanie, głośno bekać przy kolacji czy (a niech tam!) faszyzować do woli. Zastanawiam się, kiedy na dobre dotknęła nas klątwa „pluralizmu" i ogólnomedialnego przekonania, że każdego należy przyjąć pod skrzydła, ugościć, wysłuchać, bez względu na konsekwencje i bezpieczeństwo publiczne. Wszak każdy człowiek jest cudem, każdy jest fascynujący, a zamykanie się na cudzy punkt widzenia sprawia, że ani się obejrzymy, a już paradujemy w mundurze orwellowskiego policjanta myśli.

Być może pionierstwo należy przyznać Kubie Wojewódzkiemu, który w swoim programie niestrudzenie ocieplał wizerunek Janusza Korwin-Mikkego czy (w tym przypadku poprzez zwykły bullying uprawiany wespół z Januszem Panasewiczem) Krzysztofa Bosaka? A może winę ponoszą tu publicystyczne mody z lat zerowych, w których na potęgę zaczęto organizować debaty pt. „Wystawmy naprzeciwko siebie skrajnie katolickiego działacza i walczącą feministkę, a potem patrzmy, jak urywają sobie głowy"?

Niezależnie od tego, kto dał pierwszy sygnał, klątwa opacznie rozumianego pluralizmu zatacza coraz szersze kręgi. Bogdan Rymanowski co rusz okazuje zwykłą ludzką gościnność postaciom podejrzewanym o szerzenie antynaukowych treści, takim jak prof. Grażyna Cichosz czy dr Piotr Witczak. Monika Jaruzelska regularnie gości na swoim kanale youtube'owym śmietanę (bo przecież nie „śmietankę") polskiej prawicy, z Grzegorzem Braunem na czele.

O ile jednak w powyższych przypadkach lista gości może wynikać z ideologicznych peregrynacji prowadzących, otwartość może mieć też wymiar biznesowy. Tak jak podczas internetowych gal sztuk walki, masowo zaludnianych przez byłych (i obecnych) kryminalistów czy patostreamerów, którzy po prostu „się klikają". Symboliczny wydaje się fakt, że twarzą jednej z gal miał zostać w 2022 r. Andrzej Zieliński. Nie, nie ten ze Skaldów. I nie ten aktor. Ten z mafii pruszkowskiej, znany szerzej jako „Słowik". Nie doszło do tego głównie dzięki interwencji (o ironio!) Krzysztofa Stanowskiego.

Skąd ironia? A stąd, że w całej tej maszynerii gościnności Stanowskiemu przypada tak naprawdę rola naczelnego inżyniera. Choć on sam wolałby pewnie określenie „wielki demaskator". Wdarł się na medialny firmament jako stroniący od lokalnych wojenek pluralista, obnażający mizerię polskiego dziennikarstwa czy życia politycznego. Jeszcze jako współtwórca youtube'owego Kanału Sportowego ujawnił mistyfikację związaną z rzekomą karierą aktorską Natalii Janoszek. Gdy poszedł na swoje i zaczął szefować Kanałowi Zero, wciąż demaskował, ale i akcentował: nie można zamykać się na żaden światopogląd, twórzmy medium dla wszystkich!

Zamiary te skrzętnie realizuje. W prawie dwuletniej historii Kanału Zero znalazło się miejsce i dla mordercy Janusza Walusia, i dla prokremlowskiego historyka Leszka Sykulskiego. Nie brakowało jednak gestów, wydawałoby się, światopoglądowych: zaprosiwszy na wywiad usposobionego prorosyjsko Macieja Maciaka, Stanowski po prostu opuścił studio. Natomiast opublikowany pod koniec grudnia w Kanale Zero wywiad z Wojciechem Olszańskim i Marcinem Osadowskim, nacjonalistami, putinofilami i, a jakże, patostreamerami, opatrzono komentarzem dziennikarzy pracujących dla kanału. Komentarzem, dodam, mało przekonującym, przygotowanym jakby naprędce – sam prowadzący wywiad, Dawid Chęć, wypadł zupełnie bezzębnie.

To prawda, z putinofilami i faszystami się nie dyskutuje. Należy ich skazać na medialny niebyt lub zdusić argumentami. W tym przypadku jednak Stanowski wyświadczył wymienionym przysługę. Maciakowi zwykłą ludzką empatię okazywali nawet ci, którzy uważają jego działalność za szkodliwą. Wywiad ze wspomnianymi Rodakami Kamratami również rozsierdził zarówno ich przeciwników, jak i zwolenników. Jeśli chodzi o drugich z wymienionych, nie martwcie się – wasi idole otrzymali ogromną platformę, żeby wygłaszać swoje baliwernie, sukces!

Obowiązkiem mediów nie jest wcale beztroskie prezentowanie pełnego spektrum poglądów, bo „widz sam sobie oceni". Miejsce niektórych „idei" jest na śmietniku. Stanowski niespecjalnie się tym jednak przejmuje: na odium związane z powyższym wywiadem zareagował licznymi zdjęciami z egzotycznych wakacji, wyśmiewając wszystkich, którym skacze teraz gul. Jest jak ten chłopak z klasy, który dla atencji pokusi się o najgłupszy gest czy wypowiedź, byle zostać zauważony i wzbudzić silne emocje. Albo jak troll w rodzaju Jasia Śmietany, który w czasach internetu łupanego był gwiazdą komentarzy na Onecie. Tyle tylko, że Jasiu nie miał narzędzi, by jakoś zmonetyzować swoją sławę.

I w tym rzecz. Wbrew temu, co twierdzi wielu komentujących, Stanowski nie wykonuje żadnej kreciej roboty polegającej na przesunięciu dyskursu w skrajne prawo. Żaden tam z niego doktryner – to zwykły cynik, dla którego główną ideologią jest atencja oraz wyświetlenia, wymienialne na złotówki. Paradoksalnie: tym gorzej.

MATEUSZ WITKOWSKI

Mateusz Witkowski – podkaster, dziennikarz, krytyk muzyczny i popkulturowy. Współtworzy Podcastex i portal popmoderna.pl, wierzy wyłącznie w Alessandro Del Piero.

eprasa.pl ffb074335d



Jak być Polakiem i przetrwać

Politycy prawicy ostrzegają, że Polki mają coraz mniej dzieci, co pod znakiem zapytania stawia kwestię narodowego przetrwania. W tej sytuacji rację ma wiedziony patriotycznym impulsem red. Jacek Karnowski, proponując na antenie kierowanej przez siebie telewizji Dekalog Narodowego Przetrwania mający doprowadzić do zwiększenia liczby ciąż wśród Polek.

Nie wiem, czy zachodzenie Polek w ciążę za pomocą jego Dekalogu okaże się skuteczne, ale zgadzam się z Karnowskim, że sytuacja jest dramatyczna i każdy pomysł się liczy. Polki najwyraźniej nie mają ochoty zachodzić w ciążę w tradycyjny sposób, dlatego Karnowski sprytnie proponuje, żeby liczbę ciąż zwiększyć poprzez wprowadzenie zakazu propagandy antyrodzinnej, powstrzymanie laicyzacji, wzmocnienie treści narodowych w edukacji szkolnej oraz obowiązkowe przeszkolenie wojskowe.

Jest także za przyjęciem zapisu, że „misją każdej kobiety i mężczyzny jest posiadanie potomstwa". Niestety nie mówi, co państwo ma robić z tymi, którzy nie chcą przetrwać i będą się od swojej misji wymigiwać. Moim zdaniem takie osoby, po odlaicyzowaniu i wzmocnieniu w nich treści narodowych, można by kierować na obowiązkowe przeszkolenia wojskowe, gdzie nauczyłyby się, co zrobić, żeby mieć dużo dzieci nawet w trudnych warunkach polowych oraz jak postępować, żeby po urodzeniu tych dzieci przetrwać do renty lub emerytury.

Zdaniem posła Czarnka propaganda antyrodzinna to gigantyczny problem. „Nie żeń się, po co ci dzieci? Najpierw się wykształć, znajdź pracę, zwiedź świat, dopiero potem znajdziesz sobie żonę albo męża" – ironizuje Czarnek, który wprawdzie sam wykształcił się na profesora, ale jak zastrzega, dopiero po wywiązaniu się z obowiązków prokreacyjnych wobec Polski.

Zgadzam się: z wykształceniem nie ma się co spieszyć, zwłaszcza że niektórym i tak się ono do niczego nie przydaje. Ze zwiedzaniem świata też bym nie przeginał; będąc w świecie, można nieszczęśliwie poznać kogoś, z kim przypadkiem będzie się miało dzieci, z tym że niezupełnie polskie, dlatego obawiam się, że jeśli te dzieci zapewnią przetrwanie, nie będzie to przetrwanie narodowe, o które chodzi w Dekalogu Karnowskiego.

Jeśli czegoś mi w tym Dekalogu brakuje, to jedynie podkreślenia zagrożenia ze strony Niemiec, którym wiadomo, że od wieku nie zależy na tym, żebyśmy przetrwali. Brakuje mi także jednoznacznego postulatu obalenia Tuska, a przecież to jego szkodliwa polityka u wielu Polek osłabiła zdolność do narodowego przetrwania tak bardzo, że zamiast dzieci wolą mieć psa, kota lub świnkę morską.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor),*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80,
e-mail: prenumerata@polityka.pl

SUBSKRYPCJA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Prinit Leipa passion process technology

eprasa.pl ffb074335d

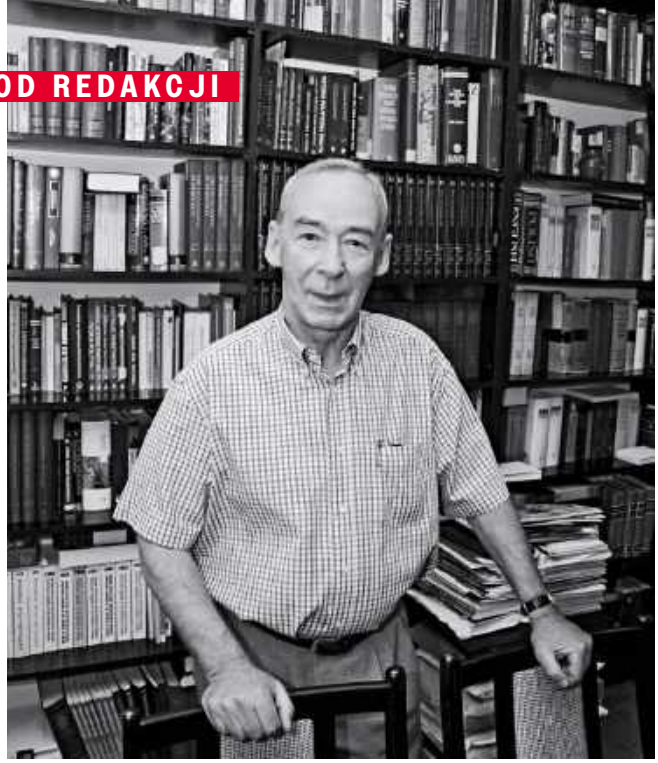

© TADEUSZ PÓŹNIAK

Historia człowieka umiarkowanego

Andrzej Paczkowski, wybitny historyk dziejów najnowszych, autor wielu książek i setek artykułów, obecny w życiu naukowym od lat 60., zmarł 3 stycznia 2026 r.

Miał coś bardzo dzisiaj rzadkiego – charyzmę. Toczyły się kolejne wojny o pamięć historyczną, o oceny Okrągłego Stołu i Lecha Wałęsy, o sposoby uprawiania historii. Profesor zawsze pozostawał oazą spokoju, niekwestionowanym autorytetem dla wszystkich stron tych konfliktów. Jego niezliczone aktywności na forum publicznym czyniły zeń ważnego *public intellectual*.

Dwukrotnie został laureatem Nagród Historycznych POLITYKI. W 1982 r. kapituła doceniła jego książkę „Prasa polska w latach 1918–1939", do dziś niezastąpione kompendium wiedzy o tytułach prasowych i środowisku dziennikarskim międzywojnia. W 2020 r. nagrodę dostał przeprowadzony z nim przez Patryka Pleskota wywiad rzeka „Góry i teczki: opowieść człowieka umiarkowanego", podsumowanie niezwykle bogatego życia.

Miał dwie pasje: historię i góry. Jego żywiołem były Tatry. Przez ponad 20 lat pozostawał prezesem Polskiego Związku Alpinizmu. Całe miesiące spędzał w Murowańcu: „Czułem się bardziej taternikiem niż historykiem", mówił. Wbrew temu żartobliwemu wyznaniu ukształtował pokolenia historyków. Był jednym z organizatorów Instytutu Studiów Politycznych PAN, w którym stworzył Samodzielną Pracownię Badania Najnowszej Historii Politycznej. W latach 90. został ekspertem sejmowej komisji odpowiedzialności konstytucyjnej, a w 1999 r. Sejm wybrał go do Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej.

Jego książki pozwalają zrozumieć historię PRL. Jego ocena nie była czarno-biała. Pozostawał krytyczny, ale nie ideologicznie. Widać to w opublikowanej w 1998 r. syntezie „Pół wieku dziejów Polski 1939–1989", w której wykorzystał swoje wieloletnie badania archiwalne. Dostała „polskiego Nobla" – Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Z niepokojem i troską wypowiadał się o konsekwencjach polityki historycznej prowadzonej przez PiS. W rozmowie dla tygodnika POLITYKA w 2021 r. o dr. Karolu Nawrockim powiedział: „Nie jest to wybitna postać świata nauki. Prawdopodobnie wytypowano go, by na rzecz »dobrej zmiany« przejął Muzeum II Wojny Światowej, ponieważ wcześniej wykazywał jakieś ambicje polityczne. Chyba większości ówczesnych obserwatorów towarzyszył absmak".

MARCIN ZAREMBA

Więcej o Andrzeju Paczkowskim na polityka.pl. Pogrzeb Profesora odbędzie się w poniedziałek 19 stycznia o godz. 13 na Powązkach Wojskowych w Warszawie. Profesor spocznie w Alei Zasłużonych.

Rodzinie i bliskim
Pana Profesora
zespół POLITYKI składa
wyrazy głębokiego współczucia

Jakościowe dziennikarstwo w dobie fake newsów

Drodzy Czytelnicy, żeby utrzymać niezależność redakcji, jej samodzielność finansową i zespół dziennikarski, jesteśmy zmuszeni do podniesienia ceny naszego tygodnika (16 zł). Mniejsze wpływy z reklam i sprzedaży przy rosnących kosztach stałych, a przy tym konieczność inwestowania w nowe formy dziennikarstwa (m.in. podkasty i wideokasty), nie pozostawiają nam wyboru.

Do końca stycznia br. utrzymujemy jednak dotychczasowe ceny prenumeraty drukowanej POLITYKI – w przypadku zamówienia prenumeraty rocznej jedno wydanie kosztuje nieco powyżej 11 zł. Prenumeratę z dostawą do domu przez Pocztę Polską lub przez InPost do paczkomatów mogą Państwo zamówić w wygodny sposób na naszej stronie: sklep.polityka.pl. Nie zmieniamy cen POLITYKI w subskrypcji cyfrowej. Najbogatszy w treści pakiet Uniwersum kosztuje 399 zł rocznie i umożliwia udostępnianie POLITYKI w pakiecie Standard dwojgu bliskim. Poza POLITYKĄ pakiet ten daje dostęp do wszystkich wydań specjalnych (w tym naszego „Pomocnika Historycznego") oraz do portalu popularnonaukowego Pulsar. Więcej informacji o naszych pakietach znajdą Państwo na stronie: **polityka.pl/cyfrowa**



Zapewniamy, że będziemy robić wszystko, żeby lektura POLITYKI była warta swojej ceny. W dobie meblowania nam życia przez algorytmy i wypierania dziennikarskich treści przez wytwory AI dostęp do wiarygodnych i sprawdzonych informacji ma kluczowe znaczenie. Gdy wokół pełno dezinformacji, fake newsów i kuriozalnych opinii, chcemy dostarczać Państwu materiały autorów, których rzetelności mogą być Państwo pewni.

Wierzymy, że dzięki naszym reporterom, publicystom, analitykom pomagamy zrozumieć dynamicznie zmieniający się świat. Jesteśmy przekonani, że podzielają Państwo naszą wiarę w jakościowe, obiektywne i uczciwe dziennikarstwo oraz trzeźwy i racjonalny osąd rzeczywistości. Tak jak apelowaliśmy podczas tegorocznej gali Paszportów POLITYKI, trzymajmy się razem!

REDAKCJA

eprasa.pl ffb074335d



TREND

Szampański rozstrój

Zamiast energii – znużenie. Zamiast nadziei – obawa, że jeśli coś się zmieni, to tylko na gorsze. Coraz trudniej cieszyć się z nowego roku.

Gdy opada sylwestrowe konfetti, wielu z nas zamiast przypływu energii odczuwa smutek. Dlaczego? Sprzeczne emocje, jakie towarzyszą pierwszym dniom stycznia, mają swoją nazwę: to noworoczny blues. Chodzi tu o dość przewidywalną reakcję psychiki na zmianę. – *Na początku roku nastrój ma prawo się obniżyć, m.in. na skutek dominującej w tym czasie narracji o „nowym początku". Nie wszystkim ona służy: dla wielu osób nowość to przede wszystkim niepewność. Dodatkowo koniec roku sprzyja podsumowaniom. Może wywoływać zarówno lęk przed tym, co ma nadejść, jak i bezowocne analizy przeszłości* – wyjaśnia psychoterapeutka Monika Uchacz.

Presja, by czuć radość, kładzie się cieniem na nowym roku. Bo co, jeśli powodów do radości na horyzoncie nie widać? Gdy zmianie towarzyszą lęk i niepokój, tym bardziej powinniśmy ćwiczyć się w „tolerancji niepewności", przekonują psychoterapeuci. Zamiast próbować kontrolować wszystko, osoby z wysoką tolerancją niepewności potrafią adaptować się do zmian i godzić z brakiem absolutnej pewności, co przeciwdziała nadmiernemu zamartwianiu się. Żeby rozwinąć w sobie te umiejętności, można sięgnąć po techniki takie jak uważność i akceptacja własnych ograniczeń, o których szczegółowo pisze m.in. brytyjski lekarz i psychoterapeuta Russ Harris w dwóch bestsellerowych poradnikach: „Pułapka szczęścia. Przestań walczyć, zacznij żyć" i „Zderzenie z rzeczywistością. Jak przetrwać bolesne ciosy od życia i się po nich podnieść".

Russ Harris natłok negatywnych myśli, emocji i wspomnień nazywa „psychicznym smogiem", który przesłania nam świat i wartości. W podejściu, które propaguje (chodzi o terapię akceptacji i zaangażowania), zmiana nie polega na polubieniu rzeczywistości, ale na jej uznaniu. I zaprzestaniu walki z nią. Chodzi o pozwolenie, by uczucia i myśli były takie, jakie są, oraz by pojawiały się i znikały w dogodnym dla nich czasie. Zamiast na przykład pytać: „Dlaczego to mi się przytrafiło?", lepiej myśleć: „Skoro to się już dzieje, to jakim człowiekiem chcę być w tej sytuacji?".

Osoby skłonne do silniejszego przeżywania uczuć negatywnych – lęku, smutku, złości – mają tendencje do koncentrowania się na negatywnych scenariuszach przyszłości. I to one są bardziej narażone na emocjonalne wyzwania związane z wchodzeniem w nowy rok. Tym bardziej że początek stycznia to czas generalnego rachunku sumienia: zestawiamy to, co osiągnęliśmy, z tym, co planowaliśmy. – *Miliony ludzi przewijają w mediach społecznościowych karuzele i rolki z hasłami „rok transformacji", „moje cele" czy „jak do tego doszłam w rok". To, co na pierwszy rzut oka ma inspirować, często działa jak lustro nierealistycznych oczekiwań* – mówi Monika Uchacz.

Warto zadać sobie pytanie: czy koniecznie musimy podchodzić do przełomu roku jak do wyjątkowego wydarzenia? Bo, jak podkreśla psychoterapeutka, to, jakie znaczenie mu nadamy, zależy od nas samych. Odczuwany smutek można równie dobrze potraktować jako przejaw nostalgii – emocji długo traktowanej podejrzliwie, dziś coraz częściej rozumianej jako adaptacyjna strategia psychiczna. Badania przywoływane przez American Psychological Association pokazują, że nostalgia może wzmacniać poczucie ciągłości i chronić przed poczuciem chaosu. Często to sposób na przypomnienie sobie, że coś przeżyliśmy, poradziliśmy sobie. Może być źródłem motywacji i wdzięczności.

Problem w tym, że to, co minione, wydaje się bardziej oswojone, często lepsze. Przyszłość pozostaje pusta i nieokreślona. Nowy rok staje się więc projekcją zbiorowych obaw, dodatkowo podsycanych przez media. – *Adaptacyjne radzenie sobie z lękiem nie polega na optymizmie za wszelką cenę. Chodzi raczej o uznanie emocji i realistyczne dostosowanie oczekiwań* – zaznacza Monika Uchacz. Przyszłość nie musi być natychmiast oswajana i zaplanowana. Czasem wystarczy podejść do niej bez fajerwerków. ■



Grażyna Morek
– dziennikarka prasowa i radiowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl", teraz w Radiu 357. Zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

© GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH, INDTAGRAM.COM/MASDUNAE_ARTS

eprasa.pl ffb074335d

Pozdrowienia z Pandory

WIRAL



„Avatar: Ogień i popiół" to trzecia wyprawa Jamesa Camerona na planetę Pandora zamieszkaną przez kotowatych kosmitów zwanych Na'vi, a zarazem kolejny kasowy i frekwencyjny sukces. Wraz z nim przychodzą memy. Długa przerwa między pierwszą częścią (rewolucyjny technicznie „Avatar" z 2009 r.) a „Istotą wody" (2022 r.) sprawiła, że pojawiło się sporo złośliwych memów. Fanów superbohaterów Marvela, wychowanych na frankczyzowych wojnach, bolało, że dzieło Camerona (a nie „Avengersi") wciąż okupuje pierwsze miejsce listy najbardziej dochodowych filmów wszech czasów, kolportowali więc memy o jego „braku kulturowego wpływu".

Jeśli jednak ów mityczny „wpływ kulturowy" mierzy się memicznością, to seria nie ma powodu do wstydu. Po premierze „Ognia i popiołu" tiktokerki z miejsca przypomniały piosenkę Willow Smith „Wait a Minute!" z frazami w kosmicznym języku Pandory. Druga i trzecia część sagi Camerona (obie stanowią fabularną całość) opowiada o nowym pokoleniu bohaterów. To zaś zachęciło fanów do rozkręcania trendu: „Ile miało się lat w czasie premiery pierwszej części". A piosenka Smith stała się doskonałym podkładem do prezentacji przebrań i makijaży inspirowanych Na'vi.

Trzecia część okazała się wiralowa z powodu nowej pary antybohaterów kradnących cały show: narkotycznej **wiedźmy Varang** zafascynowanej ogniem i pochodzącego z Ziemi Quaritcha. Ich relacja wpisuje się w memy o „najbardziej rasistowskim typie, jakiego znasz, i jego pochodzącej z Azji żonie". Sadystyczna zmysłowość Varang stała się też inspiracją do tworzenia makijaży, przebieranek, komiksów czy fanartów. Powtarza się historia z 2009 r., gdy Cameron opowiadał, jak celowo zaprojektował Na'vi tak, aby byli atrakcyjni dla widzów, którzy dzięki temu mogli uwierzyć w interplanetarny romans Jake'a Sully i niebieskoskórej Neytiri. Wrócił też mem o „depresji post-Avatarowej" – widzowie po kinowej wizycie na pięknej Pandorze odczuwają smutek i tęsknotę. Chęć powrotu do fikcyjnego świata może być efektem obcowania z wybitnym rzemiosłem w smutnych czasach filmów kręconych na tle ekranów oraz zalewu brei AI.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Gdy twarz brzmi znajomo

SŁOWO



W serwisie miejski.pl pojawiła się definicja hasła MTG: „Występuje jako podpis/komentarz do zamieszczonego obrazka, wskazując, że jest to dosłowny obraz danego użytkownika w opisywanej sytuacji". Skrót rozwija się jako Moja Twarz Gdy i ma być popularnym w polskojęzycznej części serwisu Reddit odpowiednikiem angielskiego MFW. Tu nie chodzi o Międzynarodowy Fundusz Walutowy, tylko My Face When. Ilustrowanie swoich emocji zdjęciami lub filmami – rozbawionych piesków, leniwych kotków – to na tyle duża część wymiany informacji w sieci, że gdyby je sobie darować, internet zwolniłby połowę zasobów, wrócilibyśmy do czytania książek i prasy, niewykluczone nawet, że produkt krajowy brutto wzrósłby z godziny na godzinę.

MFW i MTG dorzuciły do tego trendu zalew ulubionych min i gestów filmowych, które mówią o naszym samopoczuciu więcej, niż sami jesteśmy w stanie powiedzieć. A na pewno atrakcyjniej. Mamy więc fotografię rozjuszonego Zandberga na mównicy i dopisek: „Moja twarz, gdy znowu budzę się w Polsce". Albo zdjęcie rapera MF Dooma w charakterystycznej masce z uwagą: „MTG (Moja Twarz Gdy) zostało tylko jedno piwo".

Za granicą jest tego więcej. Szczególnie reakcji na Trumpa. Zdanie: „MFW everytime Trump speaks lately", czyli „Moja twarz za każdym razem, gdy przemawia Trump", ilustruje na przykład filmik z zażenowaniem granym przez **Nicolasa Cage'a**. I coś dla bardziej wtajemniczonych: Alexandria Ocasio-Cortez wyjaśnia w serwisie X, że w ataku USA na Wenezuelę nie chodzi o narkotyki, tylko o ropę, a do tego odwrócenie uwagi od sprawy Epsteina i rosnących kosztów leczenia. Na to jakaś konserwatystka wkleja zdjęcie zadowolonego Jona Hamma z serialu „Znajomi i sąsiedzi", pisząc: „MFW you spew your TDS on X" – „Moja twarz, gdy ulała ci się na X obsesja na punkcie Trumpa". Bo „TDS", czyli Trump Derangement Syndrome (ta obsesja właśnie), to stała riposta zwolenników amerykańskiego prezydenta, rzucana zapewne z zadowoleniem na twarzy. Moja twarz, gdy to wszystko opisuję, wyraża mniej więcej tyle, ile twarz bohatera „Dnia Świra" przez prawie cały czas projekcji filmu.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Ważne, że w melancholię brnąłem tak jak Lars von Trier,
Bo rozjuszyło mnie coś. Młodzi mówią na to: trigger
Taco Hemingway, Plac Trzech Krzyży, 2025 r.
trigger – coś, co nas prowokuje do reakcji (POLITYKA 34/23)

eprasa.pl ffb074335d

Miasto aniołów





Meksykańska Puebla urzeka kolorami, smakami i sztuką. Jest niczym galeria pod gołym niebem. Stanowi też dobrą bazę wypadową na okoliczne wulkany.

PODRÓŻE

Moje ulubione meksykańskie miasto? Puebla! Jest tu dużo spokojniej i bezpieczniej niż w odległej o 2,5 godz. jazdy samochodem stolicy, a spacer kolorowymi uliczkami starówki to prawdziwa uczta dla oczu. Miasto położone 2200 m n.p.m. (to wyżej niż nasz Kasprowy) stanowi też dobrą bazę wypadową na słynne w tym kraju wulkany. Najwyższy z nich, Pico de Orizaba (5636 m), z Puebli widoczny jest tylko przy bardzo dobrej pogodzie, podczas gdy te bliżej położone: **Popocatépetl**, zwany powszechnie **El Popo** (5426 m), oraz o 200 m niższy Iztaccíhuatl (czyli Itza), stanowią charakterystyczny element okolicznego krajobrazu.

Jeśli ktoś szuka śladów Azteków, Majów czy innych cywilizacji prekolumbijskich, to jednak nie ten adres – Pueblę założyli Hiszpanie „dopiero" w XVI w. Według lokalnych opowieści jej kształt został wyznaczony przez anioły, które specjalnie w tym celu zstąpiły z niebios. Uhonorowano je w nazwie, która w pełnej, oficjalnej wersji brzmi: „Puebla de los Angeles" (dosłownie: miasto aniołów). Anioły można zobaczyć teraz na przykatedralnym płocie. Trzeba przyznać, że świątyń jest tu wiele, choć jeśli moglibyśmy zwiedzić tylko jedną, to wybór powinien paść na datowaną na 1690 r. Kaplicę Różańcową Kościoła Dominikanów. Nie bez powodu przewodnicy twierdzą, że jest to klejnot meksykańskiego baroku, z dumą dodając, że złoto jest jak najbardziej prawdziwe. Bardziej od przepychu cennych kruszców urzekła mnie jednak lokalna ceramika. Płytki zwane *talavera* zdobią fasady domów, kopuły kościołów, uliczne murki, patia kamienic, ceramiczne cudeńka zaś kupuje się jako pamiątki. Chyba że wolimy słodycze, bo i z nich słynie Puebla. Największy ich wybór jest na Calle de los Dulces, czyli ulicy Słodkości. Oprócz ciasteczek wielu rodzajów oferowane są też ajerkoniaki, z których produkcji już kilka wieków temu zasłynęły tutejsze mniszki. Dziełem miejscowej zakonnicy jest też słynny w całym Meksyku sos *mole poblano*, który dodaje się m.in. do kurczaka i wieprzowiny. Jego podstawowe składniki to m.in. gorzka czekolada, orzechy, sezam i ostra papryczka chili.



Monika Witkowska – himalaistka, żeglarka, podróżniczka. Autorka książek (m.in. „K2. Ostatnia szansa" i „Kurs Arktyka"). Prowadzi stronę na Facebooku: Monika Witkowska – Podróże małe i duże.

A przy okazji w kwestii chili: trzeba być przygotowanym, że miejscowi dodają je do prawie wszystkiego. Nawet do smażonych koników polnych oraz do... lodów! Jakkolwiek byśmy po Puebli chodzili, na pewno dotrzemy na główny plac miasta zwany Zócalo. To właśnie przy nim wznoszą się najważniejsze, pałacowe budynki miasta oraz mająca już prawie 400 lat katedra. Prawdziwa perełka mieści się na jej tyłach, a jest nią **Biblioteca Palafoxiana** (nazwa upamiętnia biskupa Jana de Palafoxa, który w 1646 r. przekazał swoje książkowe zbiory miejscowemu seminarium). To pierwsza i zarazem najstarsza biblioteka publiczna, która powstała w obydwu Amerykach. Spodoba się nie tylko bibliofilom – wrażenie robi zarówno bogactwo i wyeksponowanie kolekcji, jak i konkretne dzieła, w tym XVII-wieczny egzemplarz kopernikowego „O obrotach sfer niebieskich". Mam wrażenie, że cała starówka to jakby galeria pod gołym niebem. Co chwila zachwycam się jakimś muralem, fontanną lub rzeźbą... żaby. Wiele ulic i placów to z kolei bazarki – jeden z rękodziełem, inny z nalewkami... I wcale nie są to atrakcje wyłącznie dla turystów – miejscowi też je kochają. Chociaż w poniedziałkowe wieczory wolą Arenę – stadion z zawodami *lucha libre*, czyli rodzajem widowiskowych zapasów.

Trudno powiedzieć, na ile stosowane przy walkach chwyty i rzuty są autentyczne, a na ile jest to reżyserowany spektakl, jednak widownia szaleje. Niektórzy uczestnicy walk mają twarze zasłonięte maskami – ich fani kupują potem podobne. A jak z corridą? W większości miejsc, w Puebli także, została zdelegalizowana. „Świat się zmienia, meksykańska mentalność też" – żartuje nasz przewodnik i zaprasza na likier rodzynkowy, z którego słynie mający już ponad 100 lat bar La Pasita. To kolejna specjalność Puebli, którą ponoć – jeśli chce się do tego miasta wrócić – trzeba koniecznie zaliczyć. ■

© GETTY IMAGES (2), LESZEK ZYCH, TOMEK MĘDREK, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl ffb074335d

Burger z boczniakiem

Ostrzegamy: to danie wciąga! Dlatego najlepiej od razu przygotować kilka porcji.

Są takie hity diety roślinnej, które nigdy się nie nudzą, a jednocześnie smakują nie tylko roślinożercom. Jednym z nich są dania z boczniaka. Na sklepowych półkach widujemy najczęściej boczniaka ostrygowatego, wyróżniającego się szarym bądź perłowym kapeluszem. Mniej popularne są w Polsce: boczniak cytrynowy (o aromacie trawy cytrynowej, nadający się do sałatek i dań azjatyckich), boczniak królewski (z charakterystycznym grubym trzonem) czy boczniak różowy (jego uprawa wymaga wyższych temperatur).

Największą zaletą boczniaka ostrygowatego jest jego plastyczność – ma neutralny smak i przez to łatwo poddaje się kucharskim manipulacjom, a jednocześnie jest mięsisty i soczysty. Z boczniaków przygotowywałem już przekąski w panierce, szaszłyki, burgery, tacosy, grillowane steki czy jeden z najbardziej znanych moich przepisów: „wigilijnego śledzika", czyli rybę z grzyba (POLITYKA 50/24).

Przepis, którym chciałbym się teraz podzielić, jest jednym z najłatwiejszych i najmniej wymagających. Szarpany boczniak w sosie barbecue to danie, które (może oprócz szarpania boczniaka) właściwie robi się samo. By w pełni cieszyć się jego smakiem, polecam jednak zacząć przygotowywać je dzień wcześniej, by smaki miały czas się przegryźć, wniknąć w głąb grzybów i cebuli. Proponuję też od razu przygotować kilka porcji, na wszelki wypadek, bo to danie po prostu wciąga!

Szarpany boczniak w sosie bbq doskonale sprawdzi się w miękkiej, burgerowej bułce lub na chrupiącym kawałku świeżej bagietki. W kanapce z wyrazistym (np. mocno chrzanowym) kolesławem i ćwiarteczkami ziemniaków w przyprawach będzie niczym slow foodowe danie z modnego lokalu lub – mniej już obecnie popularnego – food trucka. ■

KUCHNIA



Tomek Mędrek – bloger, influencer specjalizujący się w roślinnych przepisach z pogranicza kuchni polskiej i comfort food. Wspólnie z żoną publikuje na blogu Veganhigh.pl oraz profilu na Instagramie: @tomek.medrek.

Szarpany boczniak w sosie barbecue (składniki na 6–8 porcji):
- 750 g boczniaka ostrygowatego
- 400 g domowego lub gotowego (dobrej jakości) sosu barbecue
- 3 średnie lub 2 duże cebule (500–600 g po obraniu)
- Kilka łyżek neutralnego oleju do smażenia

Wykonanie (25 min pracy i 30 min duszenia/pieczenia):
- Boczniaka wyciągamy z opakowania, dzielimy na mniejsze części i szarpiemy, przeciągając przezeń wzdłuż widelcem. Części, których nie uda się rozdzielić widelcem, szarpiemy palcami, oddzielając cienkie włókna.
- Rozgrzewamy olej na dużej patelni na średnim ogniu.
- Cebulę kroimy w cienkie piórka, wrzucamy na rozgrzany olej, lekko solimy, by szybciej wypuściła wodę. Czekamy, aż się zeszkli (ok. 5–10 min), co jakiś czas mieszając, po czym przekładamy ją do osobnej miski.
- Podkręcamy mocniej ogień pod patelnią i wrzucamy poszarpanego boczniaka. Czekamy, aż część wody z niego odparuje, a grzyb zacznie się miejscami brązowić. Mieszamy rzadko.
- Do podsmażonego boczniaka wrzucamy cebulę. Całość zalewamy sosem barbecue. Przykrywamy patelnię i dusimy przez 10–15 min. Następnie odstawiamy na jakiś czas do lodówki – najlepiej na całą noc.
- Przed podaniem rozkładamy boczniaka na ruszcie piekarnika i papierze do pieczenia. W piekarniku nagrzanym do 200 st. C zapiekamy go przez 10–15 min, tak aby sos ładnie się skarmelizował i zredukował. I gotowe, smacznego!

Wskazówki
- W zależności od tego, w jaki sposób poszarpiemy boczniaka, taką strukturę dania otrzymamy – im grubiej, tym danie będzie bardziej soczyste, a im bardziej cienko, tym łatwiej udusimy boczniaka.
- Boczniaka smażymy na mocnym ogniu, ponieważ ok. 90 proc. jego masy to woda. Nie ma szans, że nam się przypali, a odparowanie dużej części wody jest kluczowe.



eprasa.pl ffb074335d

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Co by zrobił GROM



Klinicznie przeprowadzona przez USA operacja pojmania prezydenta Wenezueli przejdzie do historii akcji służb specjalnych. Jak ją ocenia były operator Jednostki Wojskowej GROM, od lat zajmujący się szkoleniami, również w Ameryce Łacińskiej? Przemyśleniami podzielił się z POLITYKĄ porucznik rezerwy Mariusz Urbaniak, który bywał w Caracas. „Jednostka GROM byłaby w stanie wykonać podobną operację właściwie w każdym rejonie świata", zapewnia w rozmowie z Markiem Świerczyńskim.

Imperia rozkładają mapy



Czy atak USA na Wenezuelę ośmieli Chiny do działań na Tajwanie? Roli i planom Chin poświęcamy najnowszy odcinek „Polskiego demo", podkastu POLITYKI i Fundacji Batorego. Naszym gościem jest Jakub Jakóbowski, wicedyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich, znawca Państwa Środka. „W Chinach pojawiła się nadzieja, że z Ameryką można się spotkać, pochylić nad mapą i podzielić", twierdzi nasz ekspert. Co gorsza, takie spotkanie nad mapą z udziałem Chin i Rosji zapewne dawno się odbyło.



Krzyż do kosza?

Polską wstrząsnęła afera z Kielna (woj. pomorskie) – anglistka w jednej ze szkół rzekomo wyrzuciła krzyż do kosza na oczach uczniów. Pod placówką odbył się protest, episkopat domagał się reakcji rządu. Sprawę komentuje Dariusz Chętkowski, polonista, bloger POLITYKI. Dziś już wiadomo, że krzyż był zabawkowy. „To rzekomo haniebne zachowanie, a być może tylko potknięcie pedagogiczne, okazało się wodą na młyn dla religiantów", pisze Chętkowski i apeluje, by nie wylewać dziecka z kąpielą.

Bardzo znany głos



W pierwszym tegorocznym odcinku „Polityki o książkach", autorskiego podkastu Justyny Sobolewskiej, gość specjalny: Filip Kosior, najbardziej rozpoznawalny lektor audiobooków w kraju. Jeśli chcecie dopasować znany głos do twarzy, obejrzyjcie ten odcinek na YouTube. Kosior opowiada, jak przygotowuje się do pracy, czy ćwiczy przed nagrywaniem i czy obawia się, że kiedyś zastąpi go AI. A prócz tego czyta na wizji fragmenty ważnych dla siebie książek.



Nie takie dawne dzieje

„Uczta werbalna dla słuchacza" – to jedna z recenzji podkastu historycznego POLITYKI, w którym gościmy tym razem prof. Małgorzatę Kot z Uniwersytetu Warszawskiego, badaczkę paleolitu, jaskiń Europy i Azji Centralnej. Rozmawiamy o paleolicie, najdłuższym i najbardziej dynamicznym rozdziale ludzkich dziejów, zastanawiając się, dlaczego do dziś pozostał na Ziemi tylko jeden gatunek człowieka. Dużo ciekawostek i kulis żmudnych, ale fascynujących badań.

© AP/EAST NEWS, LESZEK ZYCH (3), KPP WEJHEROWO

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl ffb074335d

POLITYKA SKLEP

Zapraszamy na wygodne zakupy!
Dla siebie i bliskich. Kupuj dla szkoły, firmy, instytucji.

Kupuj nasze aktualne wydawnictwa









Prenumeruj uniwersalnie w druku i cyfrze



Już od 10,75 zł / wydanie

Cyfrowe wydania specjalne (EPUB)



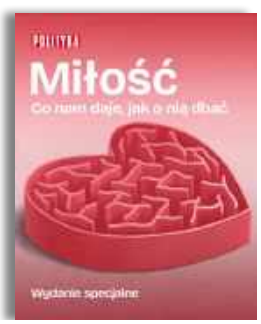





Przy zakupach powyżej 150 zł **dostawa gratis**.

Pełna oferta na **sklep.polityka.pl**

Prenumerata „Polityki", „Wiedzy i Życia" oraz „Świata Nauki" także z bezpłatną dostawą do wybranego InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl ffb074335d

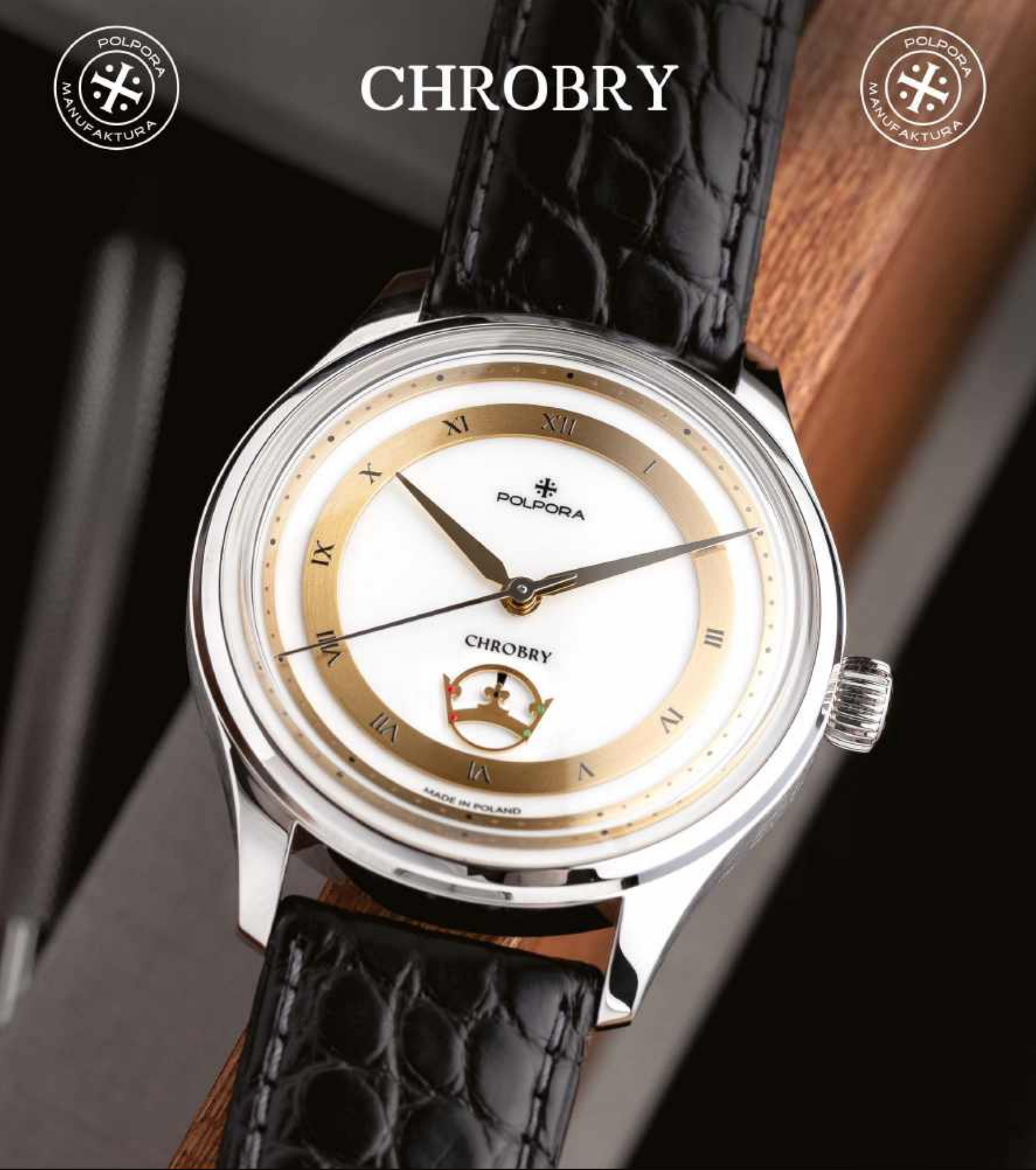

POLSKA WIZJA
SZWAJCARSKA PRECYZJA

WWW.POLPORA.COM

LIMITACJA 150 EGZEMPLARZY
SZWAJCARSKI MECHANIZM Z RĘCZNYM NACIĄGIEM
WSKAŹNIK REZERWY CHODU

Zegarki dostępne w wybranych salonach
Sprawdź lokalizacje: **www.polpora.com/salony**